

Ewa Alimowska • Anna Chomczyk • Małgorzata Dobkowska • Janina Osewska • Ks. Ryszard Kotkowicz • Marek Styliński • Theodor Fontane • Paul Fleming • Leonarda Szubzda • Halina Biernacka • Barbara Lachowicz Józefa Drozdowska • Anna Gniewkowska • Irena Słomińska • Paweł Gorszewski • Joanna Żukowska • Mieczysław Hulewicz • Joanna Pisarska • Justyna Rożko • Urszula Szczukiewicz • Eligiusz Buczyński • Marcin Kruhlej • Janusz Paliwoda • Anna Tomczyk • Tomasz Wójcikowski • Marcin Silwanow • Henryk Kruszyński • Włodzimierz Wowczuk • Henryk Szydlik • Wojciech Załęski • Irena Grabowiecka • Halina Alfreda Auron • Regina Kantarska-Koper • Grzegorz Toczydłowski • Ryszard Kondratowicz • Agnieszka Kuklińska • Eugeniusz Szulborski • Tomasz Matczak • Katarzyna Tokarzewska • Mateusz Daniel Kołos • Wojciech Jan Cymbalisy • Kazimierz Słomiński • Ks. Jerzy Sikora • Tadeusz Karabowicz • Wiesław Szymański • Andrzej Wojciech Guzek • Apoloniusz Bogumił Ciołkiewicz

EPEA

almanach

Białystok 2004

EPEA

ALMANACH

Wież. W



KSIĄŻNICA PODLASKA IM. ŁUKASZA GÓRNICKIEGO
ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH
ODDZIAŁ W BIAŁYMSTOKU
BIAŁYSTOK 2002

EPEA

ALMANACH

(1-3-urlop)



KSIĄŻNICA PODLASKA IM. ŁUKASZA GÓRNICZEGO
ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH
ODDZIAŁ W BIAŁYMSTOKU
BIAŁYSTOK 2004

Redakcja:
Jan Leończuk
Wiesław Szymański

Korekta:
Teresa Jabłońska



821.162.1-82(05)
TOM IV

ISBN 83-88097-57-1

Skład i druk:
Wydawnictwo PRYMAT MARIUSZ ŚLIWOWSKI
15-703 Białystok, ul. Zwycięstwa 26c lok.7
tel. (85) 869-14-87, kom. 0602 766 304
www.prymat.stnet.pl, e-mail: prymat@stnet.pl

KP Białystok-EO- 2004/3889/7

Myślałam, że czas...

Myślałam, że czas dany mi jest po to, by zrozumieć.
Jakkolwiek upływały lata i nadal z tą samą bezradnością
Stawałam nad liściem tamaryszku.
Agnostyczny księżyc wschodził nad moją głową,
Nocą jelenie nawoływały się z głębi boru.
Obracało się koło roku i kolejna wiosna
Spadała mi na powieki światłem i krzykiem.
Nie rozumiałam niczego i nawet, gdyby pozwolono mi wrócić
Nie ocaliłabym żadnego imienia.
I gdziekolwiek pójdę, towarzyszy mi śmiech dzięcioła
W zielonej czapeczce, z białą plamą pod gardłem,
wystukującego na sośnie znajomy werbel.

Barwy ziemi

Biedna szarość wikliny, gdzieniegdzie rudawe
słońca łozin; myślałam, że nigdy
nie znajdę już piękniejszych barw, bardziej szlachetnych,
powściągliwych w konturze, odcieniu i woni...

A jednak teraz, patrząc na gołębie
Cienie późnego zmierzchu, pytam samą siebie,
Czemu już bez wzruszenia wspominam ubogą
Paletę ugrów i popiołu? Czemu
Nie potrafię ściśniętym gardłem witać połyskliwych
Tąńców promieni na ich nagiej skórze?

Czy zbyt dojrzała, by ich się nie lękać,
Tych siwych brązów, siwych barwą ziemi,
Tak w natężeniu silnych, że zbyt blada
Każda twarz przy nich? Już się nie przymierzam
Jak do sukienki nowej, do ich miękkich cieni,
Już nie potrafię cieszyć się, że włosy
I oczy moje na ich tle znikają.

I nawet wtedy, kiedy tak przekornie
Wkładam czerwony płaszcz, wciąż siebie widzę
Jak wielką ranę na brązowej piersi
Ogromnej ziemi lub małego ptaka

Dziki miód

Wiklina już rudziała i ptaki smutniały,
spłoszonymi głosami wabiąc się w ciemności.
Znad łąk wybiegłej. Ojciec
siadał pod leszczyną i patrzył w noc. Nie znałam
słów, które by mogły
ocalić dom i furtkę, ścieżkę i gołębnik.

Nie miałam więcej siły niż on. Ciężkie ręce
jak martwe ryby zwieszał między kolanami,
papieros tlił się ledwie, posiwiałe włosy
wiatr gładził jak dłoń czuła, od mojej czulsza. Liście
szeleściły w ciemności,
wilgoć szła od rzeki, rtęciowe lampy gasły.

Ojciec wstawał ciężko
i szedł do jasnej kuchni, w miód i bursztyń matki,
wieczna przystań nomadów. Był nimi wszystkimi,
bohaterami pieśni, złamanymi losem.
I patrząc na kobiece zakrzętanie wierzył,
że świat zbawiony będzie, choć nie z jego ręki.

Na grube kromki prędkimi ruchami
miód kładła ręka o przegubach cienkich
i ptasich kościach. Matki dłoń,
nie moja, nie jego czarna, pocięta rzekami
ręka - planeta. Zegar opowiadał
pełne chichotów i płaczu historie,
mleko gorące parowało z dzbanka.

Nie było ziemi, którą trzeba zbawić.
Nie było świata, który trzeba odkryć.
Chleb, miód i mleko. Patrzył, pokonany,
jak gwiazda lampy wschodzi ponad stołem
i aniołowie spływają z obłoków.

Jak pięknie

Milczenie - nóż ze srebra,
jak pięknie przecina
tkankę słów, jak dotyka
nieskończenie cicho
ciała znaczeń.

Jak lekko
się przechyla waga
w dłoni czasu.

Jak dobrze
potem tym, co przeszli
bezszelestnie unosząc
krawędź dnia
ku nocy,
bogatsi o złudzenie,
że umieli żyć.

Rachela i ja

Twarz, którą widzę w tym sosnowym sęku,
to twarz Racheli, córki Salomona.
Patrzę w jej oczy, kiedy twarz pochylam
nad rzeką czasu. I już brodzę, bosa,
dwunastoletnia, w za krótkiej sukience.

Ojciec zapala szabasowe świece
i chmiel tak pachnie, i znowu nad brzegiem
siadamy z Lejbem. Jeszcze ciepłą bułką
dzieli się ze mną i wiatr go porywa.
W sosnowym sęku jego drżące ręce
i palce, które jak za brzeg przepaści
chwycić próbują zbawczą krawędź świata.
I świat je strąca.

Stojąc pod jaśminem
odrywam płatki i wróżę z powagą:
kocha, nie kocha... Patrzysz na mnie, patrzę
na ciebie poprzez lustro pamięci.
Kocha, nie kocha... układamy wargi
do stów tych samych jak do pocałunku.

Menora

Zmierzch menory zapala w oknach nocy,
niewidzialne zapachy wikła w motki cieni,
coś prząść będzie.
Kochany, nie jesteśmy sami,
prędkie kroki w ciemności, prędkie śmiechy, wargi.
Może gdyby te domy zburzyć, może
gdyby wydrapać aż do gołej skóry,
ustałyby o zmierzchu tańce, przy majowym
księżycu. Tylko po co.

Czy ta czujna obecność więcej niż snem tylko,
czy poza moją głową inna myśl ich więzi,
inne palce splatają niewidzialne nitki
na brukowanym rynku ktoś ich widzi jeszcze?

I gdy się rozstajemy pod młodym wieczorem,
gdy bzu naręcze wkładasz mi w dłonie, to proszę
pocałuj mnie dwa razy; raz dla mnie, raz dla nich,
co pod menorą nocy wracają do domu.

Piekarnia Lei pod starym jesionem...

W zachwaszczonym ogrodzie wiatr dziś gwizdże smutnie,
chylą się głowy pokrzyw jak badaczy pisma,
Boga pokrzyw i mięty. Zadzieriała nosa
stara Lea. Pieściła syna jedynaka,
słodkie chałki wsuwała w zawsze głodną rękę,
coraz smuklejszą z roku na rok. Czasem w lustrze
cień nazbyt wiotki dziwnie ją przestraszał,
czasem kukułka długo nie wołała w maju,
Lea się bała; drobnych stóp tupotu,
czarnego skrzydła, jęku sów nad ranem.

I nagle przyszło. Na futrach, na kufrach,
w warkocie czarnym, wrzasku "raus, raus!"- Lea
przez całą wieczność wyciągając ramię
białe i krągłe, znowu woła do mnie :
"Oni nas wiozą tam!"- i biały palec
prosto na ziemi gardło pokazuje,
a wokół krzyki i dzieci wtulone
w zbawcze ramiona. Już je wiatr rozpina
na krzyżu nocy, już je wiatr rozwiewa...

... W piekarni Lea pod starym jesionem
znow ciepłe chleby snu na stosach kładzie.

Z punktu widzenia kota

Z punktu widzenia kota
historia się powtarza;
ludzie walizki wnoszą, wynoszą i tylko
zapachy wciąż te same - przerażenia, potu,
wilgotnych dłoni, nocy i palonych listów.

Z punktu widzenia kota
to, co najważniejsze
umyka ludzkim oczom; wytarte łby kolan,
niepastowane buty, dygoczące ręce,
które nie chcą już głaskać, tylko zaciskają
jak pętlę białe kostki na puszystym karku.

A przecież wszystkie rzeczy mają swoją cenę,
a tamtą czarną panią, która w progu staje
nie ugłaska mruczenie, za zimne kolana,
do których się przytulić nie można.

Więc jakie
ma znaczenie, czy szybkie, czy powolne tętno,
czy płacz wzbiera, czy zamiera gdzieś w gardle na wieki
być może, lub na chwilę?

Jakie ma znaczenie,
czy u okna się stoi, załamuje ręce?

Lepiej na młodym słońcu się wyciągnąć, lepiej
z wilgotnych traw zlizywać krople rosy, lepiej
za cieniem ptaka śledzić, co znika, nim zdąży
powiedzieć się, że koniec,
gdy nadejdzie wreszcie.

trawy kładą się do snu

wyginam się w koci grzbiet

gniazdem
tarcie wiatru taflą wody

wstążki kokardy
barwy
gęste nasyczone
hiacynty w zielonych doniczkach

wypuszczam pędy
loki rozbiegają się jak jaszczurki

- czy umiałbyś mi narysować lecącego bociana? - pytam

wahanie
dotyk dłoni spalony na kawę

30 III 2004

portret Tomka - wiosna I

taki pięgowaty ten dzień
bladozielone włosy rusalki
żonkile i tulipany

stoisz w drzwiach
- i już wiem
będę musiała iść po wazon
zostawić farby pędzle
łąkę sukienkę

uśmiechasz się bursztynowo
piję miód stokrotki
jak pszczoła

naciągam koronkowe pończochy
nadymają się niechętnie
obrażone
rybie łuski dziwne ornamenty

nie musisz mnie obejmować
bo jestem spokojna
martwa jak akwarium
przekrojony na pół owoc

na kolana wskakuje mi kot
łasi się do łodygi do rajstop
w podłużnych niebieskich butelkach
pływają koniki morskie
przyglądam się ich ogonom i płetwom

jestem studnią cembrowiną

15 XI 2003

Atropina. Rozszerzenie pola

przeciągam ręką po oczach i odkrywam
za każdym razem widzę inny krajobraz

za przesłoną dłoni powiek nowe barwy
nowe istnienia żółć ametyst błękit
oko się przyzwyczaja mruży
widok w zieleni purpurze szarości
z plamami bursztynu ze łzą z rzęsą z perłą
która opada którą znalazłeś i zaciskasz
słońce w zenicie za chmurami znika
świt poranek świat zachód
i drzewo i ten właśnie dom

fotografowanie nie jest trudne
wszystko zależy od pogody
pory dnia i roku czy jest dobry
kąt nachylenia cała sztuka
trochę poćwiczyć nieco przykucnąć
na kolanach pochodzić doświadczyć
po trawie kamieniach po rżysku
czasem na plecach lub boku

spróbuj odejmij rękę i powiedz co widzisz
tak jak otwierasz drzwi na przestrzał
na ścieżaj na przestrzeń
i wdychasz wonne powietrze poranka
komponujesz zapach

powiedz głośno gdy zmienia się przesłona
przewija film i wszystko uchodzi
co zostaje odbite i zastygnie w kadrze
co zabierzesz na pamiątkę
zatopisz w spizarni źrenicy
by potem wydobywać i paść serce
siebie mnie nas i świat i światy

Sanatorium. Ćwiczenia na refleks

Następnym razem - doznać / Czego Uchem ogarnąć, / Objąć Okiem nie można
Emily Dickinson

ona widziała coś
czego nie widzieli inni
i czego ja nie dostrzegłam

staralam się bardzo usiłowałam
wyteżałam wzrok czyniłam próby
zanurzałam się w zmarszczki szczeliny
chcąc dotrzeć zobaczyć intensywnie
grę tajemnicę istnienia

ale czy to jest w ogóle możliwe
po co czasami lepiej nie wiedzieć
i zająć się tylko umacnianiem rzeczywistości
niż mrzonką mówili ludzie
gdy z nosem w trawie chorobliwie
rozgarniałam piasek i ziemię
i pod światło macałam zagładałam
w głąb kory
badałam możliwości oka

używałam różnych sposobów i przedmiotów
szyby lustra soczewek młotka i słuchawek
przerywałam rozmowy

i patrzyłam niespodziewanie w bok kątem oka
ale ono NADAL nie dawało się tak łatwo złapać
zanalizować i sklasyfikować
uciekało szybko
(jak postać w czerwonym płaszczyku)

nadszedł jednak dzień
w którym ujrzałam drgnienie i zmianę
że życie przechodzi na drugą stronę i z powrotem
a cząsteczki plazmy układają się w inną konstelację
czas szedł teraz rakiem do tyłu
na zupełnie nowym modelu zegara
(wystawa sklepu z pamiątkami
w miejscowości wczesnowczasowej
ul. Parkowa 6)

tylko nie zapomnieć
zawsze pamiętać
specjalnie kaleczę palec
intensywność soków bólu
intensywność i kruchość istnienia
nazywam czuję więc jestem
nawet wtedy gdy przejmuję mnie mech
i powoli znikam w drzewie w korze
równoległość krążenia
w brzozie i we mnie
jedno serce matecznika

prawdą jest życie
które toczy się TERAZ

O pół kroku

Droga niech wychodzi ci na spotkanie, a wiatr niech ci wieje w plecy
irlandzki toast

nie bój się zaglądać za górę
ani oswajać smoka którego nie ma
po głaskaniu i misce mleka zmienia się
w rozbrajającego psiaka

czy tam naprawdę czeka na nas do spróbowania
rajskie jabłko o gorzkim smaku

nie zdziw się kiedy mnie zobaczysz
zagładającą za następną górę
cały czas w podróży goniącą za czymś
co nie daje się złapać
im bardziej biegnę ono biegnie szybciej
śmiejąc się po cichu po lichu w kułak

Orzechowy sad

zimą orzech laskowy pęka z łatwością
wystarczy skruszyć powłokę by dostać się
do wnętrza sadu

tuż za płotem po lewej rośnie dąb
po prawej śliwy węgierki
z łatwym dostępem do pestki
dalej jabłonie
kronselka z niestosownym nadmiarem różu
i kosztela o słodko – mdlawym smaku
powtarzalności
przez gęstwinę pokrzyw i łopianu
trzy krzewy czerwonej porzeczki
prowadzą dróżką do brzemiennych leszczyn
w cieniu których cisza rodzi marzenia
a po nitkach światła przychodzą pokusy
idę więc dalej
po równinie pół łąk i ugorów
gubiąc czas
na plantacjach modrego lnu
i wyższych ode mnie konopi
w kalinowych koralach i bucikach z sitowia
tam gdzie żaden człowiek
nie może mnie znaleźć
odnajduję swoją małość

dziś orzech z tamtej leszczyny
układam na wilgotnej pamięci
niech pęknie
niech zapuści korzenie

Kałuże

p. Wisławie Szymborskiej

*dobrze z dzieciństwa pamiętam tę radość
kiedy latem padało i ciepłe strugi
jak kolumny łączyły niebo i ziemię*

*wybiegałam bez płaszcza i butów
podnosiłam ręce by stać się kariatydą
w jedni z ziemią kropłą wody*

*zdawało się że rąk nie opuszczę
stopom zabronię kroku
bo na powrót będę człowiekiem*

*gdy słońce rozdzierało kartkę nieba
i świtaniem jaśniały kałuże
wstępowałam w tajemnicę ich bytu*

*ode mnie zależał spokój na powierzchni
brodziłam lub tylko poruszałam palcem
byłam twórcą kształtów mojego świata*

*teraz jak miraż pojawiają się dawne radości
dając poczucie siły kształtują świat
w kręgu mojego wpływu*

*to tylko tyle i aż tyle gdy świat
jak zerwany z łańcucha zły pies
sieje strach i trwogę*

Dziś

zakorzenia się w mocy Bożego krzewu
by z radości Dobrej Nowiny
krążącej sokami wzrostu
w latoroślach
przynieść dojrzały owoc
miłowania

"Dziś" nowego czasu
nowego wieku
i tysiąclecia -
mroczne zwątpieniem
przywalone gruzami nienawiści
poranione
skamieniałe bólem -
oto jest twoim

Czy życiodajne wody Ewangelii
jeszcze płyną przez twoje serce?
Spotkanie w czasie zwanym "dziś"
daje odpowiedź:
do modlitwy powracasz
i w darze chleba
adorujesz
Obecność

2003



Pracownikom Służby Zdrowia

Ja, Łukasz
ongiś lekarz
świadek pracy ewangelizacyjnej
Apostoła Narodów,
na desce rozbitego okrętu
wdzięczny za ocalenie
malowałem zjawioną Madonnę z Nazaretu
pisałem słowa ufności

Dziś wam, którzy toniecie w morzu krzywd
społecznych
liczycie punkty za usługi medyczne
wam, żebrakom wyciągającym dłonie
do schizofrenicznej struktury
zawieszanej między kłamstwem obietnicy
a dramatem codzienności
podaję zwój proroka Izajasza

wraz z Nazarejczykiem
czytajcie:
"Duch Pański spoczywa na mnie
posłał mnie z Dobrą Nowiną"

Spełniły się te słowa
brzmiały ostatnim akordem na Górze
Oliwnej:
"Dam wam moc z wysoka"

jest wśród nas źródło nadziei
Jezus ocala
jak ocalił tonących
w falach jeziora Genezaret

Idźcie
mówcie

Z Janowego Patmos

Uczniom - w święto Nauczycieli

zmagania
Smoka z Niewiastą
Zła z Dobrem
przychodzą nocą
stają się lękiem
ciemnością spowijają jutrzenkę
wolności

nad pustynią sumień
nad bagnem znieprawienia
pełgają ogniki -
w rękach zmęczonych Siłaczek
jeszcze świeci kaganek

Umacniaj te dłonie
wdzięcznością
pragnieniem prawdy
tęsknotą za pięknem

Słuchaj
To mówi On:
"Niech stanie się światłość
nastaje dzień zwycięstwa
Do Mnie należy czas i wieczność
kochaj
bądź ufny"

2004

19 października 2004

Życie trzeba przeżyć godnie, bo jest tylko jedno... Zachować godność, by móc powiększyć dobro i zwyciężyć zło, to pozostać wewnętrznie wolnym w warunkach zewnętrznego zniewolenia...

Ks. Jerzy

powalony, związany, bity
pozostał wewnętrznie wolnym

Jego zniewolenie niesie prawdę
o ludziach systemu
który władza przemocą
bezsilny pustką zakłamania
drżący przed prawdą

Jego umęczenie
jest ceną naszej wolności

rozjaśniona zniczem
modlitwa u grobu męczennika
przyzywa

wyjdźcie z cienia
prześloneci całunem strachu
odchodzący w przeszłość
z piętnem
katów i morderców swego brata

Od dwudziestu lat
kamienie wołają
wody Wisły wołają

Pieśń o żebraku Rusłanie

Żebraku Rusłanie, mój najmilszy bracie
Stojący pod Ostrą Bramą, o dwóch kulach wsparty
Od Matki Bożej słyszę szept ku Tobie
A nie mów nikomu co Ci Ona powie

Żebraku Rusłanie - o dwóch kulach wsparty
Stojący u wrót Ostrej Bramy, a za nas proszący
Zdrowie i błogosławieństwo Boże nam wypraszący
O przepuść nam Panie, o przepuść nam Panie,
Jeśli Cię ominiemy, żebraku Rusłanie

Zbierasz drobne grosiki, na życie Ci ledwie starczy
Wielu Ciebie omija, a nikt się nie dziwi
I pójdziesz o dwóch kulach, gdy wieczór się schyli
I pomodlisz się za nas, nie będziesz się skarżył

Brakuje ci na chleb, na leki, na drobne wydatki
Nie masz już ani chatki, ni ojca, ni matki
O przepuść nam Panie, o przepuść nam Panie,
Jeśli Cię kto ominie, żebraku Rusłanie

Żebak Rusłan odchodzi z ciężkim bólem w sercu,
Bo całe życie on żył w poniewierce
Przeżył reżim sowiecki, łaskę demokracji
A żyje mimo bólu u wrót Swej najmilszej Matki

Gorzki wyrzut sumienia niejednego ogarnia.
Gdy kilka grosików z sakiewki wygarnia

A niech nikt się nie czuje tak smutno i podle
Ja wszystko u Bożej Matki dla was tu wymodłę
Z twarzą pogodną odmawiasz pacierze,
Że Ona Cię wysłucha, ja w to mocno wierzę

Wymodlisz chleb dla kalek, leki dla nędzarzy,
A wątpić niechaj nikt się nie odważy
O przepuść nam Panie, o przepuść nam Panie,
jeśli Cię kto ominie, żebraku Rusłanie.

Do Świętego Piotra Skargo z Lubanowa

Święty Piotrze Skargo z Lubanowa
Wśród Ewangelistów
Spoglądający na Krzyż Chrystusa Pana

Oświecony Łaską z wysoka
Bądź nam pomocą
Byśmy zaczęli od nowa
To dzieło, które uświęca
Pielgrzymi trud
Na Pani Jasnogórskiej liczymy cud

Że serc przemianę
Od Lubanowa, Sieradza, Serocka
Wyjedna Pani nasza
Matka Boża Częstochowska!

Modlitwa do Świętego Kazimierza

Święty Kazimierzu,
Wierzymy w Twoje wstawiennictwo za nas przed
Wszchemogącym Bogiem.
U którego jesteś naszym specjalnym Orędownikiem
w naszym narodzie i Ojczyźnie naszej.
Spójrz z wysoka na nasz smutek i żal,
nie dozwól, by podstępny i schizmatyczny wróg panował nad nami.
Jesteś naszą nadzieją i oddajemy się Twojej opiece
Miej litość nad naszą Ojczyzną,
która prosi o Twoje wstawiennictwo - w której urodziłeś się
I wzrastałeś.
Miej litość nad narodem, z którego sam pochodzisz.
I który wydał najwięcej świętych pamiątek i relikwii.
Nie opuszczaj tych, którzy stracili ludzką nadzieję i brak im
pociechy, ponieważ jesteś potężny i poprzez Twoje wstawiennictwo
u Tronu Najwyższego w każdy dzień sprawiasz tak wiele cudów i
łask.

THEODOR FONTANE

tłumaczył z języka niemieckiego Marek Styliński

Łagodnym zawsze bądź...

Łagodnym zawsze bądź i trzymaj z dala
Od dwornych ukłonów Twoją duszę,
Bo wędrujemy wszyscy z daleka od Pana
Drogą winy i błędów katuszy.

Gdy ktoś przekleństwo czy rozkaz jakiś
W duszę Twoją jak ostrze brzytwy wetnie:
"To ten, kto bez grzechu jest,
Niech pierwszy rzuci kamieniem!"

Cnota, która pełna dumy zachwala samą siebie,
Jest tylko próżnym samouwielbieniem;
Kto prawa Twe miłuje szczerze,
Ten wie, co znaczy przebaczenie.

Do siebie samego

Bądź niezłomny. Nie poddaj się żadnej klęsce.
Nie uciekaj od szczęścia. Ponad zazdrość się wznieś.
Ciesz się życiem, a żadne cierpienie niech nie będzie obojętne Ci
Bo szczęście znów powróci; miejsce i czas
Ku temu obiecują być wraz.

Co cię zasmuca i cieszy to wszystko zrodzone jest
Przyjmij pogodnie swój los. Zostaw żale swe.
Czyń, co ci czynić wypada i zanim na Cię przypadnie
To, co w nadziei chowałeś, odrodzi się ponownie.

Na cóż się skarżysz, co też pochwalisz?
W szczęściu i w niedoli
To wszystko w Tobie jest. Popatrz na rzeczy jakie one są.
Wejrzyj w siebie, swój próżny obłąd rzuć
I zanim naprzód pójdiesz, za siebie nie oglądaj się.
Kto kowalem swego losu i siebie opanować może
Temu daleki świat i wszystko poddaje się w pokorze.

LEONARDA SZUBZDA

kiedy zabrakło ludzi
nad oknami pustego domu
z grudek błota cierpliwie
jaskółki budują gniazda

moi rodzice ulepili dom
z biedy i umęczonych rąk
nocy za krótkich na sen

wierzyli
nie odfruniemy za daleko

gniazda i dom czekają
pamięć ptaków trwalsza
nasze dni rozproszone
w pogubionym czasie

żeby wrócić
trzeba najpierw odejść
poznać tajemnicę ptaków
sens znaków kreślonych lotem

trzeba odwrócić się od zgiełku
zanim nas pochłonie
odrzuć niedorzeczność
osaczających rzeczy
uciec od siebie samych
coraz bardziej nieznanym

Niemczyn, 20 czerwca 2003 r.

w locie jaskółek
jest dziecięca radość
i ufność bez odrobiny lęku

można pokonać
opór powietrza i przestrzeń
zostawić na dole gniazda

brakuje nam wiary ptaków
uczepieni ziemi
skarabeusze
nie wiemy
że mamy skrzydła

R. St., 5 sierpnia 2003 r.

Ja Faust
podpiszę pakt z aniołem
o moją głowę w chmurach
i duszę na ramieniu

za obietnicę odzyskania
utraconego czasu
niezapisanych wierszy
przemilczanych słów
odtrąconej miłości

za zapach poziomek
z tajemniczego lasu
dzieciństwa

za ogrody które
mnie zapomniały

ledwie zabłyśnie pierwsza gwiazda
każdej Wigilii wracają w pamięci
spracowane konie
syte krowy
wierne psy z lśniącą sierścią

zaludniają podwórza
obory stajnie psie budy
od dawna puste

wyurszamy w podróż do siebie
przez białe chusty pól
mijamy przypadkowo wyrosłe miasta
naprzeciw wychodzą umarli

otuleni w żalność
w pacierze naszych matek
przedzieramy się przez życie
po wspólnej niczyjej ziemi
czasem mówimy ludzkim głosem

Boże mój
Panie żywych umarłych i zwierząt
daj nam zdążyć
na grudniowe narodzenie
Miłości

W królestwie zabrakło
pracy i chleba powszedniego

dla dzieci mleka i kaszy
rozpaczliwy ich płacz w „bidulach”
słyszać nawet za bramą

na śmietnikach nowobogacy
wspierają biedaków

przydrożne dziewczyny egzystują
dzięki życzliwości kierowców

martwe dusze można kupić
nawet za dziesięć srebrników

łatwo jest umyć zakrwawione ręce

najtrudniej jest ukryć biedę
pod białym kołnierzykiem

wiedza i mądrość
bronią się przed chamstwem

* Autorka zmarła w październiku 2004 r.
Spoczywa na cmentarzu św. Rocha w Białymstoku.

Od dawna
obok bez dotyku

słowa
dawno spłowiełe

wrażliwość
omszałego kamienia

zostało
tylko trwanie

Newada

Stworzył Pan Bóg Newadę
Na udrękę

Lzy ludzkie i pot
Zanim spłynęły w dolinę
Słońce zamieniło je
W słone kryształy
Co do dziś bieleją na dnie kotliny

Dolinę Śmierci obwarował
Nagimi górami
Co stoją na straży
By nie dopuścić obłoków
Które przysłonią nieco słońce
Co piekielnym ogniem praży

Pusto tu żółto i popielato
Żałośnie i strasznie

Dzięki Ci Panie
Że dane było zobaczyć Twe dzieło
Kiedy zabrakło Ci pomysłów i budulca
A został jedynie piasek i kamienie
I wiatr
Co nasionka wśród skał rozsiewa

Być może za lat tysiące
I tu w palmowych gajach
Jak w adamowym raju
Ptaki będą śpiewać

4-thy of Julay

Nad Michigan niebo granatowe
światłami grają budowle Downtoun
nad miastem księżyc zawisł

W Grand Parku ludno i gwaro
ludno bo Taste of Chicago
i fajerwerki na 4-thy of Julay
gwaro bo młodzieży mrowie

tłum rośnie faluje gęstnieje
tworząc powyginane palisady

mieszanina języków
kolorów skóry
temperamentów

oczekiwanie na świetlną paradę
w powietrzu awionetki sterowce

niżej ludzkie kłębowisko
przez policję strzeżone
pod nogami śmietnisko

poszły w górę race
światel fontanny
mieszają się wzory kolory

zauroczony widokiem
puszczasz wodze fantazji

musisz być czujny
schodzisz na ziemię
komuś torebkę wyrwano
pchnięty ktoś nożem
kogoś tam stratowano

światła gasną
do wyjścia runęła ludzka lawina
jeszcze trochę
ciężba się rozplynęła
plac jak pobożowisko

człowiek siedzi na ziemi
kogoś kładą na nosze
zamroczoną dziewczynę
chłopak przez ramię przewiesił
biedacy zbierają puszkę po napojach
porządkowi uprzątają śmietnisko

jeszcze chwila
miasto żyć będzie
zwykłym swoim rytmem

Grand Canyon

Mgła spływa z chmur
Przyklejonych do nieba
Osioda na wystających spod śniegu
Martwych badylach
I kanionu stromych ścianach

Słońce oświetla je z góry
By pokazać w pełnej krasie
Cuda niezwykle
Miliony lat tworzącej się natury

Wymyślne budowle mgła odsłania
Zamki otoczone murami nie do przebycia
Wieże rotundy piramidy
W odcieniach brązu żółci i czerwieni

W przepastnej szczelinie
Być może w pobliżu Hadesu
Rzeka Colorado płynie
Ciągłe taka pracowita
Nie ustaje w pokonywaniu
Drogi przeszkód i czasu
Ciągłe złobiąc w głąb koryto

Drzemią ściany kanionu
W porannych zorzach i zmierzchach wieczoru
W tęczy kolorach i piorunów błyskach
W promieniach słońca i blaskach księżycy
W puszynekach śniegu i wód nawałnicach

Brodacz

Był bal
szumny kolorowy
bal karnawałowy

popatrz popatrz
tam u drzwi
stoi Piotruś z Grzesiem
jeden cztery lata ma
drugi tylko trzy

„proszę wpuścić” obaj proszą

podrośnięcie
bardzo proszę
ale dzisiaj nie mam jak

chłopcy z zalem w bok odchodzą

wkrótce przed ochroną z pałą
obywatel godny staje
bardzo długą brodę ma

„proszę wskazać gdzie jest wejście”

„bardzo proszę proszę bardzo”

bal trwa
szum i hałas
wszystko wkoło drży
a najgłośniej tupie skacze
bardzo dziwny brodac

wokół niego w krąg stanęli

bału uczestnicy
a już niosą mu na tacy
przepyszne delicje

milknie nagle szum muzyka
słyszać szepty w krag

patrzcie patrzcie podziwiającie
brodacz ma dwie pary rąk

powolutku krok po kroku
wszyscy zrozumieli
że to właśnie
oczywiście
ci dwaj chłopcy byli

Biedronka

Przyszła biedronka
do kosmetyczki
proszę mi policzyć
moje czarne kropeczki

coś mi się zdaje
że jedną zgubiłam
kiedy wpadłam
do rzeczki

Dziwna kotka

Mała kotka
skaleczyła łapkę
siedzi smutna
nigdzie nie może się ruszyć
trzeba jej pomóc
łapkę szybko wyleczyć

przyszedł jej do głowy
dziwny pomysł koci

zgromadził się na drodze
tłum niemały
wytrzeszczają oczy
a kotka
to idzie po drodze
to znów lekko
na balonach
w powietrzu leci

Boże matki

Czyście słyszały o pieśni nad pieśniami
Wypełniającej powietrze raju
Płodne
Błękitami ulotnych zalotów
Zmienianych w przyśpieszony oddech
W nowe tętno życia

Wy które wciąż poczynacie Człowieka
I którym nie dane dokańczyć
Dzieła Stwarzania

Czy wiecie o rozkoszy niewinnej myśli
Mocy słów co ogrzewają serce
I owocują ciałem z odwagą miłości

Matki rodzące synów i ojców przyszłości
Kochane - święte - pełne łaski
Dziewice ze ślubnych kobierców
Niepokalane myślą lubieżną
Nie zwiedzione słowem albo gestem
Nie zdobyte gwałtem
Pełne Miłości

Pokorne jest wasze piękno
Kobiety - kwiaty
Przyjęte niegościnnie
Niezdarnie pielęgnowane
Często samotne nad życia kołyską

Świt łka głosami matek okradzionych z dzieci
Złożonych na ofiarę krwawą zwyrodniałym wodzom
A duchowi tchórze
Przy tronach pychy i chciwości
Fenickie kadzidła palą
Zapomniawszy o Jedynym Bogu

Szczęście matek - skarbie nie odkryty
Kto cię odszuka

JÓZEFA DROZDOWSKA

TĘSKNOTA ZA LISEM

W nocy niespodziewanie wypadł mróz. O tej porze u nas jest on czymś zwyczajnym. Tutaj okazał się wybrykiem natury. Oszronione drzewa gięły się bardziej pod moim zdziwieniem niż koronkową sadzią. Tej jednej nocy spadły prawie wszystkie jabłka przy drodze. Spod cienkiej szklistej pokrywy zieleń się soczyściej niż zazwyczaj trawa.

Droga była śliska. Petra prowadziła, więc samochód uważnie i dosyć powoli. Ślizgał się i tak w poprzek jezdni i przez chwilę miałam obawę, czy nawet ta pedantyczna niemiecka zaradność nie zawiedzie. Mijałyśmy kolejne bawarskie drewniane kapliczki. Niższe od naszych polskich. Są to raczej krzyże z zadaszoną okazałej wielkości postacią ukrzyżowanego Chrystusa.

Dookoła mijałyśmy łagodny krajobraz. Pola i spokojnymi liniami wznoszące się i opadające wstążki szos, okalające sterylne białe osiedla z czerwienią dachów pod błękitnym niebem, a ponad nimi wznoszące się smukłe wieżyczki kościołów.

Jakbym widziała idącego Mistrza precyzyjnie i zarazem lekko kładącego na płótnie zarania krajobrazów i ludzkich dusz. Bo jest jakaś zbieżność tutejszego krajobrazu z charakterem jego mieszkańców. Owi ludzie, jak dało mi się to trochę poznać, mają w sobie zarówno coś z powiewu wiatru, jak i solidności kamienia. Tak to odczuwam.

W miasteczku Walerstein spod lekkiej pierzynki śniegu czerwienią się owoce płożących się wzdłuż ulic irg i stygną pomarańczowe serca późnojesiennych kwiatów. Wśród stylowych domów czuję się trochę nieswojo i obco, tak bardzo są inne od naszych. Niwelują jednak to uczucie niezmiernie taktowni i pomocni ludzie. Na „Romantycznym szlaku” niezbyt jednak czuję się romantyczna, a wina tego tkwi w moim samopoczuciu. Wizyty u lekarza, chociażby w najcudowniejszym miejscu, nie odczuwa się jako przyjemności. Dobrze, że poszło wszystko jak najlepiej. Wypadałoby jedynie napisać traktat o wyższości opieki medycznej

w systemie nieopiekuńczym nad opieką w państwie o wpisanej w konstytucję opiekuńczości. Ale i po co.

Do wsi wróciłyśmy grubo po południu. Drzewa znów były zielone. Jedynie bystrość nieba wskazywała na utrzymujący się ciągle mróz, a raczej przymrozek. Na mury klasztoru kładł się podłużny cień sąsiadującego z nim lasu. Sygnaturka klasztorna wraz z drugą, z pobliskiego kościoła, wyprzedzały się w zawiadamianiu tutejszych mieszkańców o upływającym czasie. Wybiła chyba czwarta. Po łagodnych wzniesieniach przetaczały się jedna po drugiej godziny i znikwały w przepastnej nicości. Nim nie zastanowimy się nad przemijalnością czasu, nie odczuwamy jego przepływu. Zdaje się nam, że wszystko trwa wiecznie. Tutaj, co godzinę, a nawet i częściej, kościelne wieże przypominają, że o pół godziny bliżej do wieczności.

W krzewach berberysu za klasztornym murem wrzawa wróbli, a w rosnącym obok głogu – szpaków. Pomyślałam, że od nas już one odleciały. Nie wiem, skąd ta ciągła tęsknota za czymś, co chciało się opuścić i co uwierało jak ta dzisiejsza choroba, a co teraz jawi się jako najbardziej pożądane. Przeszłam rzeczkę Mauch. Pod przeźroczystym lodem widać było z mostku pędzącą szybko wodę. Potok pod cieniutką skórą lodu wzbierał niczym wrzód. Miałam wrażenie, że wnet gdzieś się przerwie i wyleje jego ropa na ten cały ład i układność, na tę całą stosowność i piękno bez skazy. Nic się jednak nie stało. Potok płynął nadal, mając za nic moje przepowiednie.

Poszłam pod górę. Wewnątrz lasu mimo pełni dnia odczuwało się mrok. Droga dosyć ostro pięła się do przodu, a że leżało na niej sporo śniegu, a nawet lód, nieraz się zachwiałam. Zdarzyło mi się, po którymś z kolei zawrocie głowy, potknąć się mocniej, aż dotknęłam dłonią chłodu ośnieżonej trawy. Czułam się słabo. Świat wirował wokół, a zachwiana równowaga, lekarz obiecał, że powinna przejść w tydzień, powodowała mój chyboczący chód. Rzuciło mną czasem z jednej strony drogi na drugą jak jakimś liściem. Wewnątrz czułam ciężar drogi i ciężar istnienia. Przypomniał mi się dzisiejszy sen. Próbowalam w nim wydrapać się z jakiś głębokich rowów i będąc blisko ich pokonania opadałam ponownie. Obiecałam sobie w czasie snu nie

przedsięwziąć na swoje barki żadnej z większych życiowych spraw. Widzę teraz, że to moje przedsięwzięcie, które mnie tutaj przygnało, za ciężkie staje się na moje ramiona. Gdyby nie wstyd, wróciłabym, chociaż i dzisiaj.

Z moją rodziną puszcza lasy te miały jedyną wspólność – sosny. Nic więcej. Raczej przypominały zadbane parki. Z rozstawionego w wąwozie karmnika dochodził zapach siana i zwierząt. Zapewne saren. Pnie sosen bandażowały przed wścibskim wzrokiem i dotykiem kopytniki. Przechyliłam się nieco, by zerwać jeden listek i spotkałam się oko w oko z lisem. Rudzielec, trzymając nieruchomo puszystą kity, patrzył na mnie jakby zamarły w bezruchu. Trwało to może sekundę, może dwie. Liść kopytnika wypadł mi z ręki, a świdrujący mnie wzrok odczuwałam wewnątrz aż do bólu. Chwilę potem pognął między sosnami od karmnika w dół, aż gdzieś na skraj lasu. Na drodze wysadzoną jabłonkami, gdzie stał ukrzyżowany w kapliczce Chrystus i pierwsze zabudowania wsi Maihingen. Co za interes miał o tak wczesnej porze we wsi? Podniosłam liść, włożyłam do kieszonki kurtki i poszłam jeszcze dalej w górę. Zająć tego dnia nie miałam, a las zastąpił mi to wszystko, czego nagle zabrakło. Przede wszystkim rodzinny dom i mamę.

Drzewa nie mówiły twardym niemieckim akcentem. Nie były tak bardzo rozsądne jak moi niemieccy przyjaciele. One po prostu były podobne do moich rodzimych sosen i je mi ciągle przypominały.

Dzwony zaczęły bić na szóstą. Rozkołysało się powietrze, drzewom poszerzyły się igły, kopytnikom wyblyszczaly się liście. Zawróciłam. Wieczność przybliżyła się o dwie godziny. Na drodze przesunęły się cienie. Przybyło tęsknoty, również za lisem, nie wiadomo skąd i nie wiadomo, za czym goniącym. Na moście stali oparci o rowery Margiet i Joachim.

- Dobrze spacerowałaś

- Tak

Szronu na drzewach wokół klasztoru nie było już ani znaku. Na długim murze klasztornym głóg rozciągnął cień swej cierniowej korony. Słońce padając z ukosa przestawało ogrzewać jego rany, zaś ostro świeciło prosto nam w twarze. Gdzieś między kolcami przesunął się ostry pysk lisa. Ale o tym wiedziałam tylko ja.

ANNA GNIEWKOWSKA

SONATA

„Posyłam Ci ten list prawie w ostatniej chwili. Stary rok wykręca się na pięcie, zrzucając całą odpowiedzialność na ten nowy, który ma nastąpić...

Chciałabym móc wytłumaczyć, dlaczego tak długo nie pisałam. Moje milczenie nie pochodzi z braku przyjaźni, raczej z ogólnego zagubienia niż braku czasu. To pierwsze spowodowało zagnieżdzenie się w mojej głowie stref, które swoimi marginaliami sypiącymi się bez liku, zbałamuciły mnie swoją niedorzecznością pełną kłamstw, naiwnych pytań bez odpowiedzi, bezsensownych powtórzeń... Głupia, niewybredna pamięć zarasta wszystko bez wyboru, płacze sens z bezsensem, bezdennie lekkomyślnie... Tyle na usprawiedliwienie milczenia. A dalej, że naświetlania i leki nie przyniosły spodziewanego efektu, osłabiły mi tylko serce, przynosząc dodatkowo napady czarnej melancholii. Zatem wybacz, jeśli potrafisz... Dopiero teraz wiem, że czas bywa okrutny dla tych, którzy sądzą, że mają go w nadmiarze.”

„Cisza szpitalna nad ranem ma swój specyficzny hałas: stukanie drewniaków pielęgniarek, szuranie kapci pacjentów, pobrzękiwanie wózka z lekami, okresowego pojękiwania windy i odgłosów z kuchni, ale to już później, kiedy robi się jasno za oknem. Znam to na pamięć, jak pacierz. Najdrobniejsze wydarzenia i dźwięki, jeśli pojawiają się z pewną regularnością, zaczyna się w końcu lubić, człowiek przywiązuje się do nich jak więzień do znajomej myszy. W takim dniu poszatwowanym na badania, obiad, wydawanie leków, zabiegi, wydawać się może, że nie ma czasu na pisanie listów, ale główną przyczyną jest chyba to, że nie jestem przekonana, czy go oczekujesz.”

Moje myśli zataczają kręgi jak zmęczone ptaki. Trudno mi na czymkolwiek skupić uwagę. Popołudnie jest upalne, powietrze drga w otwartym oknie. Trzy muchy wykonują skomplikowany taniec. Słoneczny blask sięga wszystkich kątów pokoju i mam poczucie, że nie ma się gdzie ukryć.

„Pamiętasz ten dom na wzgórzu, który latami zamieniał się w ruinę - ściany marszczyły się i w końcu zapadały w sobie, jak twarz starej, niepotrzebnej kobiety? W zapuszczonym ogrodzie jeszcze przez kilka lat kwitły kwiaty niknąc coraz bardziej w zwojach wybujających chwastów... domów nie można odbudować, a jeśli tak się stanie, to czynność pozorna, tak jak nie można odbudować przedmiotów, których nieożywiona uczciwość wzbrania się żyć w innej postaci niż w postaci snów i mizernych pragnień.

Chodziliśmy często bawić się w chowanego na wzgórzu. Ale tylko w dzień. Wieczorem, kiedy zmierzch wydłużał cienie drzew, robiło się tam zbyt cicho i niesamowicie, nawet jak na taką hałaśliwą gromadę dzieciaków... czasami nocą miałam wrażenie, że w oknach tamtego domu zapalają się światła. Widziałam cienie przesuwających się postaci. Przyjemnie było wtedy zanurzyć się w bezpiecznej ciepłej pościeli, zamknąć powieki i wszystkie strachy natychmiast odfruwały, niby niepotrzebne papierki, które następnego dnia rozwieje wiatr od wzgórza. Pamiętasz tamte dwa kasztany? Te, które rosły na granicy dzielącej dwa światy - nasz domowy, bezpieczny, od tego wiejącego grozą i pełnego wieczorem cieni ogrodu? Już pod koniec wakacji zaczynało w nas rosnać napięcie mające eksplodować gdzieś w okolicy jesieni razem z tymi brązowymi, jędrnymi kulkami, które wyłaniały się z kolczastej zielonej powłoki. Po nocach śniłam ich aksamitny dotyk dający zapowiedź niesłychanego szczęścia... Kasztanowe ludziki poczepiane zapałkami zalegały półki i wszystkie możliwe płaszczyzny mieszkania, budząc nieustanne gderanie dorosłych. Po kilku tygodniach traciły swoją wymowę, pokrywając się kurzem. Wieczorami siedziały osowiałe, wyolbrzymione wspomnieniami, wyogromnione własnym cieniem który umykał wstydliwie z nastaniem poranka. My, dzieciaki, niestałe w uczuciach odbiegałyśmy do innych spraw. Któregoś dnia

wszystkie te twory kończyły żywot w śmieciach zgarnięte tam niecierpliwą ręką matki. My zbieraliśmy liście szalejące kolorami.

Pamiętasz? Układało się je między kartkami książek, a potem sztywne i wyschnięte uderzaliśmy szczotką, aż wykruszało się z nich całe doczesne ciało i zostawała jedynie delikatna siateczka – „dusz” liścia. Te dusze uczezione nitką lampy wirowały później nad moim łóżkiem w łagodnym tańcu, który usypiał...

Dużo bym dała za taki liść nad moim szpitalnym łóżkiem.”

„Pamiętasz, jak bardzo baliśmy się wiatru? Dom skrzypiał w posadach, a wokół szumiały wielkie topole. W kuchni klekotały naczynia uwieszane na drewnianych kołkach. Jabłonie w ogrodzie gięły się na wszystkie strony w jakimś natchnionym tańcu, który dla nas wyglądał strasznie... Czekaliśmy poranka jak wybawienia. Wtedy wszystko wyglądało inaczej, zwyczajnie, bardziej do przyjęcia. Rechot naczyń w kuchni i ciepło rozchodzące się z pieca po całym domu przepędzało niesamowitość pełną wycia, świstów i jęków...”

Zastanawia mnie, ile historii ludzie mają do opowiedzenia! Mam wrażenie, że kiedy przestają mówić, pojawia się strach, że wpadają kropla po kropli w przerażającą pustkę, gdzie ponad przerażeniem dryfują całe morza błędów... Staram się ich słuchać nie robiąc komentarzy.

„Wiesz, często myślę o całej szarpaninie z życiem, z Matką, Ojcem, teraz już takiej nieważnej. Tutaj wszystkie dni wyglądają jednakowo i nic już nie przeszkadza, nie wadzi, z nikim nie można się pokłócić, bo zwyczajnie - nikogo już nie ma. Gdybym to wszystko wiedziała wcześniej. Ale przecież tego nikt nie wie. Nawet Ty. Od kilku dni jestem w domu, ba, nawet wypuściłam się na wyprawę po mieście. Widzę na ulicach pochylonych, zafrasowanych ludzi, wszyscy gdzieś dążą, wymijają się niecierpliwie, twarze mają złe i zaciśnięte. Całe ulice porysowane są liniami tych dążeń, spotkań, wymijań... Wpadłabym niechybnie w depresję, gdyby nie to, że dzień był wyjątkowo dla mnie łaskawy, mimo że to jesień – ciepły, zamglony i bursztynowy na

dalekich krawędziach. Poszłam daleko, aż do parku i dopiero tam opadłam na ławkę, czując jak bardzo jestem wyczerpana i słaba. Wydaje się, że przekroczyłam pewne dopuszczalne i ostateczne granice. Nie chcę taić tego nawet przed sobą. Inni robią wielkie oczy, patrzą z obłudnym szacunkiem, uroczystą powagą, w której tyle jest na dnie radości, że to nie on, że nie jego to dopadło. Należałoby przyjmować takie fakty z najwyczejniejszą miną, z pewnym nawet roztargnieniem, przechodzić lekko do porządku dziennego. Tak byłoby o wiele łatwiej. Przynajmniej w moim przypadku.”

Ojciec był niewysokim, ale bardzo twardym i skrytym mężczyzną. Potem utył i wyłysiał, aż trudno było uwierzyć, że kiedyś był przystojny. Miał wiele tajemnic, które przed nami ukrywał, dotyczyły one pracy, pieniędzy i podwójnego życia, które, jak się później okazało, prowadził. Kiedy umierał, też starał się to zachować w tajemnicy. Nigdy nie powiedział, jak bardzo jest chory i po co idzie do szpitala. Wspomniał coś tam matce, że jedzie z kolegami na kilka dni. Chyba na zjazd koleżeński. Nie słuchała go uważnie. Jak zwykle... Umarł w trakcie operacji. Matce pozostał na resztę życia udręczony, niespokojny wygląd kobiety samotnej, którą mąż opuścił przed laty, jeszcze za czasów, kiedy był z nami. Fakt jego zdrady przydał jej ustom gorzkości, nawet jej ubrania wyglądały na używane i zgorzkniałe. Chociaż bardzo się starała... Nienawidziłam później spojrzeń, które rzucali mi mężczyźni za plecami swoich żon – owo przypadkowe zatrzymanie wzroku na mojej twarzy, moich nogach. Jakbym była przedmiotem, na który można patrzeć. Niewiele spraw chcę pamiętać. Jeden szczegół utkwił mi w głowie. Kiedy było źle, podchodziłam automatycznie do fortepianu, który był centralnym punktem pokoju, ośrodkiem mojego życia. Zaczynałam grać... kiedy to robię, nie jestem tą samą wystraszoną istotą. Na muzykę zawsze jest czas, całe wieki. Przestrzeń się rozciąga, czas się rozciąga. Jestem jasnością, głosem, wolnością. Moje serce wali do granic wytrzymałości... Tamtej zimy napisałam kilka utworów i zaczęłam pracę nad sonatą. Tkwiła we mnie od zawsze i nawet chciałam ją zadedykować Tobie, wypowiedzieć tą muzyką więcej niż to potrafiłam słowami. Tylko

że pewnie Tobie na tym nie zależało. Nigdy zresztą nie rozumiałeś muzyki, zwłaszcza mojej. Dla mnie dźwięki były ważne – strumień, który można usłyszeć tylko wtedy, kiedy samemu się milczy. Ty zaś, nie milczałeś nigdy...

Wychodzę na ulicę po kolejnej lekcji z uczennicą. Ogarnia mnie strach – wszędzie jest zbyt hałaśliwie – za dużo samochodów, za dużo ludzi. Z trudem docieram do domu. W łazience bałagan. Zaparowane lustro ukazuje blady, odrealniony cień twarzy – chyba mojej. Włos na umywalce. Przyciąga mój pełen nienawiści wzrok. Jest późno. Z sypialni matki dochodzi odgłos chrapania. Stoję nasłuchując – chrapliwy, nieregularny oddech. Dźwięk przypominający zdławiony śmiech. Zdaję sobie sprawę z niego przez całą noc, nawet przez sen. Przeraza mnie. Zaczynam drżeć, chociaż sama przed sobą udaję, że tak nie jest. Rano zadzwoni budzik, o tej samej porze, co zwykle, ubiorę się bez pośpiechu i pójdę na zajęcia. Przecież będzie zwykły dzień. Mogłam to udawać, mogłam udawać cokolwiek... Stoję jednak dalej w progu jej sypialni. Łóżko jest podwójne, chociaż sypia w nim teraz tylko jedna osoba. Popielniczka pełna niedopałków wydziela ciężki, odurzający smród. Ciało matki przykrywane kropelki potu. Jest napięte, pulsujące mimo snu, desperackim życiem.

Muzyka to strumień, niezwykle szalony i wymagający. Frazy przemijają, przechodzą, powtarzają się, słyszę melodię, której przedtem nie słyszałam. Staram się okiełznać ją, przywołać, usidlić na papierze. Nie potrafię odpocząć. Jej intensywność budzi we mnie przerażenie. Opadająca oktawa skacze, wpycha mnie z całą mocą w samotność. Profesor powiedział kiedyś: „Jest Pani bardzo dobra, jak na kobietę... Ale raczej to nie jest przyszłość dla Pani. Proszę wyjść za mąż i urodzić dzieci”. Myślałam, że kpi. Uśmiechnęłam się wtedy ukradkowo i beznadziejnie...

Czasem uczniowie przychodzą do mnie na lekcję do domu. Około wieczora matka zagląda do mojego pokoju. „Skończcie już” – mówi omdlewającym głosem. „Jestem zmęczona, chcę

spać”. Muzyka milknie. Myślę o niej, kiedy zamyka za sobą drzwi. Jej życie jest skończone. Nie myśli o mężczyznach i dokończy życia nie myśląc o nich.

Przez krótki czas mieszkała z nami ciotka Marynia, siostra ojca. Byłam wtedy siedmioletnią dziewczynką. Poczuliśmy do siebie niechęć od pierwszego wejrzenia. „Nic dobrego z ciebie nie wyrośnie, jesteś żywym portretem ojca”- mawiała. Do wieczornej modlitwy dorzucałam prośbę o śmierć Maryni. Modliłam się o to kilka miesięcy. Przez ten czas nie chodziłam do spowiedzi, wpadłam bowiem na chytry pomysł, żeby najpierw wymodlić się o śmierć Maryni, a potem dopiero wypowiadać się z tego. Ciotka jednak nie umarła. Codziennie połykała kilkanaście różnych tabletek, ale w sumie była zdrowa jak koń. Nienawiść, którą do niej czułam, przeniosłam po części do Boga. Czułam się oszukana. Wyraźnie trzymał stronę tej wiedźmy.

Posłałam moją sonatę na konkurs. Nie została nawet zauważona. Profesor usiłował mnie pocieszyć: „Musimy popracować, zastanowić się, jak wydobyć z pani jeszcze więcej. Ten utwór jest zbyt ciasny, zamknięty. Trzeba zacząć od początku.” Pochyliła się nad fortepianem i zaczyna grać, jednocześnie coś do mnie mówiąc, ale ani jego słowa, ani dźwięki nie trafiają nigdzie, są jak schody donikąd. Idę później przez park i mam wrażenie, że nikt mnie nie widzi, poruszam się w ociężałym, jesiennym powietrzu jak pływak. Mam wrażenie, że życie dopchało mnie do tego momentu, a teraz odepchnie mnie w drugą stronę. Tamto, przeżyte, wydaje się jak sen innej kobiety.

„Posyłam Ci ten list w ostatniej chwili...” Powiedz mi, dlaczego zjemy tak, jakbyśmy pisali coś „na brudno”, bez możliwości poprawienia? Posyłam Ci rękopis mojej sonaty. W przeciwieństwie do mojego życia dokonałam w niej wielu poprawek: wygładziłam, wyprostowałam zbyt zawile tematy. Siedzę teraz i przeglądam ostateczną wersję. Mój umysł wypełniają dźwięki. Poszukuję w nich znaczenia, chociaż jestem pewna, że nic się za nimi nie kryje. Przestałam im wierzyć...”

DZIEŃ

Uścisk ręki. Jak to się dzieje, że nigdzie pani nie można złapać. Tak, mam sprawę. Nie, nigdy nie zapominam.

Łapie powietrze ustami, jak ryba. Sieć ma duże zielone oczka. Śliska. Jak to się dzieje, że nigdzie pani nie mogę złapać. Zielone oczy, jak woda.

Porozmawiać. Otworzyć usta. Dźwięki płyną. - Ja w sprawie, to taki stary znajomy, mam zobowiązania. - Pani ma zobowiązania? Ja też, widzi pani, jak to się spleta, rozplata. Wodorosty.

Szyba. Rozmazana twarz. Pani się maże. Ma się te swoje lata, a człowiek zawsze jak dziecko. To ładne, a tamto be. Boli. Stłuczone kolano.

Uścisk dłoni. - Pani nie zapomni, ufam, wierzę tak, wierzę. - Świsł powietrza. Jegomość sapie. - Może coś na serce jegomości? - Nie te lata. Praca, wie pani, odpowiedzialna. Człowiek nie je, nie dośpi, kłopotów nie ubywa.

Toczy się - księżyc po drodze. Ktoś kiedyś powiedział: - Księżycu, tocz się prosto w moje dłonie napięte. To tylko droga mleczna. Nie ustoisz.

No to do widzenia. Trzask drzwi. Jego uszy, moje uszy. Zszarpane nerwy. Dygocą, jeszcze przez moment potrwa w skórze ten ostry trzask. Po niego diabła gadać z tym ramolem. Sentyment. Zawsze się zacierzwał i tej trochę odwagi miał. Pamięć. Mieliśmy program. Miłosierdzie. Spał na łóżku obok Józefa. Dzielił się z nim każdą paczką z domu. Paczki dostawał duże.

Kiedyś powiedział: - Duże oko wiersza. Józef, że uroniło łzę. Ja, że estetyzm. Pan, pani. Skąd się nam wziął ten oficjalny ton.

Nowa formuła. Jak w alchemii. Odżegnać się od zmartwychwstania. Recepta na młodość.

A w ogóle to trzeba liczyć, że nas nie ma. Dolegliwość, zółć na języku. Takie to pamiętanie. Na szkolnej lekturze chowanie. Policz drgania mego serca. Sejsmiczne.

- Ja z ogłoszenia. Potrzebujecie siły fachowej. Mam praktykę, wykształcenie takie raczej humanistyczne. Filologia, dwa lata. Ale odwykłam. Na pracy biurowej się znam. - Księżyce. Szeroko otwarta księga rachunkowa. Księga, księżyce. Dwa zlepione półksiężyce. Biodra. Cisza, skupienie, kontemplacja. Ogromny Budda za biurkiem. Ciężkie spuszczone powieki, uchylona szuflada biurka.

Coś pod skórą. Jak otworzyć, to lepkie. Krew, ślina, mocz, wszystkie cuchnące ciecze zebrane w jeden dzban ciała. Chodzę z tym wstydliwie, jak z drogocennym. Domyśla się, świnia, domyśla się, pewnie ma kłopoty z trawieniem.

Rozmowa. Czyjaś żona w czyjejs sprawie. Skwapliwie zaksęgowana. Na stronicy pierwszej, na drżącej wątłej tasiemce zwoju mózgowego. Pewna, z taką lepiej ostrożnie, delikatna, do zadrażnienia. Uwrażliwia się. Tylko ją drapnij, złoto skacze do oczu, po kiego diabła jej tyle pierścieni. Uchyl brzucha, jak szatę zwiewną branko, krzepka sułtańska branko, namaszczona wonnościami. Uchyl brzucha, ukaż różowy strzep połędwicy, puść oko kawioru, niech zakwitnie, kwiat egzotyczny - rozpulchniony fus od kawy, brudne kropeczki. Storczyk. Plamy pod oczami. Leczyć wątrobę. - Dzieci. W której klasie? To kłopot. - Monotonny dźwięk tamburynu.

Do pierwszego, potem urlop. Trochę lektury. - Nie jesteś na czasie. Wstyd się z tobą pokazać. Moduluj głos - ten gruby to ma słuch. Esteta. Tak trochę gardłowo. Zmysłowy, dźwięk. Jakieś ostre oderwane skojarzenie. Czytał Freuda, lubi to. Poważny. Konstruktywnie. Twój światopogląd się rozpada, zbierz do szafy ten bałagan. Zrób pranie. Brudy należy prać we własnym domu. Ryba, czy do ciebie nie przemawia poezja dnia. Codziennego. Nasze małe budowanie.

Na coś liczyłam. Na jedнокrotność. Nic dwa razy się nie zdarza. Ty się zdarzysz po raz drugi. Smutne oczy jelonka na rykowisku. Zapach duszonej dziczyzny. Dusi się rękami. Krwawo, kat jest odwrotnością króla. A może inaczej. Zawsze druga strona medalu. Uduşony jeleń na rykowisku z wytrzeszczonymi rogami.

Gały wybałusz. Tak mówi dziecko. Rekwizytornia, skąd to masz. Żywcem z pokoju dzieciennego. Mała magia. Promionki od człowieka do człowieka. Nic porozumienia. Okrągłe kosmate słońce prosto w wodę.

Słońce. Pierwsze dni wiosny. Dobrze, że oddycham. Tak przed siebie, prosto, bez celu. Kiedy ostatni raz byłam na spacerze? To już chyba wieczność. Nie umiesz zorganizować sobie czasu. Co zrobić, kiedy mam aż całą wieczność, przed sobą, za sobą. Idiotka, po co ci ta kokieteria. To nie znaczy nic. Nic! Rozumiesz?! Jesteś jak cienie, które zbierają się nocą na grobach. Okruch litości. Co dzień go daję, ale moja cierpliwość się wyczerpuje. Jestem za poważny, żeby prowadzić w domu złobek.

Kwilę, jest wiosna. Stary, siwy przechodzień zatrzymuje się. Uśmiecha się, gładzi po głowie. Sięga do kieszeni. Wyjmuje. Smoczek. Wkłada mi go w szeroko otwarte usta.

PIES

Oto przechodzą ludzie. Przechodzą jak trzeba, po pasach, jak między palcami ręki wyciągniętej zza horyzontu przez fabrykę, sklep, biuro albo inną Twarz o szklanym oku.

To, co objaśniasz, jest proste, zmierza nieuchronnie do celu, który jest we mnie. Ocieplona włosami, z głowa wsunięta w mufkę włosów, odejmujesz sobie od ust strach zwolnionego przeżywania. Ja, jak zwykle, co wtorek wyznaję ci miłość, to taki system, który zadomowiłaś do ostatniego słowa.

Zaraz cię przekażę - różnokolorowej taśmie biurek z główkami dziewcząt, sterczącymi jak wyczyszczone gałki metalowego łóżka, które pamiętam z dzieciństwa.

Odkocyzs - sprzety się łamią - od czystej harmonii główek

na pierwszy gest dyrektora – gronostaja, którego jasna sierść elektryzuje się w powietrzu.

Mówisz - Jesteś zwierzę - i głos ci się łamie, chwycony szybko w rękę jak sople lodu.

Jeszcze się śmieję.

Potem biegnę do wspomnień, bo przecież mam wolne. Bóg wie od jakiego czasu nie miałem dnia dla siebie. Dla ciebie. I przeliczam cię na jabłka, na stosy jabłek, tak muszę, bo przecież jesteś zachłanna. - To tylko się liczy, co pogryzę - szeptałaś. Już wtedy wiedziałem, że gryzienie to jedyny sens, schowałem go dla ciebie. Okrucieństwo, na które mogę sobie pozwolić.

Matka - to było dawno - wiedziała, że jestem pies. Czasem szybko rzucała mi drobne kości ręki do pocałowania. — Kochasz mnie? - pytała i podnosiła na rękach wysoko, jak lampę, której przeznaczono świecić.

Skowyt - pierwsze dźwięki, które lubię powtarzać na pożegnanie. Bo przecież mnie żegnasz.

Odpływasz na brudnej taśmie schodów - ważny malejący element konstrukcji, którą nazywam świat.

Teraz mam czas. Krótki odcinek czasu na skonstruowanie fabuły. Fabuły pod wieloznacznym tytułem przyszłość. Już wiem, że ci się spodoba. Wskoczysz w nią, jak w rękawiczkę i wysuniesz zęby.

Pierwsza rzecz: będziemy mieli pieniądze. Zarobię je, wiesz, że się staram. Ta podwyżka już zaklepana, dyrektor wie, co jestem wart, przeliczył mnie, jak drobne. Zebrała mu się całkiem ładna sumka. Zainwestuje ją w stanowisko kierownicze. Będzie mu to na rękę, taki szczeniak to chociaż przez parę lat nie podgryzie.

Będziemy mieli mieszkanie - ładne, masz gust. Samochód, co jak siwy lis będzie przebiegał ulicę, zmierzając do lasu. Do lasu cię też powiozę, ufną i oswojoną. W lesie zatęsknisz do klatki, naszej ładnej klatki schodowej, której będę strzegł jak pies. Miałem kiedyś psa, nazywał się Wierny.

Będziesz się podobać, miękka w sukni jak w sierści. Mężczyźni wyczuwają zdrową sierść na odległość, węchem, to takie coś, co instynktownie trzeba lizać, żeby rozerwać i dobrać się do soczystego wnętrza.

To sceneria. A fabuła? Rozwiniesz ją w kilka romantycznych zdrad małżeńskich, które poszarpią ci nerwy. Będę je miał w rękę, obnażone. Lubię patrzeć na pulsowanie żywej tkanki.

Będziesz podchodzić cicho, wykrętnie, pokorna poczuciem winy, jasna, jak przed uderzeniem kamienia, uderzeniem, którego się spodziewasz.

Ta kobieta ma dziwną twarz. Ciekawe, dlaczego przez cały czas patrzy na mnie. Fakt, zachowuję się jak kretyń, sterczę tu już chyba od godziny, bez celu na mrozie.

Zauważyła mój wzrok. Powoli wysuwa do przodu rękę. W rękę trzyma smycz. Uciekam. Przez ulicę po pasach, które zaciskają mi się na gardle jak palce ręki. Ręki wyciągniętej zza horyzontu, za którą czai się kamienna Twarz.

1976

LEONARDA SZUBZDA

GNIAZDO

Pierwszy przyjechał Adam. Każdego roku wyrwa się chociaż na trochę z ciągle obcego mu Śląska. Pierwszej nocy nie może spać, taka tu cisza. Wstaje wcześniej. Jesiony urosły. Chmiel zieloną ścianą osłania dom od wschodu. Kamień przed progiem zapadł się po zimie mocniej w ziemię. Kilka dachówek obsunęło się trochę, trzeba poprawić. Porzeczki rozrosły się pięknie. Pod płótem czerwona malwa – samosiejka. Może to znak od tych, którzy z tego domu na zawsze odeszli... Znak, że są – w ziemi, drzewach, ścianach, wydeptanym progu...

Edmund przyjechał w niedzielę rano. W cztery i pół godziny z Łodzi. Przyjechali we dwoje z Urszulą. Synowie założyli rodziny. Czasem jeszcze odwiedzają Niemczyn, jakby podświadomie bronili się przed dorosłością powracając w świat dzieciństwa, beztroskich wakacji, zabaw, śmiechu z niczego. Do długiego spania, pysznej babcinej jajecznicy, pączków z marmoladą, zsiadłego mleka.

Edmund, od lat poza domem, nie mógłby żyć bez tych powrotów. Chłonie zapach rzeńskiego poranka, swojskość tego jedyne miejsca. Chociaż parę dni bez pośpiechu, interesów i nerwów. Herbata w cieniu jesionów, nieśpiesznie wypalany papieros, smakowanie czasu.

Tata też lubił mieć rano trochę czasu dla siebie. Może żeby otrząsnąć resztki snu. Może żeby ułożyć porządek dnia. Ustalić, co najważniejsze. Właśnie – co tak naprawdę jest najważniejsze. Może te powroty do miejsc, gdzie wszystko czeka. Gdzie prawie nic się nie zmienia. Warzywa i sad na swoim miejscu, jabłonie w sadzie, jaskółki w tych samych gniazdach...

Obserwowanie jaskółek to jedna z wielu przyjemności bycia w Niemcynie. Najpierw oczekiwanie na ich powrót z ciepłych krajów. Wierzymy, że każdego roku wracają te same, nasze – jakże mogłoby być inaczej. Potem radość, kiedy w otworze gniazda pojawiają się łebki piskląt, wzruszające próby pierwszych lotów, najpierw nisko nad ziemią, potem coraz śmielej i wyżej, wreszcie popisowe śmigania, ósemki, gonitwy, wyścigi. Wszystko dla nas, żebyśmy nie zapomnieli cieszyć się życiem...

Mieczysław przyjeżdża tu przede wszystkim do sadu. Do drzew zasadzonych jeszcze przez Ojca. Antonówki rodzącej złote pachnące jabłka. Kosztelek tak starych, że ich owoce coraz drobniejsze, ale korony rozłożyste, piękne. Do gruszy z obłamaną przez wiatr gałęzią, starych śliw, które od lat nie rodzą, dziko rosnących wiśni. Do stareńkiej jabłoni przy warzywnym ogrodzie, której nie pozwala ścinać.

Powraca do zapamiętanego z dzieciństwa świata – wsi z młynem, tartakiem i ludźmi, których od dawna nie ma. Do domów, w których nikt nie mieszka albo mieszkają „nowi”. Lubi siedzieć na ławce przed domem, kiedy wszyscy jeszcze śpią. Po podwórzu uwijają się ptaki. Najstarsza we wsi lipa pierwsza wita wschodzące zza ściany lasu słońce. Jeszcze chwila, a wyjdzie ciocia Bronia i zdziwi się, że przed jej pięknym kiedyś domem nie ma już ganku. Rozebrał go nowy właściciel. Potem dom odsprzedał i wyjechał. Posmutniałe okna wciąż czekają. Ciocia Bronia dawno w niebie...

Kwiczoły od wczesnego rana wędrują po podwórzu w poszukiwaniu robaków. To para, która w tym roku założyła gniazdo w koronie jesionu. Samiec większy, z wyraźnymi brązowoczarnymi plamkami na ciemieniu i czarnym ogonem. Samiczka drobniejsza, ubarwiona mniej kontrastowo. Ptaki śmiesznie biegają, podskakują na obu naraz nogach, czasem przystają i – niby nie patrząc – nagłym dziobnięciem wyciągają z trawy robaka. Szybko zorientowaliśmy się, że w gnieździe jest troje

piskląt, gdyż każde z rodziców dopiero po znalezieniu trzech robaków wracało do gniazda. Głośnym „czak czak” dawały dzieciom sygnał swego powrotu. Pracowały niezamordowanie. Wzorowi rodzice. Z naszą obecnością oswoiły się tak bardzo, że podchodziły całkiem blisko. Czasem tylko, kiedy było więcej niż zwykle ludzi i samochodów, szukały pożywienia na drugim podwórzu.

W poprzednim swoim wcieleniu Emilia była na pewno dziką jabłonią. Dlatego nie może zapuścić korzeni w innym niż to miejscu. Tylko tutaj jest u siebie. Ma swoje kwiaty, ukochane aksamitki we wszystkich odcieniach brązu. Czerwone koniczyny w przydrożnych rowach. Delikatną dzięcielinę na podwórzu. Do glinianych dzbanów wstawia baldachy dzikiego kopru rosnącego nad Brzozówką. Plecie wianki z gorzko pachnącego srebrnego piołunu. Jak tu nie pisać wierszy... Tyle piękna naokoło. Wystarczy wyjść na górkę w stronę Jeziorzyska. Od wschodu widnokrag zamyka ściana lasu. Piękna Puszcza Knyszyńska. Wśród pól pojedyncze drzewa, najczęściej brzozy i dzikie grusze na miedzach. Na zachodzie łąki i pastwiska poprzecinane żerdziami płotów. Pojedyncze zabudowania kolonistów. I tutejsza Barania Góra, niewysoki kopiec niewiadomego pochodzenia. Kolory o każdej porze roku inne – soczyste zielenie wiosny, złoto dojrzałego lata, brązy jesieni, skrząca się biel zimy. Nad wszystkim niebo. Prawdziwe. Z Panem Bogiem...

W gnieździe kwiczołów zaczęły pojawiać się łebki piskląt. Po kilkunastu dniach jeden z maluchów stanął na brzegu, poprawiał piórka i rozprostowywał skrzydełka. Nie wiedzieliśmy jeszcze, że przygotowuje się do zejścia na ziemię. Baliśmy się, że spadnie. Karciliśmy go nawet za lekkomyślne popisy. Tymczasem ptakom było już w gnieździe za ciasno i musiały rozpocząć nowy etap swojego życia. Po południu pisklę nieoczekiwanie spadło na ziemię. Przez chwilę leżało bez ruchu, a my byliśmy pewni, że nie żyje. Jednak po pewnym czasie mały ptak otworzył oczy,

podpierając się skrzydełkami usiadł i... podreptał, początkowo niezdarnie, podskakując i podfruwając, wiedziony głosem matki, skrył się w gęstwinie krzaków porzeczek.

Przyjazdy do Polski to przede wszystkim powroty do Niemczyna. Bo Niemczyn jest dla nich w Polsce najważniejszy. I Babcia Olimpia – kochana, mądra, wciąż młoda. To powroty w ciszę, spokój i bezpieczeństwo. W wieczory przy kaflowym kuchennym piecu, zapatrzenie w płonące pod kuchennym blatem polana. Każde wakacje spędzały tutaj. Zaraz po rozdaniu świadectw szkolnych były już spakowane i gotowe do wyjazdu. Do zabaw w dom, sklep, szkołę, przebieranki w „dorosłe” suknie znalezione na strychu i buty na wysokich obcasach. Był szałas Robinsona zbudowany w dzikiej części ogrodu, zabawy w chowanego i dwa ognie, wyprawy po grzyby, wianki z chabrów, namiot w sadzie, hamak w cieniu jabłoni. Były niezapomniane Wigilie, zapach choinki, prawdziwy święty Mikołaj, kuligi i turlanie się w śniegu.

Pomarańczowy płomień tańczy na rozżarzonych polanach. Ewa uśmiecha się przypominając, jak przekonała w swojej pracy amerykańską nauczycielkę, że ta miejscowość, o trudnej do wymówienia nazwie, jest najpiękniejsza w Polsce.

Dorota fotografuje wszystko, o co się lęka, że nie zostanie za następnym przyjazdem – stare płoty, drewniane pochylone krzyże, przycupnięte do ziemi domy, okna z pelargoniami, poczerniałe drzewi, twarze naznaczone czasem. Zabiera, żeby ocalić...

Na krawędzi gniazda pojawił się po kilku dniach drugi mały kwiczoł. I ten popisowywał się przed nami swoimi umiejętnościami. Przeskakiwał na pobliskie gałęzie, wracał do gniazda i długo nie mógł zdecydować się na zejście na ziemię. Dopiero pod wieczór spadł prawie w tym samym miejscu co brat – widocznie takie były ich plany lądowania. Zmęczony całodzienną wędrówką po konarach i zagubiony w gęstniejącym mroku wieczoru, przysiadł pod ścianą szopy i usnął. Bezbronne ptasie dziecko. Mógł stać się łatwym łupem polujących w nocy kotów, dlatego przykryliśmy go

wanienką i dopiero rano wypuściliśmy na wolność. Jeszcze śpiący i pewnie głodny podreptał, kiwając się śmiesznie, w zarośla pod płotem, wołany przez matkę siedzącą na dachu stodoły...

Najdłużej pozostawało w gnieździe trzecie pisklę. Wiele razy przysiadło na brzegu, ale wciąż wracało do bezpiecznego gniazda. Co za mimoza, mówiliśmy. Na pewno kokieteryjna dziewczynka. Rodzice opiekowali się pisklętami ukrytymi w krzakach porzeczek i karmili też dziecko pozostające w gnieździe. Pewnego popołudnia matka delikatnie pchnęła stojącą na krawędzi gniazda „panienkę”, a sama wolno i łagodnie spłynęła na ziemię, pokazując, jak należy użyć skrzydeł. Ptaszek wylądował na dachu, ślizgając się pobiegał po jego jednej i drugiej stronie, a potem odważnie sfrunął pięknie na ziemię. Po chwili dołączył do rodzeństwa...

Jutro wczesnym rankiem wyjeżdża Adam. Już spakował rzeczy do bagażnika samochodu. Łodzianie wybierają się po południu. Siedzimy przy biesiadnym stole pod jesionami. Edmund przypomina na akordeonie przeboje naszej młodości. Upływa szybko życie – śpiewamy pod rozgwieżdżonym niebem. Jeszcze razem.

Nad nami puste gniazdo...

PANI C.

Odkąd istniała zawsze była smutna. Nie miała przyjaciół, znajomych. Jedyłą osobą, z którą czasami zamieniała parę słów, był Michał. Michał zastanawiał się, dlaczego Bóg pozwolił na taką samotność, w końcu wykonywała dla niego kawał niewdzięcznej roboty. Często snuła się po ulicach bez celu. Ludzie nie zwracali na nią uwagi. Kiedy chciała z kimś porozmawiać, ten spieszył się, nie miał czasu. Latem moczyła stopy w chłodnej wodzie z fontanny. Zimą spędzała na dworcach PKP. Lubiła tam przychodzić. Wyobrażała sobie, że to mógłby być jej dom, którego nigdy nie miała. Siadała na ławce. Patrzyła na podróżnych. Przychodzili i odchodzili. Hala dworca była sceną życia. Uśmiechała się na tę myśl.

Lubiła dzieci. Przechadzając się chodnikiem zaglądała małym ludziom w oczy. Dostrzegała w nich tyle wiary i nadziei. W małych źrenicach iskrzyła się ciekawość świata. One też ją widziały. Gulgotały radośnie i wyciągały pulchne rączki w kierunku tajemnicznej pani. Nie chciała zrobić im żadnej krzywdy, jednak matki instynktownie wyczuwały obecność obcej osoby. Kobiety zabierały pociechy i szybko oddalały się spłoszone, a ona znowu zostawała sama. Trochę bolało ją to, że dzieci, w trakcie dorastania, zapominały o krótkich chwilach wspól obcowania. Stawały się dorosłymi ludźmi, a przecież pamięć o niej rozwiązałyby tyle niepewności. Za każdym razem, kiedy składała im przymusową wizytę, musiała się przypominać. Było to trochę irytujące.

Uwielbiała kwiaty. Często chodziła na łąkę. Lubiła, kiedy poranna rosa pieściła jej stopy. Tańczyła porwana muzyką wiatru i ptaków. W tych krótkich chwilach zapominała o samotności i, na moment, na jej twarzy pojawiał się uśmiech. Wieczorami chodziła na wzgórze. Siadała na kamieniu. Rozpuszczała włosy i pozwalała

żeby ostatnie promienie słońca pieściły twarz. Często słyszała, jak ludzie mówili o niej, że kryje się w ciemnościach, a rysy jej twarzy na zawsze zastygły, nie odzwierciedlają żadnych uczuć. Nawet nie mogli przeczuwać, jak się mylili. Owszem, lubiła jeździć „w zaciemnionym przedziale dla palących”. Gasła wtedy światła, zasłaniała brązowe zasłonki z napisem PKP. Patrzyła na mijane miejscowości spowite mgłą lub otulone ciemnością. Pojedyncze światełka mrugające w mroku dawały nadzieję, że w swej samotności nie pozostawała sama.

Nie lubiła tego momentu. Musiała w mgnieniu odrywać wzrok od upajającego widoku, porzucać myśli. Opuszczała zielone, soczyste łąki i wzgórze. Zakładała kaptur, który przyciemniał jej oblicze. Nie, nie wstydziła się. Nie chciała tylko, żeby ktoś widział łzy spływające po policzku, kiedy po raz miliardowy stawała u głowy umierającego. To byłoby za bardzo ludzkie. Nie mogła sobie na to pozwolić. W swoim fachu musiała być profesjonalistką. Widziała w ich oczach strach. Chciała coś powiedzieć, wytłumaczyć.

Jednak gdy zaczynała, struny głosowe kurczyły się, a w ściśniętym gardle czuła gorzki smak łez. Podnosiła delikatnymi dłońmi ciężką kosę i opuszczała ją gwałtownie. Potem zapadała tylko cisza... Dobra znajoma samotności.

KLEPSYDRA

Nic specjalnego. Zwykła kartka papieru. Trochę pożółkła, w kilku miejscach naderwana. Przemoczona i targana podmuchami wiatru. Ukrzyżowana czterema pinezkami, na których pojawiła się nieśmiało brązowoczerwona rdza. Czarna czcionka. Duże litery. Skrawek papieru zadziwiająco obojętny na wszystko, co się dzieje dookoła. Przykuwający uwagę staruszków, śpieszących do domów po wieczornej mszy.

Kobiety ostrożnie schodzą stromymi, kościelnymi schodami, asekurując się drewnianą poręczą, błyszczącą i wyslizganą tysiącami rąk, które szukają oparcia. W roztargnieniu nie

zauważają, że msza się już skończyła i wciąż jeszcze poruszają ustami, odmawiając niema modlitwę. Dzień się kończy. Dzisiaj znowu będzie dane zjeść w milczeniu kolację, medytując każdy kęs. Odmówić wieczorny pacierz, tak na wszelki wypadek, gdyby śmierć złożyła niespodziewaną wizytę tej nocy. Wtulić zmęczoną twarz w puchową poduszkę. Poczuć na ciele przyjemny chłód pościeli. Zamknąć powieki. Wspomnieć czasy młodości. Westchnąć z tęsknotą za wnukami, którym widocznie pamięć spletała figła.

Spoglądają na kartkę, która obojętnie informuje o śmierci sąsiada, znajomej z okresu podstawówki, dawnego współpracownika. Nakładają okulary. Czytają w skupieniu, po czym odchodzą mrucząc pod nosem modlitwę lub wspomnienie, związane ze zmarłym. W pewnym okresie życia śmierć zaczyna być namacalna, wręcz materializuje się i przenika w każdy kolejny dzień. Czytanie klepsydr stało się ważnym elementem, sumiennie wypełnianym, zaraz po zakończeniu nabożeństwa.

Któregoś dnia zapytałem naiwnie babcię, dlaczego czyta klepsydry. Odpowiedź była zaskakująca. „Widzisz, chcę sprawdzić, czy przy całym roztargnieniu świata, ktoś przez pomyłkę nie wpisał mojego imienia i nazwiska”.

ZOBACZYSZ TAŃCZĄCEGO WIELBŁĄDA (fragment opowiadania)

Gdyby tak zaproponować ludzkości, aby podobnie jak przyroda na wiosnę, każdy człowiek odradzał się obowiązkowo co rok o tej porze, stawał się lepszy, pogodniejszy, mądrzejszy, zdrowszy, silniejszy i przez to wszystko młodszy! Jak by to było cudowne! Zobaczyć odrodzoną egzystencję człowieka, wnikać w zieloną, nie zdeptaną przyrodę, otworzyć księgę legendarnego, utraconego raju.

Jalu Kurek

(...) Czas jak rozpędzone sanki. Nasze życie jak łagodna góra. Joanna uznała, że to już chyba dobry moment, aby podzielić się z nimi swoim odkryciem.

Teraz albo nigdy.

- Miłe panie! Dziewczyny! - zaczęła z uśmiechem - Czy wiecie, jak ważne mamy dziś święto? W jednym pokoju w Miłkowie - spotkały się w dobrej formie cztery pokolenia. Babcia Heńcia - to prababcia, Marynia - matka, ja jestem pierworodną wnuczką Babcie Heńci, a Alunia jest pierworodną prawnuczką oraz pierworodną wnuczką Maryni! W zbyt skomplikowany sposób zaczęłam tłumaczyć nasze koligacje rodzinne, ale pojmujecie o co chodzi, prawda? Czy takie spotkania zdarzają się często?

- Joasiu! Rzeczywiście! Trzeba to uczcić! Pójdę po jabłecznik do piwnicy - krzyknęła z entuzjazmem Helena. - No ty to jesteś bystra, Joasiu! Cztery pokolenia w moim pokoju. Kto by pomyślał!

Helena wstała energicznie z krzesła i chciała już wyjść, ale zatrzymał ją w drzwiach głos Marianny.

- Zapamiętajmy ten moment i opowiedzmy o nim kiedyś Aluni! Cztery Kobiety z jednej rodziny i z czterech czasów! To my! Chyba nie w każdej rodzinie można doczekać takiego momentu!

O! Widzicie znów pojawił się temat czasu i pamięci! - Marianna stwierdziła to uroczyście ale z figlikami wesołości w oku. - Wnusi Alusiu! Kiedy będziesz duża, opowiemy ci o tej chwili, a jeśli nie opowiemy, to i tak się dowiesz! Babcia Marynia obiecuje Ci to!

- Idę po ten jablecznik! A ty Joasiu wyjmij z kredensu kieliszki i przetrzyj je czystą ściereczką z szuflady, dobrze? - powiedziała Helena. - Maryniu, a jak wrócę, dasz mi choć na chwilę Alę na ręce! Przecież ty ją zadusisz z miłości.

Jablecznik, czyli znane od lat babcine wino z jabłek, było miodowozłote w kolorze i dość cierpkie w smaku, ale miało niepowtarzalny miłkowski smak i doskonale nadawało się do toastu. Przyniesione z chłodnej spizarni Heleny, spizarni pełnej tajemnic, jak myślała o niej Joanna, próbując tam zaglądać w dzieciństwie, kiedy tylko babcia ogromnym kluczem otwierała do niej drzwi. Jak bardzo marzyła wtedy o tym kluczu, a spizarnia wydawała jej się miejscem pełnym skarbów, nie tylko kulinarnych.

- Wypijmy za dzisiejsze spotkanie - zaczęła Helena - I zapamiętajmy tę datę : 12 października 1981 ! Ja już, drogie Panie, nie mam szans na doczekanie następnego pokolenia, chyba że Alunia będzie kochliwa i bardzo się pospieszy! Pfuj! Żartowałam!... - wzniosła kieliszek do góry.- Ale wy wszystkie postarajcie się od czasu do czasu odnaleźć taką chwilę jak ta. Kiedy prababcia i prawnuczka spotkają się w jednym pokoju. Joasi dziękuję szczególnie! Za to, że odkryłaś tę chwilę. Wypijmy drogie Panie! I wypiły. Oczywiście z wyjątkiem Ali.

Rozdział II. HELENA

1

Czas! Ale ta Marianna ma porównania dziecinne. Czas - jak sanki na łagodnej górze! Dlaczego górze? Dlaczego łagodnej? Marynia jest trochę dziecinna całe życie i naiwna, ale... z drugiej strony takie ciężkie miała życie. Powinna dawno się złamać z tą swoją wrażliwością, oczami pełnymi łez i drżącym głosem. I zapalonym światłem w korytarzu!

A jednak ! Pod kruchą powłoką kryje się silna osobowość.

Joasia też jest silna, a to jej ugrzecznienie to też tylko forma

nie treść. Ala pewnie też taka będzie. Nie ugrzeczniona tylko silna.

Wtedy powiedziała wyjątkowo banalnie, że czas przyspiesza.... i od razu ugryzła się w język. Od razu przypomniała sobie sentencję Lwa Tołstoja - ulubionego pisarza ojca - sentencję, której nigdy nie rozumiała, ale wstydziła się swojej głupoty tak bardzo, że nawet ukochanych braci nigdy nie poprosiła o wyjaśnienie. I chociaż pamiętała ją doskonale, nigdy nie wypowiedziała jej głośno w obawie, że się zbłąźni i użyje w niewłaściwym momencie.

Czas się nie spieszy, to my nie nadążamy - tak brzmiała ta złota myśl. Kiedyś jej nie rozumiała. Kiedyś, jak inaczej było kiedyś.

Och! I ten wiersz Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. O krawcu. Helena zaczęła go sobie przypominać:

- Zaraz, zaraz, znałam go kiedyś na pamięć. Ciekawe, czy nie zapomniałam... Miał tytuł: „Czas krawiec kulawy“. Może im powiem.

- Chcę wam w takim dniu powiedzieć mój ulubiony kiedyś wiersz, mam nadzieję, że się nie pomylę, posłuchajcie:

Czas jak to Czas, krawiec kulawy,
z chińskim wąsem, suchotnik żwawy,
coraz to inne skrawki przed oczy mi kładzie,
spoczywające w ponurej szufladzie.
Czarne, bure, zielone i wesołe w kratki,
to zgrzebne szare płótno, to znów atlas gładki.

Raz - coś błysło jak złotem,
zamigotało zielonym klejnotem,
zატęczyło na zgięciu,
zachrzęściło w dotknięciu...

Więc krzyknęłam: „Ach! Z tego chcę mieć suknię!”
Lecz Czas, jak to Czas, zły krawiec, tak pod wąsem fuknie:
„To sprzedane do nieba - cała sztuka -
szczęśliwy, kto ten skrawek widział - niech większego
szczęścia nie szuka”.

To rzekłszy, schował prędko próbkę do szuflady,
a mnie pokazał sukno barwy - czekolady.

- Brawo Babciu! Jak pięknie recytowałaś. To Pawlikowskiej-

Jasnorzewskiej, prawda?

- Mamusiu, znamy się tyle lat, a nigdy nie słyszałam, abys mówiła wiersze. Ten dzień jest coraz bardziej magiczny i pełen cudów.

Helena była z siebie zadowolona. Jednak pamiętała! Tyle lat!

Pamięć! Marynia znów poruszyła ważną kwestię - kruchość przemienioną w głaz. Ledwo przypominane kiedyś zdarzenia, kruche i ulotne, powracają coraz częściej jako jaskrawe do bólu i dokładne do najdrobniejszego szczegółu. Jak to możliwe? Wracają kolory i zapachy sprzed pięćdziesięciu lat i przedziwnie wyselekcjonowane z pamięci detale takie jak: kolor wstążki na słomianym kapeluszu, grzbiet książki leżącej na etażerze w salonie, załamania skóry na oficerkach braci, timbre głosu Ciotki Niny, czy kształt brwi pewnego studenta literatury...Jego oczy, ręce, słowa, wiersze.... Teraz wydaje się Jej, że łatwiej to było wszystko zapamiętać niż zapomnieć.

2

Młodość Heleny. Nikt tego już nie pamięta. Ona też ze zdziwieniem i rzadko wspomina ten dziwny prolog swego życia - młodość. Jakże inaczej mogło być.

W Domaniewie - ich skromnym majątku - zawsze pełno było śmiechu i młodzieży. Jak za dawnych dobrych czasów sady pełne były jabłek, pola zbóż, stajnie koni; słońce świeciło wtedy, kiedy trzeba, a zima pojawiała się wtedy, kiedy był czas na kulig i bałwana.

Najważniejsze w życiu Heleny okazało się tamto lato. Roku pańskiego 1930. Zapowiadało się wyjątkowo pięknie i Helena od kwietnia - każdego ranka - wypatrywała tego słonecznego, pachnącego czasu słomkowych kapeluszy i otwartych okiennic. Wypatrywała też swoich ukochanych, przystojnych i dowcipnych braci, Franciszka i Maksymiliana, studentów, którzy mieli zjechać na wakacje prosto z Wilna.

- Mamo, Mamo! Kiedy już będzie lato?! Czy miałaś ostatnio listy od Franciszka i Maksymiliana? Nie daruję tym łobuzom..., obiecali pisać do mnie raz w miesiącu, a już prawie dwa minęły od ich ostatniego listu! - krzyczała, podskakując jak pasikonik.

- Heleno! Jak ty się wyrażasz?!...Spokojnie! Lato przyjdzie, kiedy nadejdzie jego pora! Tak samo listy. Nie dochodzą tylko nienapisane! - uspokajała taktownie Ewa Gabriela Domańska, chorowita i skłonna do migren matka. - Znasz swoich braci. Nawet jeśli nie piszą, to myślą. A o kim? O pięknej Helenie, a przede wszystkim o wakacjach.

- Mamo, Mamo, po trzykroć Mamo! Jak możesz się ze mnie tak natrząsać? Et tu, Brute, contra me? I ty Brutusie przeciwko mnie? - jęknęła.

Nazywali ją ze śmiechem Piękną Heleną, zawsze kiedy usłyszała to określenie besztala ich równo. Ale nie pomagało.

- Jak można tak chmurno patrzeć i durno mówić! Przecież się jest Piękną Heleną. Na dodatek z Domaniewa...ha...ha...ha - śmiał się Franciszek.

- Rozumu to ma się nie za wiele, dowcipu jeszcze mniej, ogłady prawie żadnej... ale urody to Bozia nie poskapiła naszej Pięknej Helenie... prawda ludkowie?- dodawał Maksymilian.

- Oj! Prawda! Prawda - odpowiadał Franciszek.

I tak się przekomarzali całe lato. Pachnące i kolorowe. Słoneczne i długie. Wesole i niezwykle. Pełne świerszczy i pasikoników. Pełne miłości, erotyków Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej i Leśmiana.

Nawet Halina z dziećmi miała na trochę przyjechać na przełomie lipca i sierpnia. Między dziewczętami zawsze była przepaść nie do pokonania; choć w metrykach różnica w dacie urodzin wynosiła tylko cztery lata, to jednak ich światy były zupełnie inne. Jakby z innych galaktyk. Helena większą więź czuła z dużo bardziej „leciwymi” braćmi niż z Haliną, która od ponad dwóch lat była mężatką i miała już dwie córeczki. Ale dziewczynki były urocze i zabaw z nimi nie mogła się doczekać.

- Mamo, dlaczego Halina z Jędrzejem muszą mieszkać tak daleko? Nie mogą zamieszkać z nami? - tak naiwnie pytała Helena przed ślubem siostry. - I Mamo, ten Jędrzej taki stary jakiś i ponury... chyba grubo po trzydziestce. Ja to nigdy nie wyjdę za mąż za takiego starca!

- Heleno! Co ty wygadujesz? Pamiętasz, co mówiła Babcia Genowefcia:

“Nie mów, co myślisz... a myśl, co mówisz”- podsumowała Mama.- Halina wyjeżdża na swoje, w Ogólowie Jędrzej ma ziemię i wcale nie jest stary... Ma trzydzieści sześć lat. Jest po prostu dojrzały, ot co. Ciężko pracował i trochę czasu zleciało. Ale może tak jest lepiej, co nagle to po diable.

- Czy to też Mamo ulubiona mądrość babci Genowefy? - spytała z szelmowskim uśmiechem Helena - a może Twoja? Na mnie i tak największe wrażenie zrobiło zdanie powtarzane przez babcię w ostatnich latach. Co mnie nie zabije, to mnie wzmocni! To jest dopiero sentencja na miarę starożytnych... a babcia zaprzysięgała się, że ona i tylko ona jest jej... tej sentencji... autorką. Matko! Ja Twoja córka, Helena Domańska z Domańskich z Domaniewa - z szacunku do Babki mojej Genowefy Krzyżanowskiej i w uznaniu porażającej siły wyrazu rzeczony sentencji, ślubuję uroczyście zapoznać z nią moje dzieci, wnuki i prawnuki, które przybędą wkrótce... no może nie tak szybko... na ten świat... ha, ha, ha - tak dowcipkowała Helena.

- Ależ masz mocny dowcip, córeczko! A ile w nim subtelności.- uniosła się z szeszląga matka. - To miło, że cytujesz Babcię Genowefię, ale wybór mądrości o zabijaniu z almanachu nieżyjącej już Babci - to chyba mocno niestosowne! Co ja się z Tobą mam. Ojca nie ma na co dzień, a ja sobie z Tobą dalej nie poradzę. Chyba będę miała migrenę!

- Matko! Podrosnę trochę, to zmądrzeję, choć wcale głupia nie jestem, przyznaję - odezwała się czujnie - Ojca w to nie mieszajmy. Ma posadę! Dobrą i państwową i pewną ! niech na niej trwa, bo z niej żyjemy wszyscy. Z majątku, jak sama wiesz, grosz marny! Dlatego Pan Kurator Oświatowy Józef Domański niech nie będzie zamartwiany głupstwami. Ja pośmieję się, pożartuję i przejdzie mi. Młodość jak kwiat przechodzi - zanuciła z tęsknotą. - I mnie przejdzie i młodość i fiu-bzdziu w głowie! Obiecuję. A ty odłóż tę swoją migrenę do jutra, dobrze?

- Heleno! Litości! - jęknęła Matka. - Odłóż migrenę?! Dobre sobie!

W rodzinie Heleny wszystkie imiona wymawiane były bez zdrobnień. Jedynie Babcia Genowefcia stanowiła wyjątek. Matka bardzo tego pilnowała i dość ostro upominała ciotki, kuzynki i wujków.

- Helka - to w naszym majątku krowy oporządza, Franek to w kuźni na kowala się przyucza, a Maksiu to w stajniach przy koniach może pomagać Stępniowi.

Imiona moich dzieci brzmią: Helena, Franciszek, Maksymilian i tylko tak proszę się do nich zwracać! - Ewa Gabriela była kategoriyczna i konsekwentna. I dopięła swego!

Nawet ciotka Nina musiała się ugiąć. Wymyśliła dla niej imię LENA (skrót od HeLENA)i tak próbowała mnie nazywać poprzedniego lata.

- Lena to brzmi prawie jak Leda! - jej niski głos wkręcał się w dziewczęcą wyobraźnię Heleny.- Zresztą jesteś nawet podobna do młodej łabędzicy. Taka blond nadobność z długą łabędzią szyją, wiotka i zmysłowa. Lena... bardzo piękne imię. Podoba ci się?

- Tak, Nino!- odpowiedziała.

Podobało jej się bardzo, nareszcie miały coś wspólnego ze sobą. Oprócz więzów krwi! Jej imię to skrót od „JaNINA”. Podobna konstrukcja i podobna tajemnica , myślała wtedy.

Nina nazywała ją imieniem “Lena” tak długo, dopóki nie usłyszała tego Mama. I teraz już zawsze była Helena.

Nina była cioteczną siostrą Mamy! Dużo młodsza, światowa, niezależna. Piękna! Ruda! Z krótkimi włosami obciętymi na tak zwaną „chłopczycę”. Nie pozwoliła nazywać się „ciocią”.

- Mów do mnie Nina! Po prostu! Nina! - tak zdecydowała poprzedniego lata, nie patrząc na to, że Helena ma dopiero piętnaście lat.

Paliła papierosy, studiowała na Sorbonie i była bardzo bezpośrednia. Helena słyszała, jak kiedyś Mama z Ojcem mówili o niej ze zgrozą w sypialni.

- Myślę, Józefie, że Nina na tej Sorbonie to się na pewno zdemoralizuje, a z takiej dobrej rodziny pochodzi... na pewno stanie się feministką i w Boga przestanie wierzyć..... albo jeszcze coś.... - mówili przyciszonymi głosami. – Jak można wyjeżdżać tak

daleko na studia? Do Paryża! Po co to młodej ładnej kobiecie ?

Już pierwszej niedzieli powiedziała rodzicom i Helenie, że jest ateistką i do kościoła nie pojedzie. Taka jest jej decyzja! I już! Kiedy tylko nadarzyła się okazja, zapytała Ninę, czy zdemoralizowała się na Sorbonie ?

- Czy mocno demoralizujesz się na tej Sorbonie, Nino ?

Zamiast odpowiedzi usłyszała wybuch śmiechu! To więcej niż odpowiedź, ten śmiech to... ocena pytania, niestety.

- Nie mocno.... w sam raz! - odpowiedziała.

Franciszek i Stanisław nie lubili Niny i bez pardonu okazywali swoją radość, że nie przyjedzie tego lata do Domaniewa.

- Przemądrzały rudzielec z cygaretką! - mówili - Niech straszy Francuzów. I te jej zachwyty nad Sartre'em. Takim dziwolągiem.

4

Helena żałowała, że Nina nie przyjedzie. Na szczęście miały ze sobą kontakt. Pisała od czasu do czasu długie i piękne listy. Ależ ekscytujące było jej życie w Paryżu. Opisywała klimat uczelni i kawiarnianych, ciężkich od wina i dymu wieczorów w Cafe Flore. Zachwycała się Sartre'em wykładowcą w katedrze filozofii. Poszłaby za nim wszędzie (tak dokładnie napisała), byle tylko zechciał ją w tę wędrowkę zabrać. I dostrzec ją w tłumie wędrujących wielbicielek .

Jego wykłady były porywające ("tego Leno nie zrozumiesz, ale kiedyś na pewno będzie słynnym pisarzem... wtedy przeczytasz jego książki i przyznasz mi rację"). Jest też na Sorbonie niezwykła studentka filozofii Simone de Beauvoir, która wdaje się z Sartrem w publiczne polemiki. Młoda, delikatna z wyglądu dziewczyna, a jest dla niego równym partnerem intelektualnym. Na szczęście nie jest ładna. A On bardzo lubi ładne dziewczyny, rozkochuje je w sobie momentalnie.

W którymś z wiosennych listów Nina napisała Helenie, że Simone jednak po roku znajomości tak oczarowała intelektualnie Sartre'a, że zdobyła Go jako kobieta. Dziwne! Najpierw intelekt, potem płęć.... Byli parą, widywano ich ostatnio zawsze razem. Co i tak nie powstrzymywało Sartre'a przed kokietowaniem coraz to nowych studentek. Kiedy szedł korytarzami Sorbony, zatrzymywał

się co chwila i swoim niskim, ekscytującym głosem zaczął co ładniejsze studentki. Ale żadna nie potrafiła odpowiedzieć mu tak błyskotliwie jak Simone.

Nina pogodziła się z wyborem Sartre'a, bo nie miała innego wyjścia. Ale jej "serce było zranione na zawsze i żaden mężczyzna już w nim miejsca nie zagrzeje!"- pisała do Heleny.

Nina nie mówiła, jak wygląda Jej Sartre, a Helena nie pytała. Po prostu wyobrażała go sobie jako niezwykle przystojnego, wysokiego i eleganckiego Mężczyznę. Tylko taki przecież może momentalnie rozkochać w sobie tłumy kobiet. Przeżyła szok, kiedy Nina w którymś z listów przysłała wycinek z francuskiej gazety, a w nim fotografię, podpisaną przez redakcję: Oblężenie Sorbony. Tłumy na wykładach Jean'a Paula Satre'a.

Wyglądał jak ropucha. Oczy wylupiaсте w grubych szklach! Wymięty, zgarbiony i jakiś taki obślizgły. Metr pięć w kapeluszu! Naprawdę na zdjęciu był w kapeluszu! Boże!... i starszy nawet od Jędrzeja. Jak mógł się podobać? Tylu kobietom. A jednak!

5

Na szczęście Nina pisała nie tylko o Boskim Filozofie! Helenę zafascynował inny filozof, który nazywał się Rene Descartes. Tworzył w XVII wieku i wszyscy światli Europejczycy słyszeli o jego "Rozprawie o metodzie" czy "Geometrii."

Tak, tak, to ten sam Kartezjusz, racjonalista i sceptyk, który myślenie opierał na matematycznych wzorach. Ten pragmatyczny naukowiec przeżył u schyłku życia coś bardzo nieracjonalnego. Miłość. Mało kto znał historię ostatnich siedmiu lat jego życia. A Nina znała. A wszystko zaczęło się (lub skończyło, bo były to przecież ostatnie lata jego życia) jak w bajce. Była w niej najprawdziwsza księżniczka o imieniu Elżbieta - córka „zimowego króla“ Fryderyka V. Helena zapomniała niestety co oznaczało określenie „zimowy król”; zdawało jej się, że to coś w rodzaju tytułu honorowego. Ale określenie było bajeczne i Helena marzyła czasami, że sama jest księżniczką z „Zimowego Królestwa” dawno, dawno temu.

Elżbieta była piękna, młoda, mądra i wykształcona.

Rene poznał ją w 1642 roku, zafascynowała go tak bardzo, że

to właśnie młodziutkiej księżniczce zadedykował podsumowanie swojego intelektualnego dorobku, czyli „Zasady filozofii“. A w swych intelektualnych wędrówkach poszedł jeszcze dalej, specjalnie dla Elżbiety napisał traktat o rozwoju uczuć. Jak sobie z nimi radzić? Czy może istnieć miłość duchowa bez cielesnej?

Czy stary matematyk byłby zdolny do takich rozważań bez miłości?! Helena uwielbiała rozmyślać o rozterkach Rene i Elżbiety.

Zamykała oczy i widziała Elżbietę z długimi blond lokami siedzącą w oknie kamiennego zamku z książką Kartezjusza na kolanach, zadumaną i zachwyconą tym, co właśnie przeczytała. Były to zdaje się „Medytacje o pierwszej filozofii“. Księżniczka zapragnęła czegoś więcej niż tylko lektury i poleciła znaleźć autora. Poznali się, polubili i pewnie - w tajemnicy przed sobą i światem - pokochali. Byli ze sobą codziennie, rozmawiali, spacerowali, a po przeprowadzce Elżbiety wraz z dworem do Hagi pisali listy, które zastępowały im codzienne rozmowy. Ona pisała swojemu powiernikowi i przyjacielowi o troskach, kłopotach codziennych, a On próbował ją uspokajać i pocieszać. Siłą rzeczy zajął się rozważaniami o etyce i moralności. Było to coś ZAMIAST. Zamiast prawdziwej, realnej miłości. Bo piękna mądra księżniczka nie mogła wprost mówić o uczuciu do starego filozofa.... nie mogła sobie na to pozwolić. To, co mogło być między nimi to nawet nie był mezalians, to niemożliwość. Księżniczki nie wychodzą za mąż z miłości, najlepiej jak w ogóle nie kochają, taki ich los. Realizują tylko jakieś ważne plany polityczno-wyznaniowo-dynastyczne. Przed poznaniem Rene Elżbietę próbowano wydać za Władysława IV. Tym samym byłaby królową. Królową Polski! Ale nic z tego nie wyszło. Różnica wyznań nie do pogodzenia w ówczesnej Europie. On katolik, ona kalwinistka.

- Nino! Ta historia jest cudna. Przysyłaj mi od czasu fragment medytacji Rene o uczuciach... błagam. - prosiła Helena.

- Dobrze Leno, przetłumaczę ci od czasu do czasu jakiś lepszy kawałek, chyba, że wolisz tekst w oryginale... XVII- wiecznym francuskim... he?

Helena oczywiście wołała tekst przetłumaczony.

Boże, pamięć tak dziwnie odtwarza rzeczy od pięćdziesięciu lat zapomniane.

Helena, odnosząc filiżanki do kuchni zapragnęła zajrzeć do ulubionego fragmentu, którego w tamto lato nauczyła się na pamięć. Na dodatek nie była to poezja ani proza, a tekst filozoficzny. Oczywiście Kartezjusza. Gdzieś tu jest ten wolumen, z młodzieńczą, własnoręcznie wykonaną zakładką.

(...) zasadnicza różnica między przyjemnościami ciała i przyjemnościami umysłu polega na tym, że ciało podlega nieustannym zmianom, a nawet jego zachowanie i dobry stan zależą od tej zmienności, stąd wszelkie przyjemności, które do niego się odnoszą, trwają krótko – od momentu nabycia czegoś użytecznego dla ciała do momentu doświadczenia tego, a gdy tylko przestanie to być użyteczne, znikają także przyjemności. Natomiast przyjemności duszy mogą być nieśmiertelne jak ona, byle tylko miały podstawę tak solidną, żeby ani poznanie prawdy, ani żadna fałszywa perswazja nie mogły jej zburzyć.

- Ha, ha, ha, czy Rene nie chciał przyjemności ciała ? Czy zburzyłyby jego umysł, czy oddaliłyby poznanie prawdy? Przecież przeżycie cielesnych rozkoszy mogłyby tę prawdę nawet wzmocnić - ” śmiała się “ w listach Nina.

Kowal - - artysta ludowy Mieczysław Hulewicz

Ur. w 1944 r. w Miłkowszczyźnie, na Grodzieńszczyźnie (to także miejsce narodzin Elizy Orzeszkowej). Po wojnie rodzice Artysty przenieśli się do Czarnej Białostockiej, skąd po latach ich syn uwił swoje rodzinne gniazdo w pobliskiej Czarnej Wsi Kościelnej. Zanim stanęła obok domu słynna na Podlasiu kuźnia – zajmował się amatorsko działalnością artystyczną, ćwicząc umiejętności w rysunku i malarstwie. W dzieciństwie narysował dwóch twórców bolszewizmu – stalinowski wąs domalował Leninowi, a Stalina pozbawił tu i ówdzie owłosienia. Przypominam to zdarzenie, wszak ono odbiło się dramatycznie na młodym wówczas twórcy. Poczucie humoru pozostało jednak do dziś, widoczne nawet w Jego kowalstwie artystycznym. Tworzywo, tak trudne jak metal, okazało się podatnym materiałem w mocnych rękach, posłusznych kreatywnej wyobraźni. Zakwitły metalowe róże i rumianki, fantazja poprowadziła ku formom kowalstwa znanym dawniej na Podlasiu, w każdym jednak elemencie dopatrzeć się można rysów indywidualności autora.

Rozpoznawalny wśród innych twórców. Prace Mieczysława Hulewicza znajdują się w wielu kolekcjach w kraju i za granicą, w zbiorach muzealnych i prywatnych. Laureat wielu konkursów.

A zaczęło się niewinnie: najpierw jako hobby, potem był to już jakiś sposób na życie, łączący w sobie pasje i wszelakie marzenia. O każdej porze roku prace artysty kowala Mieczysława Hulewicza można oglądać w galerii posadowionej obok rodzinnego domu, w Czarnej Wsi Kościelnej (ul. Sosnowa 4 A, tel. (085) 7109089).

Fotografie pochodzą z archiwum Artysty.



Podemujesz na drodze kawałek żelaza zardzewiałego, zniszczonego przez lata deszczami kwaśnymi i nikomu niepotrzebny. Zastanawiam się, myślę, rozgrzewam formę, kuje, obracam w różne strony i widzę jakby płatek kwiatka, chyba róży. Potem wyklepuje listków kilka z żyłkami niczym nieróżniącymi się od naturalnych. Zgrzewam ze sobą płatki i widzisz kwiatek rozwinięty. Nieco dłużej zgrzewam listki do gałązki z kwiatkiem. I co widzisz? Piękną różę – symbol miłości. Kwiat, o którym piosenki śpiewają i piszą poeci. Kwiatek, który został wykuty, wypieszczony niczym kobieta. Z żelaza poniewieranego gdzieś na drodze, nikomu niepotrzebnego. Trzeba było tylko dać niewiele pracy, może więcej własnej miłości, szacunku do żelaza i może trochę serca.

U kowala mówią, że czarna robota. U kowala jest piękna robota. W kuźni w formie ogniem się pali, a kowal młotem w kowadło ciągle wali. A też często ludzie ciekawi odwiedzają i o zdrowie kowala pytają. Czasem komuś podkowę na szczęście dam własnoręcznie wykonaną. Ktoś ogląda moje prace z ciekawością i ze zdziwieniem, że można za pomocą młota coś takiego wyczarować. Czasem ktoś z przyjezdnych kawał powie egzotyczny.









Dla Ciebie

Dla Ciebie
światy stwarzałem kolorowe
ze śmiechem i śpiewem
pomiędzy gwiazdami
klaskaliśmy w dłonie

A potem
z doskonałego materiału
ulepiłem człowieka
byś miał braci i siostry

Pokochałeś ich
więc wśród cierni
w które się uwikłali
znalazłem skrawek ziemi żyznej i pięknej
i uczyniłem Ci z niego
ojczyznę

I ustawiłem w niej krzyż
bo wiem, że bez nich
nie możesz już żyć

Idź Dziecko

Już przygotowane
Betlejem ze żłóbkiem
wół podniósł pysk zaśliniony

osiół przestąpił z nogi na nogę
pasterze ogarnęli stado

Już Jerozolima gotowa
z krużgankiem salomonowym w świątyni
żona Piłata ułożyła się do snu
oliwki szumią w Getsemani

Już Rzym potężny
dotarł wszędzie swoimi mackami
wchłonał kulturę świata
nic więcej nie wymyśli

Idź, Dziecko
nie będzie lepszego momentu
do zobaczenia
w wieczności

Kolęda niewesoła

Dziecko małeńkie
co się mieścisz w żłobie
tylko Rodzice
mogą coś dać Tobie

Dziwnym zrządzeniem takimi słabymi
chciał się zastąpić
Pan nieba i ziemi

Od wieku wieków
Ojcowe kochanie
cokolwiek chciałeś
rzekło: Niech się stanie

Dlaczego teraz
oczy wyplakujesz
na poniewierkę i śmieć się gotujesz

To dla człowieka
co na ziemi ości
a w sercu ma zawsze
za mało miłości

Szczelina

Nie dotkniesz tego, co pęka w tobie jak kamień.
Przełamują się w tobie wszystkie chwile,
w ciemnych od ziemi dłoniach przewijają wszystkie dotyki
- aż dojrzewasz do tego najgłębszego, który stłumi twój oddech.

Pamiętasz dzień : siedł tłum nabrzmiął modlitwą;
ślady stóp były cichsze niż przydrożne kwiaty.
W szczelinie twojego serca tkwiły nasiona,
które wnet obrodziły plonami burz.

Wtem rozrosła się w tobie chropowata drewnowatość
i ciężar możliwy do uniesienia w rękach - lecz nie w myśli.
Może zapłakałeś dlatego, że trud rozbrzmiewał w tobie
głośniej niż muzyka brzemiennego drewna.

A wtedy spojrzaleś na Niego - i nagle wszystko rozbiło się w tobie,
rozłamało - i choć nie dotkniesz tego, co pękło jak kamień -
wiedz, Szymonie, że właśnie w owej szczelinie
zamieszkało największe twe Życie.

zimno mi, tato.

czy to nie dziwne, że dom nie nosi już twojego głosu,
że zasklepił się on pod sufitem, wcisnął w szparę
zbyt głęboką na moją modlitwę?

czy to nie dziwne, że osamotniona szafka
stała się gwiazdą betlejemską, dzięki której do siebie zdążamy?
że rozbity w myśli krzyk jedynym prawdziwym złóbkim,
w którym rodziła się nasza jednoczesność?

skąd mogliśmy wiedzieć? nikt nam nie powiedział -
żeby narodzić się wobec siebie kolejny raz.
poszliśmy - jednocześnie - z wieczną kolędą kroków na ospałej ziemi.

i idziemy tak, tato.
głosy i przecucia już się w nas wtłoczyły.
pozostała tylko samotność, której echo naszych kroków nie wypełni.

pozostała tylko cisza, kiedy mogę wyznać:
zimno mi, tato.

Obudź się...

obudź się
zapach świeżego chleba
znasz go

nie oddaje tobie
otwartych ksiąg
nie są moje

mówisz że szukasz
kogoś ocalałego z wędrówki
kto już pił z kielicha życia

szukasz uzdrowienia
a odnajdujesz jedynie
ślady zmiecione twoim oddechem

żądasz cudu
namacalnej prawdy
zmienionej w kształt pod palcami

a tak naprawdę
dryfujesz pomiędzy
własnym ciałem a jego odbiciem
w czarze
nie widzisz jej
hipnotyzuje cię twój wzrok obudź się

Czas już wracać...

czas już wracać
tylko dokąd
mandale - mapy czasu
zmiecione wiatrem
nie pokażą mi świata

Klucz nie otwiera oczu...

Klucz nie otwiera oczu
zamki postawione na stołach
umykają chwilom

wyuzdane wizerunki śmiechu
omamy znikomych powłok
zapomniane hieroglify czasu
zagubione słowa

gdzie jest kod
żyjemy w zawierusze dziejów

chaos

jak dziecko uczyć się czytać świat

każdy dźwięk i każdy kształt
jest nowy

Krawędzie powiek...

krawędzie powiek
zlepione mgłą obrazów
poszczególne kadry
zamknięte w soczewce oka

to mój film
to moje życie

i nic wam do tego

A każdy dzień jest ciemniejszy...

A każdy dzień jest ciemniejszy
w każdym zatracić się można

Myśl uderza do głowy

ręce alkoholika są jak ręce pianisty
upić się można w drzeniu

Kończy się kawa
z każdym łykiem przemienia się w wodę

Coraz rzadziej chcę widzieć
spadam i odbijam się od strun życia
nie widzę ich
ale to w nich czuję obraz
światło urwane snem
tak samo jasne i schowane w cień

ręka bezwładnie opada na papier
obojętny ból
obwiązane zbolące oczy
cicha obserwacja – planetarium myśli
obgryzione poziomkowe usta
życia nie

Drobiazg

po długich latach
łyż znalezione
między wierszami
będą stanowić sól poezji

Piękna jesień

panią jesień tyle gestem
co prośbą w głosie ile zdoła zachęcam
a gdy łączyć ją z poezją
na pewno zdejmie z głowy kapelusz
tak że szare ściany zgęstnieją
pod naporem przybyłych barw
proszę dalej
gdzie dusza i ciepłe słońce rozlane w dywan
zaczekaj
w nas
do
zimy
choć kładąc się
myślę że tym razem będzie moja
bo gdzie złożę jej gwiazdy i strój w którym
chowa nieśmiałość i tajemnicę
wiecznej jaźni

Granatowy

a kiedy skończy się czas
rozkołysze się łódź zagubiona
w czeluściach gromko o skały walącego morza
a długie wiosła zanurkują głęboko i jeszcze
wydostając z dna prześlizgujące przez noc
stare kości i chude wodorosty

jako zdeptane znaki dawniej
podtykanych pod nos przemian
i nie

będzie chmur płynących po niebie
tylko

morze

wzburzone

gniewem

...

gdy zbyt późno
rozkołysze się łódź

niepotrzebna

Droga z której się nie wraca

Wybrałem drogę
prostą jak drut
poukładaną
jak życie emeryta
pachnącą morelami
i babcinym fartuchem

Nie było zakrętów
wszystko szło gładko

Orły w kamizelkach
podawały na tacy marzenia

Spotkałem innych
„szczęśliwców”

Ale na końcu
zostały tylko złudzenia

i zużyta strzykawka

List do Hioba

Drogi Hiobie
Dobrze że jesteś
Nie zdechłeś za drutami
Nie rzuciłeś się pod pociąg
Nie wywiął cię komin

Nie umrzesz sam
Masz nas

Dobrze że powstałeś
I znów jesteś szczęśliwy

Nie słuchaj tych
Którzy myślą inaczej

Ale pamiętaj
Żeby napisać autobiografię

poeci są jak dzieci
chcą mieć
najlepsze zabawki
i zdobywać pierwsze miejsca
we wszystkich konkursach
poeci są jak dzieci
nie lubią przegrywać
i dzielić się z innymi czekoladą
poeci są jak dzieci
uwielbiają
głaskanie po głowie
a gdy nie dostają czego chcą
wrzeszczą, gryzą, tupią
i chowają się do szafy
poeci są jak dzieci
wierzą we wszystkie bajki
a potem
zmyślają
zmyślają
zmyślają

9 VIII 2000

Płacz. Moja miła. Płacz
W ocean rzucę sieć. Wyłowię
Szczęście lub śmierć. Wszystko inne pójdzie precz.
A Ty Płacz. Ciemnowłosa panno.
Twoje łzy ugaszą sny.
Poranną mgłą obmyję twarz. Płacz
Dopóki pustynne wzgórze nie wybuchnie ogrodem.
Płacz. Płacz aniele mój
Aż uronisz
Gwiazdny pył.

28 VIII 01

najlepiej na świecie ma szpitalny kot
leniwiec w białym kitlu
jest ulubieńcom kucharek
szpitalny kocur
wygląda zdrowo
i uśmiecha się do pacjentów
otyły, zadbany kot
jest wizytówką szpitala
a człowiek
zużyta igłą w koszu

Kraków 1898

jakże to przepadło galopadą
peleryny
szale w karnawale
szampańskie uczty
śpiewną gromadą
przez aleje
w zaświaty - oddale
Karmelicka 53
Stach i Dagny wpiekłowzięci
stara bieda piszczy i umiera
w Paonie
arak
bohomyzy
wyklęci dekadenci
ognista Chimera
świta
bohemy szatański miot
na Rynek
Planty
spływ
Krzyku Muncha wymiot
wśród filistrów
zamęt
dziw

noc przechyła kielich gwiazd
i błada mgła naga duszą wypieszczona

12 II 97

Zimowe spotkanie

Jesteś.
Jestem.
Słowo
jak kwiat
między nami.

Wiosna w lutym.

W drodze

Siedzę w pociągu
tyłem do kierunku jazdy.
Patrzę przed siebie -
patrzę wstecz.
Za plecami przyszłość.
Słyszę głos:
Dokąd jedziesz?
Odwracam się
i widzę -
Przed siebie.

Gdy wiara moja
jak ogień płonie -
wierz ze mną.

Gdy wątpię
kiedy świat mój tonie -
wierz za mnie.

Gdy padam
podaj mi Twe dłonie -
i wierz we mnie.

Gra ciałem

będziesz tylko połową moich dłoni
których paznokcie spięte w kołnierz :
"mój widok nie przynosi zbawienia"
- a jesteś dwa oddechy za jednym moim
pytaniem "co będziemy robić jutro?"
wyjdziemy zaciskać oczy w pięści
ale "z czego żyłyby wtedy banki?"
więc wypełnijmy wzorzec brzucha teraz
skręć mi głowę na szóstą godzinę
swoim językiem wpada kuzynka
z herbatą na trop menopauzy i znów
studiować stare klepsydry w timesie.

Siódma góra

znam swoich krewnych
nieprawdaż, że są znajomi ze twarzy a niejako dziwni wewnątrz
alicjo zostań chwilę
podaruj kokardki od spódniczki spinki z włosów szminki
statystyczne malowidła autystyczne dni
nocne eskapady do wnętrza sadu za królikiem lub całym stadem
jaskółek, wiosną ruszałaś dziwnie nosem w rytm piosenek
zmyślnych stryjenek co nieodwołalnie oznaczało podróż za morze

Kulig w mróz

1.

w głowie masz tylko papierośnicę
gęsią skórę ptasią grypę
średniowieczne pochody
czarnej śmierci sars
mówisz marynarze
zagryzali cytrusy przeciwko i nie wiem komu wierzyć
gazety milczą choć w uzdrowiskach
mówi się od czasów czarodziejskich stoków
śmierć bliskiej osoby nie ulega przedawnieniu
raczej powala na ziemię i ciągnie po śniegu

2.

wiem że starałaś się o stare miejsca
tylko na niby i na żarty pokazywałaś mi otwartą dłoń
krzywiąc się z morza jak po cytrynie
a kiedy został ci lepszy oddech
chciałaś wystawić głowę na powierzchnię
nawet najdłuższa podróż może trwać krótko
jeżeli w sercu mieszka radość powiadałaś
a ja mam buty w gęstym porzekadle
z którego nie raczyłaś mnie wyciągnąć wcale

3.

dante uśmiełby się ze sceny
którą na skraju ptaków w śniegu
musiałaś mnie wyręczyć
w książkach o których czytałem są takie ryciny
portrety drzew z profilu imiona własne
starożytnych miejsc zatłoczenie greki a po powrocie
opowieść z wypiekami w płucach krztusiłaś się do mnie
jakbyś naprawdę pragnęła własnego cienia

Ameryka

We found a strong correlation between people's belief in the placebo and how well it worked for them.

Dr Tor Wager, 2004

słońce długo wskazywało na pusty horyzont
za odpływającą łupiną przyczółkiem
cywilizacji i relikwi szczerbatych marynarzy
ścierających dłonie
na szorstkim olinowaniu -
kapitan rzadko omiatał wzrokiem burty -
wypatrywał sobie oczy
morzem

uszykowała córkę na spotkanie
(powinny zjawić się za rok najwcześniej
kiedy przybędzie pieprz i papryka) już teraz
aby nie tracić przygotowań na później
gdy port zaludni się szczurami
i ludzie powyłażą z dziur

"dzisiaj wieczorem teatr nie będzie tylko dla nich"
a wczoraj były w parku tuż obok i franceska
ostro ganiła ją za kasandryczność
"zamknij usta rozdziawo"
abo se gembe zapchaj woskiem

- jak gdyby nie wiedziała (córka franceski) że miasto
które codziennie żywi ją wieściami
czeka na rozkwit
kupcy w napięciu mną dłonie tną batyst i świecą oczami
oraz sprawdzają wytrzymałość sznurków
za które będą pociągać
choć jeszcze niedawno podkładali szyje
w nadziei na błędność
katolickich dogmatów

podróż była prawdziwym powrotem
do źródeł ziemi i wiedzy
jak nawigować
mając za wiatr scyllę
za gwiazdy harybdę
i nawet wydmy fal
sztywniały zmartwiałe
pod naporem żagli

TU JEST MÓJ DOM, TU JESTEM SZCZĘŚLIWY (fragment)

No i stało się. Jedziemy. Nareszcie jedziemy. Jeszcze przed chwilą staliśmy na peronie, ściskaliśmy rodziców i wysłuchiwaliliśmy ich ostatnich troskliwych rad. A teraz? Teraz drzwi się zamknęły, pociąg ruszył, a my staliśmy w oknie patrząc na oddalające się miasto. Dziwne uczucie. Jeszcze przed chwilą staliśmy na peronie, żegnając się z rodzicami i z domem, a teraz pociąg z każdą sekundą nabierający prędkości wiozł nasze ciała i plecaki gdzieś naprzód, wciąż dalej i dalej. Gdzie byliśmy? Trudno powiedzieć, bo jedne myśli jak pociąg, pędziły do przodu, starając się dojrzeć to co przed nami. Chciały zobaczyć przyszłość. Inne zaś, pokonywały drogę odwrotną. Wracały kilometr po kilometrze do rodziców i domu, do tego co zostawiliśmy. Byliśmy więc w różnym czasie i w różnych miejscach z rosnącym uczuciem tego dziwnego niepokoju, który jest pomieszaniem lęku i ciekawości. To ten szczególny stan zawieszenia, kiedy mówisz: chcę, a myślisz: nie chcę i pomimo tej niechęci jednak idziesz naprzód, bo ciekawość tego co się wydarzy jest silniejsza od lęku. Choć ten lęk przed przyszłością, przed nieznanym to chyba zdrowy lęk. Bez niego Podróż byłaby tylko wycieczką.

No więc jechaliśmy tym pociągiem przez noc, pałac kupione specjalnie na tę okazję camele. A okazja była szczególna. Przecież na biletach było napisane: Sanok, a jak Sanok to i Bieszczady. Tam przecież jechaliśmy. Od dawna już planowaliśmy naszą Podróż. Zobaczyć w końcu te wymarzone Bieszczady, poznać prawdziwe życie. A poza tym to nasz pierwszy wspólny wyjazd. Mieliśmy po siedemnaście lat, wypełnione po brzegi plecaki, jakbyśmy co najmniej do Chin jechali, no i ten dziecięcy zapal, który z naszej Podróży czynił wyprawę życia. Nie mieliśmy pojęcia co nas czeka i to było bardzo podniecające. Po prostu jechaliśmy w Bieszczady i to wystarczyło.

Po nocy spędzonej w pociągu wyładowaliśmy w Sanoku, a stamtąd pustym autobusem pojechaliśmy nad Solinę. Jeszcze przed wyjazdem otrzymaliśmy wskazówkę, że pierwsze co musimy zobaczyć to właśnie Solina, a konkretnie Jezioro Solińskie. Posłuchaliśmy więc tej rady i teraz nie bardzo wiedząc gdzie iść i co robić, łaziliśmy bez celu zwiedzając to słynne miejsce. Musiało być naprawdę słynne, bo od turystów wszelakiej maści, aż się roiło. Przeciskaliśmy się pomiędzy dziesiątkami straganów, znajdując po drodze bar jakiegoś cudzoziemca, w którym serwowano egzotyczne potrawy. Można tam było zjeść płetwę rekina, czy coś w tym stylu. Po chwili spędzonej przed barem, kiedy podziwialiśmy ofertę proponowanych dań, ruszyliśmy dalej i dotarliśmy do tamy. I tu kolejne zaskoczenie, bo tama była ogromna. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widzieliśmy, więc chodziliśmy po niej, co chwila spoglądając w dół na wodę i pływające w niej pstrągi, nie mogąc się jednocześnie nadziwić jej potężnym rozmiarom. Ale tama tamą, a gdzieś przespać się trzeba. Znaleźliśmy w końcu miejsce, niekoniecznie będące polem namiotowym, czyli mówiąc wprost rozbiliśmy się na dziko. Tak spędziliśmy nasz pierwszy dzień w Bieszczadach. Teraz czekała nas pierwsza noc i pierwszy sen, który podobno ma się sprawdzić. Czas przed zaśnięciem wypełniały nam rozmyślenia i rozmowa. A więc to są Bieszczady. Turyści i stragany z jednej strony, spanie na dziko w lesie z drugiej. Zresztą, nieważne. To dopiero początek. Jutro pojedziemy dalej i może znajdziemy to czego szukamy.

Kolejnym miejscem gdzie się zatrzymaliśmy była Wołkowyja. Tutaj nie kombinowaliśmy, tylko od razu poszliśmy na pole namiotowe. Chwilę porozmawialiśmy z właścicielem i dowiedzieliśmy się dwóch rzeczy. Po pierwsze, że wyglądamy podejrzanie, po drugie, że w rejonie Kalnicy można się rozbić na dziko, bo nie ma tam żadnych strażników leśnych. O to nam przecież chodziło. Założyć obóz w lesie z dala od ludzi i jedyne co robić, to po prostu żyć. Nasze marzenia miały się spełnić. Las i góry dookoła, nad głową niebo i słońce, a w sercu wolność i radość, i Jedność z przyrodą i Stwórcą. Proste, prawdziwe życie. Tego chcieliśmy i tego szukaliśmy.

Do Kalnicy jednak nie dojechaliśmy. Po nocy, którą

spędziliśmy na polu namiotowym w Wolkowyi ruszyliśmy autobusem do Ustrzyk Górnych. Będąc już na miejscu, bez problemu znaleźliśmy nocleg przy domu gospodarzy gdzie noc kosztowała tylko dwa złote. Jeszcze jadąc autobusem podziwialiśmy na przemian góry i umiejętności kierowcy, który z całkowitym opanowaniem wiozł nas przez wzniesienia, zakręty i mordercze serpentyny. Im dłużej jechaliśmy, tym góry stawały się coraz wyższe. Co jakiś czas mijaliśmy wioskę i grupy turystów. Patrzyliśmy na porośnięte lasem zbocza. Co czuliśmy? Trawiła nas gorączkowa ciekawość i wielkie podniecenie. Chcieliśmy zobaczyć co będzie dalej, chcieliśmy wysiąść od razu i ruszyć przed siebie przez łąki, las, w góry. Być tu, być tam, być wszędzie. Wszędzie gdzie zatrzymał się nasz wzrok i wszędzie gdzie nie sięgał. Chcieliśmy iść w to Nieznane natychmiast. Zanurzyć się, zagłębić, zachłysnąć tym co dawały góry. Życie. Pełnia życia. Z każdym krokiem coraz większa radość. Wielka radość z każdego kroku, który prowadził w ten świat, o którym marzyliśmy od dawna. Jeszcze nie widzieliśmy gór, a już kochaliśmy. Teraz widzimy i jeszcze bardziej kochamy. Dzieliła nas od Świata szyba autobusu, ale ona zaraz zniknie. Właściwie już zniknęła. Byliśmy wszędzie, tylko nie w autobusie. Góry były nasze. Należały tylko do nas. Tak jechaliśmy tym magicznym autobusem - widmem, aż w końcu dojechaliśmy do celu. Ustrzyki Górne. Dużo ludzi, bary, schroniska, namioty, most, rzeka, przystanek PKS, na którym wysiedliśmy. Zapomnieliśmy o jednym. Góry. Gdzie nie spojrzeć otaczały nas porośnięte drzewami zbocza gór. Niesamowite wrażenie, ale do serc zaczął się dobijać niepokój i zagubienie. Niby jesteśmy tu, są ludzie, są góry. Ale co dalej? Co nas czeka? Czuliśmy się obcy. Nie wobec ludzi, ale wobec gór, świata, czuliśmy się nieswojo, bo przecież nie byliśmy u siebie. To znaczy byliśmy w marzeniach, ale nie w rzeczywistości. To zagubienie, dzięki jakiejś podświadomej radości i ciekawości szybko minęło, osiągając swój punkt kulminacyjny w pytaniu: co robić i gdzie iść? Ale takie pytanie, to pytanie każdego wędrowca, każdego przybysza, zwłaszcza gdy jest się w nowym miejscu wśród nieznanymi ludzi. Ale od czego uśmiech i przyjazne słowa. One lepiej niż cokolwiek innego pozwalają zbliżyć się obcym sobie

ludziom. Dzięki temu już po chwili nie byliśmy tacy obcy. Poznaliśmy grupkę punków, znaleźliśmy miejsce na nocleg. Powoli ten nowy świat dawał się oswoić, pokazał przyjazne oblicze. Warto wspomnieć o naszych nowych znajomych. Przyjechali tu, jak sami powiedzieli, aby się nawrócić. Mieszkali z zakonnikami, którzy urządzili jakiś obóz czy rekolekcje, a właściwiej będzie powiedzieć obóz rekolekcyjny. Obóz nic nie kosztował, nasi znajomi chodzili z tymi zakonnikami po górach, słuchali Słowa Bożego, no i szukali samego Boga, Stwórcy. Dobra to rzecz, bo gdzie najłatwiej spotkać Stwórcę, jeśli nie pośród jego Stworzeń, gór, lasów, rzek, słowem całej przyrody. Chłopaki żalili się tylko na to, że niechętnie patrzyli ojcowie na ich wypadki do wioski. Wiadomo było, że nie idą na oranżadę, i że nie będą wdychać jedynie górskiego powietrza. No ale znajomi to jedno, a na nas czekały góry, czekało na nas życie. Tajemnica ukryta gdzieś pośród szczytów, którą podświadomie przeczuwaliśmy, tajemnica, którą chcieliśmy zgłębić, wejść w nią tak, aby i ona weszła w nas, zaczęła w nas żyć wypełniając duszę swoją magią, urokiem, blaskiem, nadając życiu nowy wymiar, nowy sens, przepelniając nas pięknym, olśniewającym światłem. Chcieliśmy, aby góry objawiły nam swą tajemnicę. Czekaliśmy na to pełni wiary i nadziei, z niecierpliwością, bo miłość już w sobie odkrywaliśmy. Czekaliśmy na nadejście Tajemnicy, która przemieni nasze życie i wiedzieliśmy, że tak się stanie. Musieliśmy tylko wyjść w góry, podjąć wędrówkę. Wejść na szczyt. Naszym celem była Tarnica. Wyruszyliśmy więc następnego dnia, panował straszny upał. Mieliliśmy ze sobą mapę, wodę, chleb, konserwę i lunetę. To nam wystarczyło, choć tak naprawdę nie mieliśmy pojęcia co nas czeka. Była to nasza pierwsza góra w życiu i nie wiedzieliśmy czego po takiej wyprawie oczekiwać. Pchała nas naprzód ciekawość, wszystko wokół było nowe. Z każdym krokiem kolejne zdziwienie, kolejny zachwyt. Tak jakbyśmy weszli w inny świat całkowicie zagubieni, a jedyne co daje poczucie odrobiny pewności to prowadzący w górę szlak. Nie wiedzieliśmy co czeka za kolejnym zakrętem, za kolejnym wzniesieniem. Niby nasz świat, bo ziemia, drzewa, niebo, ale wszystko to jakieś obce, dziwne, tajemnicze. Szliśmy cali mokrzy od potu, co jakiś czas zatrzymując się na odpoczynek. Zmęczeni,

ale szliśmy. Czekał nas szczyt, czekała tajemnica, która już na początku drogi w dziwny, trochę niepokojący sposób zaczęła nas otaczać. Czuliśmy ją i widzieliśmy. Drzewa, trawa, zarosła, krzewy, mech, liście, ziemia, kamienie, słońce, niebo, wiatr. To wszystko wokół, to wszystko razem, nasze zadziwienie, sekunda po sekundzie objawia się...przyroda. Jedno spojrzenie, jeden krok, jeden oddech, jedność, Natura. Cud. Choć zmęczeni, szliśmy w skupieniu jak pielgrzymi w drodze do świętego miejsca. Tymczasem wszystko co nas otaczało tchnęło świętością i w istocie święte było. Wkroczyliśmy bowiem do świątyni, którą pośród całego bogactwa i piękna przenikał duch tajemnicy. Przysiąść na kamieniu czy na ziemi, oddychać, powoli wciągać powietrze, zatrzymać je w sobie i powoli wypuścić. Pozwolić, aby powietrze nas wypełniło, przeniknęło każdą komórkę ciała. Zatrzymać biegnące myśli, wsłuchać się w ciszę. Powoli nadejdzie spokój. Stopić swój oddech z oddechem lasu, słuchać mądrości ciszy, złączyć się ze światem w Jedności. Odrzucić pancerz „ja” i naga duszą wejść w Całość, być jej częścią i być nią samą. Być Całością. Już nie ma nas oddzielnych, jest Jedność, jesteśmy Jednością. Nie ma granic, wszystko nas przenika, my wszystko przenikamy. Włączeni w świat nie jesteśmy jego elementem, ale stanowimy Jedność. Słuchamy nauki lasu i gór, przedziwnej nauki o odwiecznej prawdzie. Jedność. Słuchamy, patrzymy, milczymy i znikamy. Powoli, bardzo powoli znikamy i nie ma już nas. To komunია. Komunია ze Światem, z Odwieczną Prawdą i Mądrością. Nie ma już nas i nie ma już nic.

Szliśmy powoli, zlni potem i coraz bardziej zmęczeni, nie wiedząc ile drogi jeszcze przed nami. W którymś momencie drzewa przerzedziły się, wyszliśmy z lasu i ku naszemu zdziwieniu ujrzeliśmy górski grzbiet, na który prowadziła wąska, kamienista ścieżka. Pierwszy raz widzieliśmy coś takiego i nie mogliśmy się nadziwić. Więc tak wygląda połonina. Wchodząc wyżej, nasze zdziwienie wzrastało jeszcze bardziej i dzieliło miejsce z rosnącym stale zachwytem. Odkrywaliśmy zupełnie nowy, niezwykle świat. Gdziekolwiek spojrzeć, wokoło góry, w dole las, a nad nami już tylko niebo. Przepiękne słońcem spalone górskie grzbiety ciągnące się aż po horyzont. Wiatr przyjemnie chłodzący rozgrzane ciała.

Warto było tu wejść i warto dalej iść, bo wymarzony cel już niedaleko. Jedyne słowo jakie można było wypowiedzieć przy pełnej świadomości, iż nie oddaje ono nawet tysięcznej części tego co czuliśmy to: cudownie. Zniknął gdzieś cały świat. Byliśmy tu i byliśmy teraz. Nic więcej się nie liczyło. Szliśmy więc dalej kuszeni niewielką odległością od celu naszej wędrówki. Ścieżka co prawda biegła prosto i byliśmy jej posłuszni, ale nasz wzrok co chwila schodził ze szlaku, abyśmy mogli rozejrzeć się wokół, upoić się niesamowitym widokiem. Wydobyliśmy nawet lunetę, aby przez jej powiększające szkła przyjrzyć się otaczającym nas górcom. Niedługo potem dotarliśmy do miejsca, w którym krzyżowały się szlaki, a na Tarnicę było już bardzo blisko. Wtedy właściwie zdaliśmy sobie sprawę z obecności innych ludzi. Zresztą trudno ich było nie zauważyć, bo panował tu ciągły ruch. Jedni stali, inni siedzieli, jeszcze inni szli to w dół, to w górę. Tłoku nie było, ale faktycznie sporo tutaj turystów. Postanowiliśmy tu trochę odpocząć przed wejściem na szczyt Tarnicy. Ciało ogarniał błogostan odpoczynku. Oddech się uspokajał, a serce powracało do normalnego rytmu. Siedzieliśmy sobie chłodzeni przez miły wiaterek, na tyle miły, że w parze ze słońcem szybko suszył mokre od potu ubranie. Siedzieliśmy tak w błogostanie dając odpoczynek zmęczonym nogom i całemu ciału. Radość wypełniała nasze serca. Po jakimś czasie wstaliśmy odrobinę niechętnie, bo przyjemnie było tak beztrudno odpoczywać i ruszyliśmy pod górę po kamieniach, aby wejść na upragniony szczyt. Trzeba było uważać gdzie stawia się stopę, bo kamieniste podłoże było bardzo zdradliwe. Wreszcie po niedługim czasie stało się to o czym od tak dawna marzyliśmy, to czego pragnęliśmy całą duszą. Stanęliśmy na szczycie. Weszliśmy na wierzchołek, zdobyliśmy pierwszą w naszym życiu górę. Teraz choć zmęczeni, uśmiechnęliśmy się, a usta mimowolnie powiedziały: nareszcie. Jesteśmy na szczycie, na samym wierzchołku, nareszcie. Chwilę pochodziliśmy rozglądając się na wszystkie strony, chłonąc jednocześnie otaczające nas piękno. Zmęczenie dając znać o sobie zmusiło nas do tego, aby usiąść, położyć się, jeszcze raz uspokoić bijące serce i przyspieszony oddech. Zdjęliśmy buty, dając natychmiastową ulgę naszym zbolałym stopom. Teraz doceniliśmy czym naprawdę jest

odpoczynek. Jak dobrze było tak leżeć na szczycie góry, patrząc w niebo z satysfakcją w sercu. Patrzyliśmy na innych ludzi, na ich zmęczone, ale jednak szczęśliwe twarze i w duchu zadawaliśmy sobie pytanie, czy oni przyszedli tu z tego samego powodu co my, czy oni też weszli na szczyt, aby poznać Tajemnicę, bo góry są hojne jeśli jesteś cierpliwy, góry hojnie obdarzają mądrością, jeśli tylko usiądziesz cierpliwie i z pokorą zaczniesz słuchać tej odwiecznej opowieści, którą snują od setek lat tym wszystkim, którzy przyszedli, aby się czegoś nauczyć, aby wejść w Tajemnicę i poznać Prawdę. Leżąc tak na szczycie góry, skąd o wiele bliżej do Nieba, uznaliśmy, że nasz głos, nasza modlitwa Bóg przyjmie w sposób szczególny dla tak szczególnych okoliczności. Usiedliśmy więc z różańcem w ręku zapatrzeni w odległy horyzont, nie słuchaliśmy głosów ludzi, zwracając się do wewnątrz zagłębialiśmy się w siebie i otaczający świat. Zagłębiliśmy się w modlitwę bezgłośnie wypowiadając słowa, które znaliśmy od dziecka, a które tutaj w górach nabierały nowej, szczególnej mocy i znaczenia. Głębiej odczuwaliśmy ich sens, głębiej je przeżywaliśmy. Czuliśmy obecność Boga - Stwórcy, ale jakoś inaczej, pełniej. Mieliliśmy w sobie tę dziecięcą wiarę, to ufne dziecinne spojrzenie, tę dziecięcą niewinność, która zbliża człowieka do Boga. W tym miejscu na szczycie góry, na nowo odkrywaliśmy siebie, na nowo odkrywaliśmy Boga. Serce wypełniała radość i niewinny, dziecinny zachwyt, bo byliśmy tu i On tu był, wszędzie. W upale dnia, w chłodnym wietrze, w zmęczonych nogach, w spoconych plecach, w łyku wody z manierki, w potraconym kamieniu i przydeptanym źdźble trawy, w każdym - Cześć - wypowiedzianym do mijanego człowieka. Brzmi to banalnie i naiwnie, ale dobrze by było, aby każdy człowiek na ziemi choć raz poczuł Go w taki sposób, w jaki my Go czuliśmy. Teraz wszystko nabrało sensu, cała nasza droga na szczyt, nasza cała wędrówka. Właśnie teraz, w czasie tej medytacji na szczycie. Wszystko było takie oczywiste, takie proste, a my dzieci, rodzeni bracia znaleźliśmy w końcu naszego Ojca i cieszyliśmy się wraz z Nim z tego spotkania, na które potrzebne były całe lata. Znaleźliśmy w końcu nasz dom, właśnie tutaj w górach i już nigdy nie chcieliśmy opuszczać ani domu, ani naszego Ojca. Tu było

nam dobrze, tu byliśmy szczęśliwi, tu byliśmy sobą. Tego dnia, na tej właśnie górze przeżyliśmy prawdziwe spotkanie ze sobą, ze światem, z Bogiem. Nastąpiła cudowna przemiana. Tajemnica ujawniła się i przeniknęła nasze życie nadając mu nowe znaczenie i nowy sens. Nasze życiowe drogi zaprowadziły nas na tę górę, aby nas odmienić. Teraz już wiedzieliśmy czego chcemy i jak chcemy przeżyć ten cenny dar jakim właśnie jest życie. Tego dnia stało się jasne, że nasz los związany jest nierozzerwalną nicią z górami. Z prostym, prawdziwym życiem, które przepelnia sens, nowy sens. Wtedy właśnie, na szczycie góry podjęliśmy decyzję, iż prędzej czy później porzucimy Miasto i życie w Mieście. Odejdziemy od tak zwanej cywilizacji jak najdalej. Zamieszkamy tutaj, w górach, w Bieszczadach i uczciwą pracą własnych rąk zapewnimy sobie uczciwe życie. Uczciwe wobec innych ludzi i wobec nas samych. Porzucimy Miasto i całe zło, które niesie ze sobą życie w Mieście. Naszymi problemami nie będą niepokoje o jutro, o dorobienie się czegoś. Chcemy wieść życie proste i prawdziwe z dala od wszelkiej sztuczności, zakłamania i pogoni za wszechwładnym pieniądzem. Udowodnimy sobie, że można żyć inaczej, lepiej. taką decyzję podjęliśmy stojąc na szczycie góry. Przysięgliśmy wierność naszym ideałom i nowa siła przepelniała nasze serca. Wiedzieliśmy, że w tym naszym postanowieniu mieliśmy rację i musimy w nim wytrwać. Teraz jednak zakładaliśmy buty, aby ruszyć w powrotną drogę. Weszliśmy na szlak prowadzący w dół do wioski, ale teraz już inaczej patrzyliśmy na wszystko co nas otacza. Patrzyliśmy jak na swoje, bo teraz tutaj był nasz dom. Góry należały do nas, tak jak my należeliśmy do gór. Szliśmy tą samą drogą, tylko że w przeciwnym kierunku, ale byliśmy już inni. Ta góra nas odmieniła. Spotkaliśmy się ze sobą, z tym co dla nas ważne i wartościowe i tu nastąpiła przemiana z fałszu na prawdę. Spotkaliśmy się ze światem, zobaczyliśmy jego istotę, czym jest i tu nastąpiła przemiana, stopiliśmy się z nim. Spotkaliśmy się z Bogiem, Tym który wszystko przenika i tu nastąpiła przemiana, On przeniknął nasze wnętrza. Schodziliśmy w dół do wioski zagłębieni w siebie. Gdy już wyszliśmy z krainy lasu i gór, wchodząc między sklepy, knajpki i ludzi czuliśmy się lepsi. Lepsi dla siebie samych, bo nasza przemiana nie miała nic wspólnego z pychą. Żałowaliśmy, że nie

wszyscy ludzie dostępują takiego stanu ducha, takiej przemiany. Żal i nic więcej, żadnej pychy, a wręcz chęć podzielenia się z innymi tym co kiełkowało w naszych sercach. Wiedzieliśmy już, że będziemy wracać tutaj zawsze, aż któregoś dnia powrócimy ostatecznie, aby tu zamieszkać.

Któregoś dnia, gdy siedzieliśmy wieczorem w knajpce paląc papierosy i popijając oranżadę, naszą uwagę przykuł widok niezwyklego zachowania jakiegoś człowieka. W samych spodniach i z piwem w rękę tańczył jakiś przedziwny taniec pomiędzy stolikami, krzycząc jednocześnie: Jestem szaman z gór! W którymś momencie wskoczył na stół, zachwiał się i upadł uderzając głową o ścianę knajpki. Po chwili wstał i jakby nic się nie stało kontynuował swój taniec. Jego zachowanie zaintrygowało nas i w jakiś dziwny sposób przyciągało do niego. Stwierdziliśmy, że musimy go poznać. Dosiedliśmy się do stolika, przy którym usiadł, przedstawiliśmy się sobie nawzajem i zaczęliśmy rozmawiać. Skończyło się na tym, że Józek, bo tak miał na imię, zaprosił nas do swojego domu, który stał w lesie ponad dwadzieścia kilometrów od Ustrzyk. Podziękowaliśmy za zaproszenie i postanowiliśmy z niego skorzystać. Mielśmy okazję poznać prawdziwego bieszczadnika, bo nie każdy kto mieszka w Bieszczadach jest bieszczadnikiem. Można z całą pewnością powiedzieć, o czym zresztą później sami się przekonaliśmy, że są to wyjątkowi ludzie.

Następnego dnia ruszyliśmy, aby odszukać chatę Józka. Dojechaliśmy do wskazanej wioski, z której droga skręca w las i prowadzi do celu. Szliśmy więc tą leśną drogą, nie bardzo wiedząc gdzie tej chaty szukać. Minęliśmy jakąś wiatę i szliśmy co chwila przeklinając ciężar naszego namiotu, który swoje ważył i był chyba modelem unikatowym. Unikatowym, ponieważ z całego serca radzę wszystkim unikać takich namiotów, które wykonane są ni to z brezentu, ni to z płótna, zupełnie nie chronią przed deszczem, nie można ich zamknąć i są ciężkie jak cholera. Dźwigaliśmy więc ten nasz dom - balast na zmianę, gdy nagle zaczęło padać. Gdyby to był deszcz to jeszcze pół biedy, nawet silny deszcz byłby do zniesienia. Ale to nie był deszcz ani ulewa, to było chyba oberwanie chmury wymieszane z burzą, której huk sprawiał

wrażenie jakby ziemia pękała na pół. Czegoś takiego jeszcze nie przeżyliśmy. Leśna droga, nie wiemy gdzie jesteśmy, ziemia aż dudni od grzmotów i wiadra wody lecące na nas z nieba, tak, że nawet widoczność mieliśmy ograniczoną do kilku metrów. Całkowity szok. Co robić? Jednogłośnie zdecydowaliśmy się na powrót do wiaty, którą mijaliśmy wcześniej. Gdy doszliśmy na miejsce, usiedliśmy pod dachem i zapaliliśmy papierosy. Nasza odwaga została wystawiona na ciężką próbę i co tu dużo mówić, byliśmy przerażeni. Na szczęście niebo szybko przejaśniło się i ruszyliśmy dalej. Po drodze spotkaliśmy dwóch młodych chłopaków, którzy w czasie tej burzy schodzili właśnie z góry. Zaskoczyło to nas zupełnie i w duchu przyznaliśmy im należny szacunek, zwłaszcza gdy wspomnieliśmy nasze zachowanie. Idąc dalej dostrzegliśmy dziwne zjawisko. Zupełnie tak, jakby z gór unosił się dym. Byliśmy zachwyceni tym widokiem, nowo odkrytym zjawiskiem przyrody i staliśmy tak dłuższą chwilę urzeczeni jego pięknem. W końcu po jakimś czasie udało nam się odnaleźć dom Józka. Stał na leśnej polanie, otoczony drzewami i górami. Piękne miejsce. Jak się okazało, Józek akurat miał gości, co szczerze mówiąc nie bardzo nam odpowiadało, bo chcieliśmy być z nim sam na sam, po zapoznaniu się z tymi ludźmi, zaczęliśmy suszyć mokre rzeczy na słońcu, które akurat mocno przygrzewało. Miejsce na spanie mieliśmy idealne. W stodole na sianie. Gdy ujrzelśmy wnętrze chaty Józka, zgodnie stwierdziliśmy, że trudno o większą prostotę. Łóżko, stół, szafka z książkami, obrazy namalowane przez Józka, piecyk i trochę drobiazgów, aha i zdjęcia Indian na ścianach. Prądu w chacie nie było. Ciężkie warunki, można by powiedzieć, ale nas to przyciągało z wielką siłą. Czy nie o takim domu marzyliśmy? Wokół domu spokojnie skubały sobie trawę piękne konie, a troszkę dalej był mały staw, obok którego paliło się ognisko. Co prawda obecność gości trochę nam przeszkadzała, tak że w sumie niewiele z Józkiem porozmawialiśmy, ale w nozdrza uderzał nas nowy zapach, który wypełniał całą okolicę. Zapach wolności i prawdziwego życia. Bardzo chcieliśmy tu zostać i kiedyś tu wrócić, aby poczuć to czego szukaliśmy.

Po dwóch dniach rozstaliśmy się z Józkiem i jego gośćmi i

dotarliśmy do wioski, skąd zamierzaliśmy dotrzeć do Sanoka, nadchodził bowiem czas naszego powrotu do domu i powoli musieliśmy się rozstawać z naszymi górami, z życiem, które trudno inaczej określić, niż: prawdziwe. Trochę autobusami, trochę stopem dotarliśmy znów nad Solinę, dokąd podwoziła nas wielkim samochodem młoda kobieta, która jak mówiła w czasie urlopu zwiedza co ciekawsze miejsca w Polsce, a nas pytała co warto zobaczyć w Solinie. Swoją drogą to dziwne, że samotna młoda kobieta zabiera do samochodu dwóch długowłosych, którzy jak nam wcześniej powiedziano wyglądają podejrzanie. Jej wytłumaczenie było proste: kiedyś sama jeździła autostopem i dlatego teraz przez wyrozumiałość zatrzymuje się i zabiera ludzi z podniesionym kciukiem. Bardzo miła kobieta. Z Soliny autobusem dojechaliśmy do Sanoka, poszliśmy na dworzec i kupiliśmy bilety na pociąg do domu. Tak kończyła się nasza pierwsza wyprawa. Zostawialiśmy góry i część nas samych. Gdzieś między szczytami, lasami i wzgórzami. Pociąg jeszcze nie odjechał, a nas już ogarnęła zaduma i tęsknota. Jedyne co nas pocieszało, to wewnętrzne przekonanie, że my tu jeszcze wrócimy, że dotrzemy wierności i obietnicy, którą złożyliśmy górom. Pociąg ruszył i to był znak, że wracamy do rodzinnych stron, do rodzinnego miasta, po prostu do domu. Tylko gdzie tak naprawdę był teraz nasz dom?

Czternaście godzin w pociągu z przesiadką w Warszawie i już stoimy na peronie w Białymstoku. Co by nie mówić, jednak dobrze jest przywitać znowu nasze miasto. Wracaliśmy do rodziny, znajomych, do zwykłych, codziennych zajęć, do zwykłego życia. Jeszcze wczoraj góry, a dzisiaj już miasto i dom. Wróciliśmy odmienieni. Zaczęliśmy nowy etap w naszym życiu. Jechaliśmy przez miasto na nasze osiedle. Z plecakami na grzbiecie zapukaliśmy do drzwi naszych domów, a wtedy powróciło żywe pytanie, z którym odtąd mieliśmy się co dzień zmagać. Gdzie tak naprawdę jest teraz nasz dom?

HENRYK KRUSZYŃSKI

PROMOCJE

Opowiadał mi frater Adalbertus:

Któregoś dnia chodziliśmy z fratrem Justusem po alejkach pewnego supermarketu w celu uzupełnienia różnych braków w naszym domu zakonnym: a to kończyły się zapasy proszku do prania, a habity jednak ciągle się brudzą, a to trzeba było kupić mydła, bo bracia chcieli żyć w ciągłej czystości ciała (tak jak i ducha).

Jakoś strasznie nas roztrącały dwie rodziny, które biegały tam i z powrotem od półki do półki i ciągle coś przekładały w swoich wózkach. Zaintrygowani i trochę zaniepokojeni zachowaniem biegającego i pokrzykującego towarzystwa przystanęliśmy i wnet okazało się, co jest tego powodem.

Otóż wszyscy ci ludzie starannie badali, jakie korzyści, premie czy promocje są związane z różnymi produktami. Analizowali i sumowali punkty promocyjne napisane na opakowaniach i zastanawiali się, jak tych punktów zbierać jak najwięcej.

Brat Justus, zorientowawszy się, jaka jest przyczyna całego zamieszania, zamyślił się i powiedział: "Ciekawe, czy ludzie z równym zapałem usiłują gromadzić punkty za dobre uczynki - to się może przydać w okolicy Sądu Ostatecznego. Chociaż... właściwie źle powiedziałem, to by było bardzo niedoskonałe i nawet samolubne, gdyby motywem dobrych uczynków było jedynie gromadzenie jakichś 'punktów' do rozliczenia na Sądzie Ostatecznym, a nie miłość bliźniego, czy - prościej mówiąc - zauważanie potrzeb innych ludzi i świadczenie im jakiejś pomocy czy przysługi."

"A to się braciszek bardzo myli" - krzyknął na nas z tyłu jakiś głos. Odwróciliśmy się zdziwieni na takie obcesowe wtrącanie się w naszą dyskusję. "Może to i jest niedoskonałość, jeśli ktoś pomaga innemu dlatego, że spodziewa się nagrody" - trąbił do nas

silnym głosem gruby ochroniarz z wielką brodą, cały w czarnym mundurze, choć z jaskrawozielonymi sznurowadłami w butach.

“Przecież...”- zaczęliśmy obaj z bratem Justusem, ale nie było nam dane dokończyć zdania, bo gruby ochroniarz był szybszy i głośniejszy:

“A czy jeśli czcigodny braciszek wyzna na spowiedzi, że już rezygnuje z jakiegoś grzechu, bo boi się kary wiecznej za ten grzech, a nie, że już nie chce obrażać Boga tym grzechem, to nie dostanie rozgrzeszenia? Mnie uczono, że - owszem - jest to żal niedoskonały, ale rozgrzeszenie przysługuje!”

“A kim ty jesteś, do licha, ochroniarzem czy profesorem moralistyki, że tak nas pouczasz?”- zdążyłem wtrącić.

“Ja to Szuszwol ze Swarzyndza, Agencja Ochrony Dóbr Doczesnych i Ekstraterestialnych” - odparł ochroniarz i pobiegł podnieść płaczącego chłopczyka, który potknął się o kółko wózka.

“Wolę takich, co sumują punkty za dobre uczynki, od tych, co nie widzą w ogóle innych ludzi”- odrzyknął jeszcze w naszym kierunku ochroniarz i zniknął za regałem. Ludzie biegali nadal po alejkach wokół półek, nie zwracając uwagi na płaczącego malca.

(na licencji Włodzimierza Fenrycha)

DOBRE UCZYNKI

Opowiadał mi frater Adalbertus:

Zdarzyło się to na jakimś spotkaniu mniej czy bardziej ekumenicznym: katolicy i protestanci przekonywali się nawzajem, czy istotniejsza jest łaska Boża (nazywają to usprawiedliwieniem), czy nasze dobre uczynki (rzecz dotyczyła sprawy zbawienia).

Nagle w sali zgasło światło. Zrobił się lekki rozgardiasz, ale po dłuższej chwili znowu zrobiło się widno. Ktoś po prostu oparł się plecami o wyłącznik i wyłączył całe oświetlenie, ale zreflektował się i włączył zaraz na nowo.

Zauważyłem, że w rogu sali kilka osób w skupieniu słucha jakiegoś ni to mnicha, ni to dziada, ni to przebierańca. Ubrany był

w jasny strój i jasne sandały z zielonymi klamrami.

Przybliżyłem się, żeby usłyszeć chociaż część jego wywodu:

“Szanowni ojcowie zapomnieli chyba o właściwościach koniunkcji, czyli iloczynu logicznego. Aby prawdziwe było zdanie p i q musi być prawdziwy zarówno warunek p , jak i warunek q . Żeby daleko nie sięgać: żeby na tej sali świeciło się światło musi być spełnionych naraz kilka warunków: musi pracować elektrownia, muszą istnieć przewody, muszą być tu żarówki, no i trzeba nacisnąć wyłącznik. Próżno dociekać, kto ma większą zasługę w tym, że jest tu widno: czy elektrownia, czy ten, kto nacisnął wyłącznik. To samo z naszym zbawieniem: bez łaski Bożej jest ono niemożliwe, tak samo jak bez naszego starania.”

To rzekłszy opuścił grupkę osłupiałych dyskutantów i skierował się prosto na mnie z jakimś dziwnym uśmiechem. Tego już nie mogłem znieść: 'Kim ty jesteś, że śmiesz porównywać łaskę Bożą do elektrowni?' - zapytałem go.

“Szuszwol ze Swarzyndza, logik matematyczny, do usług” - wyjaśnił nieznamy. “Czy sądzi braciszek, że logika zbawienia jest sprzeczna z logiką matematyczną?” - rzucił mi pytanie w twarz i zniknął, nim zdążyłem wymyślić odpowiedź.

(na licencji Włodzimierza Fenrycha)

WYPADEK

Opowiadał mi frater Adalbertus:

“Przechodziłem kiedyś przez skrzyżowanie ulic w pewnym dużym mieście. Omal nie zostałem przejechany. Samochód przeleciał mi dosłownie przed nosem i zawadził nawet o mój habit (to ja miałem zielone światło). I zderzył się z głośnym hukiem z drugim, jadącym zresztą całkiem poprawnie, ale nie mającym szans na uniknięcie zderzenia z pijanym (jak się później okazało) sprawcą wypadku.

Cóż się potem działo? Ano: policja, pogotowie, tłum gapiów, który zresztą stopniał, jak tylko medycy zajęli się poszkodowanym.

Komentarze były w miarę standardowe; że pijak to ma zawsze szczęście (bo ten akurat nie ucierpiał wcale), że samochody to chyba tylko do kasacji, bo się już nie da wyklepać, że całe szczęście, że drobny wyciek paliwa jednak się nie zapalił itp.

Tylko jeden młody człowiek (w czarnej bluzie z jakimś bohomasem zespołu muzycznego na piersiach), zwabiony widać bielą mojego habitu - zbliżył się i zaczął coś ni to mówić, ni wykrzykiwać w kierunku kilku pozostałych osób, więc i moim:

- No i w co wy właściwie wierzycie: ten wasz Bóg ani Kościół nie dają żadnych gwarancji na życie ani nawet na zdrowie. Można się modlić nie wiem ile, a i tak zdarzy się taki wypadek i po wszystkim.

Spojrzałem mimowolnie na poszkodowanego, który już leżał na noszach: sanitariusze powoli podjeżdżali do karetki. Na jednym z palców pokrwawiony kierowca miał srebrny pierścionek różańca podróżniczego: widocznie czasem korzystał z tej formy modlitwy. Rozchylona koszula ukazywała łańcuszek z krzyżykiem. To zapewne zauważył młody człowiek i to go musiało sprowokować do filozoficznych wyrznięć.

- Samochód - kontynuował fan muzyki hardmetalowej - jest ubezpieczony i, nawet jeśli pójdzie do kasacji, to facet dostanie kasę i sobie kupi nowy, ale zdrowie czy życie to można stracić i koniec.

Tymczasem karetka odjechała, i to nawet nie na sygnale: chyba poszkodowanemu nie groziło poważne niebezpieczeństwo. Ludzie zaczęli się rozchodzić, coś tam jeszcze mówiąc między sobą.

Ja też się szykowałem do odejścia (na nic już nie mogłem się przydać), ale akurat podszedł do nas rosły i gruby policjant, który właśnie zakończył pomiary kółkiem na patyku. Do niego - nie wiadomo dlaczego - zwrócił się „czarny” chłopak:

- I żeby nie wiem co robić, modlić się, wierzyć w Boga, to i tak to na nic; nie ma żadnej gwarancji, żadnego ubezpieczenia na życie. To wszystko bez sensu!

Otwierałem już usta, żeby jakoś skomentować te częściowo obrazoburcze, a częściowo desperackie zdania, ale policjant był szybszy:

- Kochany, widać chodziłeś na katechizację, ale nie wszystko

zapamiętałeś! - nieomal krzyknął w kierunku chłopaka. Jak tylko ruszył ku niemu ze swoją przemową, zauważyłem coś dziwnego: nosił jaskrawozielone sznurowadła, które nie bardzo pasowały do służbowych butów i poza tym całkiem regulaminowego munduru.

- Jeśli widzisz życie człowieka od urodzenia do śmierci, to rzeczywiście sensu tu może być niewiele, zwłaszcza gdy cię rozjedzie samochód. A nie uczyli cię, że jeszcze jest coś potem?

Chłopak chyba chciał coś na to odpowiedzieć, ale nie miał szans.

- Mężczyźni mówią albo: "życie zaczyna się po czterdziestce", albo: "życie zaczyna się po czterdziestce", a chrześcijanie, że po śmierci to dopiero zaczyna się istotna część egzystencji człowieka. I na to się możesz "ubezpieczać", na różne zresztą sposoby. A jak nie, to ci powiedzą "go to hell" i tam cię chętnie wezmą. Pewnie nie znasz zespołu Skaldowie i ich piosenki „Katastrofa”?

Chłopak zdążył tylko przecząco pokręcić głową, a policjant... zaczął śpiewać - „Ktoś przeżył życie, tak, jak trzeba, przed dobrym czynem się nie cofał, 'cześć mu i chwała' anioł śpiewa, a diabeł szepce 'katastrofa'”.

Dodał jeszcze: - Poza tym: pewnie cię uczyli, że można celebrować dziewięć pierwszych piątków miesiąca i jakaś gwarancja z tego wynika, prawda?

Otrząsnąłem się z kolejnego zamyślenia - chłopaka już nie było. Zapytałem więc policjanta, z jakiego jest wydziału, skoro wygłasza takie nauki.

- Ja to po prostu Szuszwol ze Szwarzynnda - odparł policjant. Wsiadł do radiowozu i zaraz odjechał. Spojrzałem za nim: ślady opon na asfalcie jakby połyskiwały zielonkawą poświatą.”

(na licencji Włodzimierza Fenrycha)

WŁODZIMIERZ WOWCZUK

IN HOC SIGNO VINCES / Pielgrzymka do Częstochowy A.D. 1984 /

Postanowiłem iść do Częstochowy. Już w roku ub. byłem zdecydowany, ale chwilowa niedyspozycja przekreśliła ów zamiar. Nie mogłem przecież ryzykować i obarczać swoją osobą K.B., który szedł z córką i zięciem. W tym roku Krzysztof wyjeżdża za granicę, młodzi zaś idą po raz drugi.

Dlaczego koniecznie chcę pielgrzymować?

Przede wszystkim, z potrzeby wewnętrznej, po drugie - ciekawość zawodowa, po trzecie - chcę wziąć udział w demonstracji politycznej. Idę w grupie „Pomarańczowej”; tzw. „17” Warszawska. Jest to 273 Piesza Warszawska Pielgrzymka. W grupie - młodzież akademicka z kraju i zagranicy; niewierzący /„poszukujący razem w drodze do Chrystusa”/; wierni chrześcijańskich Kościołów „rozłączonych”. A więc i ja - prawosławny.

6 sierpnia 1984

Po mszy w kościele św. Anny o godz. 9 wyruszamy ulicami miasta w kierunku południowym.

Przejście przez miasto 12 tys. ludzi, wśród tłumów zegnających, pozostawia niezapomniane wrażenie. Ludzie starsi, młodzież, kobiety, dzieci... na chodnikach, w oknach i na balkonach... Pozdrawiają pielgrzymów, wznoszą w górę palce ze znakiem „V”, niektórzy nie mogą powstrzymać łez... Ja również.

W Sękocinie odpoczynek. Pobiegłem więc szybko do małego zagajnika, gdzie leży od paru lat, obok swojej przyjaciółki Cory, mój nieodżałowany Tora... Poszedł za swoją ukochaną Panią w rok po jej śmierci.

Pierwszy etap - 30 km. Do Woli Mrokowskiej dotarliśmy ok. godz. 19. Na liczniku - 30 km.

7 sierpnia 1984

Pobudka o godz. 4. Wyjście o 5.30.

Śpię w namiocie z Kasią i jej mężem Andrzejem. Kasia - młoda poetka. Andrzej - tłumacz z czeskiego, literat.

Wśród „Pomarańczowych”, których prowadzi ks. A. Niewęglowski - duszpasterz środowisk twórczych, teolog, kaznodzieja, intelektualista, publicysta - młodzież akademicka, twórcy, przedstawiciele palestry. Niektórych znam osobiście. Rzecz charakterystyczna: kontakt powstaje /kontakt w pełnym rozumieniu tego słowa/ nadzwyczaj szybko. Zgodnie z tradycją mówimy do siebie „siostrzo”, „bracie”, bądź po imieniu. Trochę to dziwi. Ale krótko. Później staje się czymś naturalnym.

Program mamy bogaty tak od strony form, jak i treści... Zwłaszcza dla mnie... „schizmatyka”.

Oczywiście, nigdy się z tym nie kryłem. Obecnie także. Przy sposobności powiedziałem o tym Księdzu Przewodnikowi. Przyjął to jak coś „zwyčajnego”.

Rezerwa lub zgoła wrogość do „inności” cechuje jedynie komunistów bolszewickiego chowu. Ktoś nazwał marksizm-leninizm „religią zorganizowanej nienawiści”. W sferze pozamaterialnej u jej podstaw znajduje się a t e i z m. „Szturm nieba” po przewrocie bolszewickim w Rosji w 1917 r., obok hasła: „grab nagrabennoj” stał się wykładnią „nowej ewangelii”.

Msza święta w Boglewicach.

Na liczniku - 58 km.

8 sierpnia 1984

Sanktuarium w Lewiczyźnie. Msza święta z okazji Jubileuszu 300-lecia obrazu NMP.

Niezwykłe okazała świątynia, której nie powstydziliby się żadne miasto Europy.

Zachowanie się Francuzów, a zwłaszcza ich Księdza-Przewodnika może lekko szokować. W ich postawie dostrzega się elementy festynu, jakiegoś odpustu... Ale są spontaniczni i naturalni, otwarci i przyjaźni. Jest ich ok. 2 tys. W roku ub. ponoć było - 4 tys.

Wzrusza młoda, bardzo ładna dziewczyna w wózku inwalidz-

kim, prowadzonym przez jej kolegów.

Zobaczyłem nareszcie słynnego Amerykanina, pielgrzymującego po świecie z wielkim drewnianym krzyżem. W Polsce jest już nie pierwszy raz. Szedł do Lourde. Stał przed Grobem Pańskim w Jerozolimie. Niezwykła postać. Bardzo komunikatywny. Zupełnie nie wygląda na „dziwaka”.

Kiedyś myślałem, że f a n a t y z m r e l i g i j n y stanowi nieodłączny komponent postawy większości pielgrzymów. Nie, nieprawda!

Pod wieczór doszliśmy do Wodzicznej.

Na liczniku - 84 km.

Niestety, mam odparzone stopy. Polskie „adidasy”, nawet „rozchodzone”, do takiej wędrówki nie nadają się.

Będę spał na sianie. Ciepło.

9 sierpnia 1984 /czwartek/

Kąpiel w Pilicy. Ze zdziwieniem dostrzegłem kilku młodych ludzi z papierosami w krzakach. Odzwyczailem się od takiego widoku. Tak jak zapomniałem ostatnio o pewnych zwyczajach rodaków - ciągłego pouczenia się, połajankach i pospolitego chamstwa. Nic z tych rzeczy!

Modlitwy - różaniec, odmawianie litanii do NMP, godziny biblijne, czytanie i śpiewy psalmów, pieśni religijne i pieśni patriotyczne. Okazuje się, że m ł o d z i e ż, a stanowi ona ponoć 80% pielgrzymki, wszystko umie... Osobny rozdział - t o k o n f e r e n c j e i swobodne dyskusje. Tematyka bardzo zróżnicowana. Ksiądz Przewodnik zaproponował mi poprowadzenie konferencji nt. „Religie Chin i Japonii” oraz sytuacja Kościoła katolickiego /rzymskokatolickiego/ w tych krajach.

Jeszcze nigdy nie mówiłem do mikrofonu w ruchu.

Wieczorem w Brudzievicach.

Na liczniku - 116 km.

Z jednym wszakże trudno się pogodzić - s t a n s a n i t a r n y n a s z e j w s i, a zwłaszcza „wygódki”... Rozpacz!

Telewizor w chałupie. Niekiedy samochód na podwórku. Wody w studni mało... Ubikacje zaś!... P o m y l e n i e p r i o r y t e t ó w, jak to określił swego czasu „Dziadek” - prof.

Edward Lipiński.

Boleję też na widok /na ogół nędzny/ psów podwórkowych. Wszędzie karmimy z Kasią... Ale co to da... Kiedyś wszcząłem kampanię prasową „w psiej sprawie”. Spowodowałem List do wszystkich kuratorów w kraju dotyczący prowadzenia pogadek nt. właściwego stosunku do zwierząt udomowionych, szczególnie psów. W katolickiej Polsce lepiej traktuje się koty /podobnie jak w krajach islamskich/, aniżeli psy.

Na liczniku - 116 km.

10 sierpnia 1984 /piątek/

Wczoraj znowu spałem na sianie.

Pojawili się, pojawili i, jak się okazało, już zostali zidentyfikowani. Ale Książ Przewodnik rzekł: „K a z d y ma prawo brać udział w Pielgrzymce”.

„Plastyk” zupełnie nieznaną przez kolegów, którego nikt przedtem nie widział na trasie. To był „szef”, który przesuwiał się od grupy do grupy, praktycznie w każdej mając „swego” człowieka. Oprócz tego - dwóch chłopczyków - łączników. Odnotowano odprawę „szefa” z jego ludźmi. Rozmowa /krótka/ z „plastikiem” p r a w d z i w e g o malarza przekonała, że może i jest on „mistrzem”, ale w innej branży.

No, cóż... do przewidzenia...Ale przykre...

W Sanktuarium w Studziannej również niezwykle okazała goetycka budowla. Książ Przewodnik Francuzów dał prawdziwy koncert wokalny. Działo się podczas odpoczynku, więc i program był „laicki”. Piękny baryton, wspaniała ekspresja, rozległy repertuar - wszystko to wywołało nieklamany zachwyty.

W dzisiejszych czasach z namaszczeniem celebrują swój „urząd” jedynie funkcjonariusze partyjni.

Na liczniku 147 km. Jesteśmy w Zachorzewie.

11 sierpnia 1984 /sobota/

Anthony Burgess powiedział: „...bycie katolikiem to nie tylko kwestia wiary teologicznej, to przynależność do pewnej kultury”. Czy można należeć do określonego kręgu kulturowego, konkretnie do kręgu kultury katolickiej /chrześcijańskiej/ i nie być katolikiem?

Myślę, że tak!

Czy można wybrać sobie ojczyznę? Ja wybrałem!
A więc nikogo nie powinna dziwić moja obecność w tej pielgrzym-
ce.

Jak wiele zawdzięczam Hani. Hania stworzyła nasz dom i
wskazała mi miejsce „na tym padole”. Idę z pewnym wysiłkiem.
Nie, żebym był zmęczony. Ale odparzone stopy zmuszają do nie-
prawidłowego stawiania nóg, nierównego kroku, a to z kolei po-
woduje pewne nadwyrężenie mięśni. To nie jest piknik, ani na-
wet mecz koszykówki.

Mam niejaki wątpliwości, co do dzieci w wózkach. Trzeba
jednak przyznać, że maluchy zaskakująco dobrze znoszą trudy.

A ludzie niepełnosprawni w wózkach inwalidzkich...

Nie gołę się. Nie oglądam siebie w lustrze.

Nie składałem żadnego ślubowania, ale nie jem mięsa. W ogó-
le jem /jak na mnie/ zaskakująco mało.

Niestety... nabieram nieodpartego przeświadczenia, że Ewa
/śliczna dziewczyna/ ma kontakt z „Plastykiem”. To smutne.

Zachorzów. Na liczniku - 147 km.

11 sierpnia 1984 /sobota/

Sanktuarium w Paradyżu. Olśniewa! Msza Święta odprowadzana
w języku francuskim.

Para polsko-francuska bierze ślub. Wzruszające.

Prowadzę konferencję: „Sytuacja Cerkwi Prawosławnej w Ro-
sji”.

Przedemną Andrzej mówił o Kościele w Czechosłowacji.

„Plastyk” siedł obok mnie /jak mnie poinformowano/ i
uważnie przyglądał się. „Zrewanżowałem się” na postoju...
zrobiłem mu zdjęcie w zbliżeniu. Nie drgnął. Zawodowiec.

Skórkowice.

Na liczniku - 169 km.

12 sierpnia 1984 /niedziela/

Czy Ziemia Grójecka jest zasobniejsza... Czy Kielecczyzna -
inna?

Tam witano nas bardziej gościnnie. Tu zaś tereny ubogie. Wo-

dy mało. Za to p i a c h w r o z g r z a n y c h l a s a c h i g l a s t y c h daje się we znaki. Tumany kurzu wzniesane tysiącami par strudzonych nóg i nie ma czym oddychać... Zupełnie.

Jak te dzieci wytrzymują?! To był najcięższy etap /32 km/.

W sanitariatach setki pielgrzymów... Głównie - oczywiście - n o g i. Dziś sporo ludzi „padło” na trasie... Ale ja m u s z ę d o j ś ć! Całe szczęście, że rano powiedziałem sobie: „Oszczędzać /zapasowe/ chińskie trampki. Ja m u s z ę d o j ś ć - p o t o t u j e s t e m! Gram w tych trampkach na parkiecie /dostałem od zaprzyjaźnionego Chińczyka z Shanghaju... /Dzięki temu już szedłem inaczej - gruba podeszwa z miękkiego tworzywa sztucznego idealnie chroniła utrudzone stopy. Jeszcze brakowało, żebym się... wycofał... Ja! Sportowiec! Po przyjeździe do Krzętowa Msza Święta w języku niemieckim. Najlicniejsza grupa - francuska. Później długo-długo nic, i dalej: Włosi, Niemcy, Portugalczycy, Czesi, Słowacy i nawet jest trochę Litwinów... Nie wiedzieć, jakim cudem...

Na liczniku - 201 km.

„Jedna jest Polska, jak Bóg jeden w niebie” - pisał w „Hymnie Polaków na obczyźnie” Jan Lechoń.

13 sierpnia 1984 /poniedziałek/

Zdumiewa mnie mój stan psychiczny. Zdumiewa mnie- mimo wszystko postawa pielgrzymów...Spokój, pogoda ducha, wzajemna życzliwość. A przecież ludzie są zmęczeni. To prawda, że 80% „17” Warszawskiej stanowi m ł o d z i e ż. O n i też „padają” na trasie. Ale mało kto się wycofał. Nikt też nie okazuje oznak zniecierpliwienia bądź frustracji.

Raz jeszcze potwierdza się teza o i d e n t y f i k a c j i... Wzorowy porządek wśród setek tysięcy ludzi podczas pielgrzymek Papieża w Polsce. Ład i dyscyplina strajkujących od Sierpnia 1980 począwszy. Jak można mówić o „polskim warcholstwie”!?

Nie rozmyślałam zbyt wiele o sobie, o swoich smutnych doświadczeniach i przejściach. Znam wielu, którzy mieli większe ode mnie przeżycia, a byli przy tym słabsi... nie grali, na przykład, w koszykówkę... Nie, nie, ja nie żartuję! W s z y s t k o zawdzięczam sportowi. Nauczyłem się stawiać czoło przeciwnościom.

Nigdy nie zszedłem z bieżni, nie wycofałem się z boiska. Mogłem - oczywiście - przegrać, ale nie wycofać się!

Nie każdy może mnie zrozumieć. Hania umarła prawie 7 lat temu... Rok później straciłem Torę, a wczoraj właśnie minęło 17 miesięcy, jak odszedł Brutus - wnuk Tory. Nie ma więc domu... Jest mieszkanie, w którym z trudem utrzymuje się jaki taki ład.

Trudno mi mówić o samotności - mam tylu przyjaciół i zwyczajnie życzliwych mi ludzi. Jestem nie z a l e ż n y ! Robię tylko to, do czego mam przekonanie... że jest to „niepewne”...

Przecież zniosłem wszystko i na wszystko jestem przygotowany. A jednak jestem s a m... Śmierć Brutusa - tego nieprawdopodobnie dobrego i pięknego psiaka - mnie podcięła... A kto to rozumie?

Jest jeszcze jeden problem, o którym myślę niechętnie. To moja matka. Przestałem utrzymywać z nią stosunki od choroby Hani, a więc od listopada 1976 roku. Wszystko, co robiła później - robiła ź l e. Nie jestem sędzią mojej matki, ale powstały bariery psychologiczne, których nie mogę przekroczyć. Kiedy dowie się, że szedłem do Częstochowy, powie niechybnie: - Przecież on wypadł z kołyski...Przerobiła go żona...On jest Rosjaninem! A teraz co?! No, właśnie...

W Sobierzycach postój. Na liczniku 228 km. Teraz już dojdę!

14 sierpnia 1984 /wtorek/

Msza w języku włoskim. Następnie sanktuarium św. Anny.

Kasia recytuje swoje wiersze. Ma już wyróżnienie Prymasa. Niezwykle ciekawa opowieść himalaisty... Ale - mimo wszystko - tych szerpów śpiących na śniegu, dźwigających trzydziestokilogramowy ciężar na plecach, idących po skałach n a b o s a k a i przy tym zachowujących niewyczerpaną pogodę ducha i spokój w obliczu trudu i niebezpieczeństw - n a m trudno zrozumieć.

Gdzieś tam, wśród wiecznych śniegów, na niedostępnej zlodowaciałej pustyni, u stóp gór, sięgających szczytami nieba, leży Andrzej Sikorski, mój młody kolega z „Życia Gospodarczego”, zdolny dziennikarz, zapalony alpinista i himalaista. Odpadł od ściany, stoczył się w dół na zaśnieżone plato i... pozostał tam. Będzie tak leżał, spokojny, pogodzony ze wszystkim i wszystkimi, wpatrując

się w bezkresne przestworza... póki istnieć będzie świat...

Zazdrościłem nieraz Andrzejowi. Ale chciałbym jednak odejść z wyboru we właściwym czasie i dobrym stylu. Fascynuje mnie wybór i odejście Martina Edena...

Podeszła dziś do mnie Ewa. Idąc obok, interesowała się moim statusem, poprzednim miejscem pracy. Trzeba powiedzieć, że Książ Przewodnik - w zasadzie - nie przedstawiał prelegentów z imienia i nazwiska... Widziałem, jak zatrzymała się wśród drzew i wówczas dogonił ją przesuwający się od grupy do grupy „Plastyk”. Słyszałem następnie, jak jeden z „łączników” powiedział Ewie: „Szukał ciebie Krzysztof”. No, właśnie. Czy to zakłóca nastrój pielgrzymki? Smutno jedynie z powodu m ł o d y c h ludzi. W imię czego to robią?! Nie ma wszakże większego znaczenia... Stanowimy niekwestionowaną większość - nie tylko na tej trasie, co jest oczywiste, ale w s z z ę d z i e. W walce o serca i umysły ludzi, mówiąc językiem sportowym, wysoko prowadzimy na punkty.

Kąpiel w źródłach pod Mostowem. Do Jasnej Góry 14 km!

Uroczysta Msza Święta na stokach. Już nie wchodzimy do żadnej wsi.

Jutro pobudka o 2. Wyjście o 3.

Na liczniku 255 km.

15 sierpnia 1984 /środa/

Modlitwa na Przeprośnej Górze, z której już widać Częstochowę, ma wymiar symbolu.

Robię zdjęcia.

W ten pogodny ranek krajobraz jest przepiękny. Pofałdowane pola i łąki przypominają, że pracuje się tu ciężko, zaś kraina nie należy, podobnie jak Kielecczyzna, do zasobniejszych. Niemniej witają nas serdecznie. Przy każdej zagrodzie wiejskiej częstują wodą, kompotem, jabłkami. Pamiętajmy, iż sama „17” Warszawska liczy 12 tys.! Łącznie do Częstochowy tego lata wyruszyło 40 tys.

Ktoś słusznie zauważył, iż za każdym pielgrzymem, za każdą jednostką decyzyjną, należy dostrzegać akceptację i poparcie: rodziny, przyjaciół, środowiska. To jest swego rodzaju r e f e r e n d u m!

Kasia i Andrzej już się wypowiedzieli... Trzeba było tytanicznych wysiłków ze strony władz, aby skierować młodzież na t e d r o g ę... Pamiętam, gdzieś w połowie lat 70. powodowany zawodową ciekawością, poszedłem do kościoła św. Jakuba, gdzie z okazji inauguracji roku akademickiego Mszę Świętą celebrował Prymas Polski Kardynał Stefan Wyszyński. Doznałem rozczarowania... Ani kościół nie był przepelniony, ani młodzież nie stanowiła zdecydowanej większości. A przecież przy Placu Narutowicza jest „akademik” i mieszkają tam setki studentów, nieco dalej przy Kopińskiej - drugi „akademik”, Dom Doktoranta, że nie wspomnę o „Rivierze” /cztery przystanki tramwajem/... słowem można było spodziewać się tłumów...

„Zabrakło socjalizmu...” - powiadają dziś żałośni ideolodzy i niedouczeni propagandyści, słowem - przegrani marksiści - leniniści - mówią, ale przy pustej widowni. Młodzież jest t u, bierze udział w niezapomnianej pielgrzymce, której Częstochowa jest jedynie symbolem. N i g d z i e „ideologia przyszłości” nie doznała tak druzgocącej klęski, jak w Polsce. Stało się to w znacznej, jeśli nie decydującej mierze, za sprawą Kościoła. Kościół znajduje p r o s t ą drogę do serc i umysłów ludzi, m ł o d y c h ludzi.

Wejście do Częstochowy znowu przywodzi na myśl wyjście z Warszawy. Kiedy to było? Czy naprawdę zaledwie 9 dni temu? Czy n a t e j d r o d z e przemierzyłem t y l k o 270 km? Nie! Dziś jeszcze nie mogę wyrazić tego wszystkiego, co czuję... Lecz stało się c o ś bardzo ważnego w moim życiu, nad czym będę długo rozmyślał... Lecz w przeciwieństwie do innych rozmyślań z przeszłości, n i e b ę d z i e t y m r a z e m r o z t e r e k a n i w ą t p l i w o ś c i. Wszystko jest niesłychanie klarowne i jednoznaczne.

Nie ma w moim słowniku takich wyrazów, jak: „szczęście” bądź „nieszczęście”. Ułomność? Używam zazwyczaj wyrazów zastępczych: „satisfakcja” lub „doświadczenie”... Czy właśnie dlatego jestem „nieszczęśliwy”? Nie odczuwam takich elementarnych ludzkich doznań... Coś w sobie tłumię... N i e o d c z u w a m! Ile razy n a t e j d r o d z e miałem łzy w oczach i z trudem ukrywałem wzruszenie. Co to jest?

Nie mam słuchu muzycznego. Nie mam głosu. Więc nie śpie-

wam nawet w samotności. Ale moja płytoteka - to głównie muzyka operowa.

Mam za to s ł u c h p s y c h o l o g i c z n y i jestem wrażliwy na każdy dysonans, na każdą fałszywą nutę... Dlatego chyba tak źle znosiłem „pompatyczne partyjne zawodzenie”. Odrzuciłem w końcu tę p a r t y t u r ę, napisaną wbrew wszelkim regułom harmonii.

Jestem z natury chyba s a m o t n i k i e m. Muszę wszakże powiedzieć t e r a z, że nigdy w swoim długim życiu, nigdy dotychczas nie odczuwałem tak wyraźnie i tak głęboko więzi z ludźmi, których dopiero poznałem, z którymi być może nigdy więcej się nie spotkam. Ale niezależnie od tego k a ż d y z n a s będzie kroczył tą samą drogą, z tymi samymi myślami, co w ciągu tych dziewięciu niezapomnianych dni.

Proszę jedynie pokornie Pana mojego, Pana naszego, aby w swoim niezmiernym miłosierdziu, otworzył przede mną S w o j ą Ś w i ą t y n i ę, pozwolił mi wejść do niej i pozostać tam d o k o Ń c a.

IN HOC SIGNO VINCES! W tym znaku zwyciężysz!

„Sim pobiedzisz!”s

LEKCJA POLSKIEGO

Dyrektor naszego gimnazjum budził niezaprzeczalny respekt, a nawet zatrwożenie wśród uczniów.

Polonista, profesor Jan Gaciński, skupiał natomiast wokół siebie szacunek wszystkich. Nie słyszało się o nim nawet najmniej uszczypliwego słowa. Nie miał, jak każdy z nauczycieli, nawet dobroduszenie brzmiącego przezwiska. Na lekcjach języka polskiego zalegała cisza i panował spokój. Nie do pomyslenia były uczniowskie żarciki i kawały. Do dziś dnia nie wiem, skąd brał się u uczniów taki szacunek do swego nauczyciela. Z jego strony nie było żadnych przejawów karcenia, pogrózek obniżania ocen, bo każdy uzyskiwał taką, na jaką zasłużył. Omawiając prace domowe, nie kontrolował, czy każdy z nas ją wykonał. Nie była do pomyslenia nawet możliwość wykręcania się od nich. Na lekcjach tych, z rozbrykanej młodzieży, w styczności z nauczycielem, wytwarzało się grono solidnych i odpowiedzialnych młodych ludzi - żywo zainteresowanych przedmiotem i poruszonymi tematami.

Profesor utykał na jedną nogę i do klasy wchodził wsparty o łaskę. Nie schodził też nigdy z katedry i nie sprawdzał, co się dzieje za dalszymi ławkami. Nikt zresztą podczas trwania lekcji nie miał ochoty do zajmowania się czymś innym. Można by pomyśleć, że to ułomność profesora budziła respekt albo współczucie. Nie było jednak nic z tego w jego postrzeganiu. Długo nie znaleźmy rodzaju i przyczyn jego dolegliwości. Może i było to powszechnie znane, że pochodzą od ran wojennych. Nie obnosił się z tym jednak.

Zdarzało się, że chętnie opowiadał o własnym gimnazjum w Płocku, jego rodzinnym mieście. Wspominał bohaterstwo nauczycieli i uczniów starszych klas szkoły, którzy spontanicznie wyruszyli na front do walki z bolszewikami, w dwudziestym roku. Wielu z nich nie powróciło z wojny i ich nazwiska zostały potem umieszczone na tablicy wmurowanej w gimnazjum. Część zaś od-

niosła strasznie okaleczające rany. O sobie, że także brał udział w tej wojnie i był ranny, wspominał ledwie mimochodem. Opowieści z plockiej szkoły nawiązywały do zrywów patriotycznych młodzieży Lwowa, wielu innych miast i miejscowości kraju, na przestrzeni ponad wiekowych walk o jego niepodległość.

Bez patosu brzmiały jego słowa, gdy mówił prosto i zwyczajnie o młodych oddających życie za kraj, jak o orłętach broniących swego gniazda.

Uczył patriotyzmu, nie tylko z historycznych opowieści, ale szacunku dla narodowej myśli i polskiego języka. Powtarzał, że język ojczysty to obszar rozumnych treści, ujętych w słowa, które są także impulsem do rozważnych a odważnych czynów.

Taką rangę języka uczył odnajdować we fraszkach Księcia poetów, „Rozprawie między Panem, Wójtem i Plebanem”, w trenach do Urszuli Mistrza Jana z Czarnolasu, „Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego”, „Panu Tadeuszu”, „Dziadach” i „Sonetach krymskich” Mickiewicza, w „Śnie srebrnym Salomei” i „Anhellim” Słowackiego. Później ukazywał wartości prozy Żeromskiego i jemu współczesnych. Z jego ust też po raz pierwszy usłyszeliśmy o debiucie młodego Andrejewskiego w „Ładzie serca”.

Powodowany sentymentami do swego rodzinnego miasta, zachęcił do zorganizowania wycieczki szkolnej, przez Warszawę, statkiem po Wiśle, aż do Płocka. Sam w niej nie mógł uczestniczyć, ale odnajdowaliśmy miejsca znane z jego opowieści. Rzeczywiście w gimnazjum, które kończył, znajdowała się tablica ku czci poległych uczniów i nauczycieli w bitewnym „Cudzie nad Wisłą”. Urzekały nas mury katedry na wyniosłym wiślanym brzegu, którym „za tumem”, w swej młodości, odbywał spacer nasz profesor.

Dysonansem stało się nieopatrne czy przekorne zaprowadzenie nas przez przewodnika do kościoła mariawitów.

Nie przebrzmiały jeszcze niedawne sensacje wokół tego klasztoru, z niepokojącej sławy „mateczką Kozłowską”, księdzem Kowalskim i „mandolistkami Marii Panny”. Klasztor zasłynął nie tyle swymi odrębnościami liturgicznymi, co famą o nieprzystojnych ponoć poczynaniach w jego zgromadzeniu.

Przy tej okazji powstał na wycieczce rozdźwięk pomiędzy na-

uczycielami. Jedni byli za zwiedzaniem skarbów klasztornych, inni przeciw, bo samo wchodzenie tam poczytywali za gorszące.

Tak na wstępie patriotyczny wątek wycieczki zmałował tumult sporów na temat wartości moralnych. Nie zatarło to w nas uroków starego Płocka, tkwiącego w zakolu wiślanym, i atmosfery jaką wytworzył wokół niego nasz, niezastąpiony, nauczyciel. Choć byłem najstarszym uczniem w klasie, a może i najgorszym ze szkoły, polskiego uczyłem się pilnie, chociaż ciągle „sadziłem” błędy ortograficzne.

Żona profesora, Maria Gacińska, prowadziła młodsze klasy. Jej zawdzięczam przyjazne przyjęcie i opiekę podczas wstępnego egzaminu do gimnazjum.

Profesor Jan Gaciński zmarł przed wojną. Śmierć oszczędziła mu wkroczenia bolszewików do miasta. Chyba nie potrafiłby znieść tego upokorzenia i władzy sowieckiej, przed którą opierał się w roku dwudziestym.

Czuło się już zbliżanie nawałnicy wojennej, gdy prowadził swą ostatnią lekcję. Mówił nam, jak w podobnych okolicznościach, jego nauczyciel z płockiego gimnazjum miał swoje ostatnie spotkanie z uczniami. Tamten nie powrócił już z wojny z armią Tuchaczewskiego. Teraz zagrażała nam nawała hitlerowska z Zachodu i w swej narodowej naiwności nie wyobrażaliśmy sobie nawet sowieckiej napaści.

Nie do przewidzenia były losy wielu uczniów, moich kolegów uczestniczących w tej ostatniej lekcji.

Wkrótce wojna wtrąciła wielu z nich w niewyobrażalne sytuacje: więzienia, kaźnie, obozy wojenne i koncentracyjne, deportacje i gułagi sowieckie. Rozrzuciła po frontach Europy i świata, a we własnym kraju - po leśnych, partyzanckich oddziałach, po ulicach miast i barykadach walczącej Warszawy.

Nikt z nich nie zaparł się swego języka w słowie, myśli i czynie, tak jak uczył tego na lekcjach polskiego profesor Jan Gaciński.

W dniu 11 listopada 1988 roku wychowankowie Gimnazjum i Liceum im. Marszałka Józefa Piłsudskiego, w 70-lecie Niepodległości, poświęcili pamiątkową tablicę „W Hołdzie jej Patronowi”.

Zabrakło na niej jednego zdania - podziękowania i uznania dla wychowawców i nauczycieli...

SZTUKA

Na świadectwach szkolnych, pośród ocen z ledwością dostatecznych, jedyne piątki otrzymywałem z rysunków. Czasami tylko udawało mi się osiągnąć je także ze sprawowania.

Może i posiadałem jakiś „dryg” w ręce, ale rozwój umiejętności plastycznych zawdzięczałem Józefowi Blicharskiemu - nauczycielowi rysunków. Byłem, jak wielu, nim zafascynowany. Jako malarz był dla mnie uosobieniem prawdziwego artysty. Postrzegałem to w całej jego posturze, w orlich rysach oblicza i lwiej srebrzystej grzywie włosów nad karkiem. Takich jak u Paderewskiego. W palcach jego rąk zapalała się dla mnie „iskra boża”, kiedy rzucał nimi śmiałe linie korekt na naszych nieudolnych „bohomasach”. Ożywiały przed nami postacie wielkich artystów. Spośród malarzy polskich wyróżniał Wyczółkowskiego - po którym, jego zdaniem, „drzew i lasu nikt już nie potrafi namalować”. Zresztą, tamten nie malował, tylko „pazurami wydierał obraz z martwego płótna”.

Zajęty rysowaniem na lekcji, lubiłem słuchać jego opowiadań z podróży po świecie. Otwierał w nich przed nami kolebkę sztuki śródziemnomorskiej: starożytną Grecję i Rzym. Oprowadzał pomiędzy sztalugami impresjonistów i ludźmi bohemy na placu Tetre na wzgórzu Montmartru w Paryżu, a potem wiódł do stoisk bukiunistów nad brzegami Sekwany w Cite, nie opodal Notre Dame, ze straszliwszymi od Quasimoda maskaronami i otwierającymi drogę do nieba, witrażami. Po latach odżywały we mnie te opowieści, służąc za przewodników po tych krajach.

Od nas, uczniów, wymagał pracy i codziennego „plastycznego treningu” w podręcznym szkicowniku. Służyć to miało do wyrobienia każdej ręki, a rozwinięcia talentu artysty. Wspominał, jakie sam wynosił z tego korzyści podczas wояży po świecie. Szkicowniki służyły mu nie tylko do utrwalania artystycznych doznań, ale także do porozumiewania się z ludźmi, ba, nawet do przyswajania sobie ich obcego języka. W sklepikach, bistrach, winiarniach, na bazarach i w hotelikach, szkicując wypowiadał pytania i własne życzenia. Prosząc o wpisywanie pod szkicami od ręki: nazw, słów i zwrotów - tworzył własny wokabularz. Taka forma porozumiewania się ułatwiała kontakty, zawieranie znajomości i zjednywanie

sympatii u ludzi. Czasami wydzierane ze szkicownika kartki z portrecikami, sporządzanymi od ręki, służyły zamiast czeków podróżnych. Uzupełniało to niejednokrotnie skąpe zasoby jego studenckiej kieszeni.

Mawiał, że sztuka nawet największa nie pomnaża najczęściej fortuny za życia artysty, ale w jakiś sposób bywa dlań użytkowa. Zarobić pędzlem, dłutem, na następne farby, pokost, werniks, płótno czy bryłę najzwyczajszego kamienia, paczkę gliny lub gipsu, a do tego na ułomek chleba i szklaneczkę wina, to najpospolitsza użytkowa droga sztuki każdego artysty.

Takiej edukacji zawdzięczałem nawet wyróżnienia w paru konkursach szkolnych. W jednym z nich za plakat „Ligi Morskiej i Kolonialnej” uzyskałem nawet drugie miejsce, i to po kim?... Po „Manku” - Marianie Głuszkę, uczniu starszej klasy, cieszącym się już sławą artysty. Wkrótce po maturze miał ją rozwinąć w Szkole Sztuk Pięknych.

Pamiętam jego nagrodzoną pracę - duży arkusz plakatu wypełniało otwarte okno na glob ziemski z uwypuklonym zarysem kontynentu afrykańskiego. Ten fragment akcentował wówczas aktualne, mocarstwowe ciągoty do wzniesienia polskiej flagi kolonialnej nad liberyjskim wybrzeżem. Głównym tematem plakatu miało być plastyczne przesłanie do popularnego wtenczas sloganu: „Gdynia oknem na świat”.

Wojna, tak jak wielu innych, i tego laureata szkolnego konkursu pozbawiła możliwości realizacji planów. Tylko marzenia o sztuce przetrwały nawet najgorsze. Nie żywił ich jednak błękit mórz opływających Peloponez i nieba przebijanego cyprysami Italii. Losy wojny zmiotły go, jak zamieć, na archipelag gułagów sowieckich.

Spędził tam lat kilkanaście, na zwiedzaniu coraz to nowych wysp, rozsianych po nieludzkim morzu. Kiedy zdarzało mu się chwycić w żaglek kolebiącej się łupiny życia jakiś bardziej ożywczy powiew nadziei na wyzwolenie, zawsze toń pod nim odkrywała się coraz to głębsza. Parokrotnie docierała doń zapowiedź zwolnienia, ale zawsze kończyło się to przesłaniem do innego obozu, gdyż właśnie wynikła jakaś rozróżba czy bunt „urków”, epidemia lub inne nieprzewidziane kataklizmy i okoliczności.

I znowu zaczynał wieść życie skazańca od początku, czasami z dodatkiem lat „kary” i zawsze ze złudą bezowocnych starań o uwolnienie.

Kiedy po latach znowu przyszedł nakaz jego zwolnienia, termin stawienia się w Moskwie dla załatwienia repatriacji do kraju uragał swą nierealnością.

Znajdował się w obozie mieszczącym się niemal pod kołem podbiegunowym. Panowała ostra, północno-syberyjska zima, otaczająca wszystko zaspami śniegu na metry, nie do przebycia. Ustąpiła nawet łączność i komunikacja z sąsiednimi punktami zesłańców i rzadko w tajdze rozsianymi osiedlami. Nie było żadnej nadziei na dotarcie do bardziej cywilizowanego świata, a gdzież w nim dopiero można było myśleć o Moskwie.

Wtedy uległ już ostatecznemu załamaniu i rezygnacji z nadziei na powrót do kraju.

Ale stało się coś tam niespotykanego. Jego łzy bezsilności poruszyły jednego ze współwięźniów i to „gławoreza”, starszego „urków” - słowem herszta przebywających tu kryminalistów. Skąd taki odruch u „Strasznego Zioby”, bo pod takim imieniem był tu znany? Skąd u takiego, co miał niejedno życie na swoim sumieniu, jeśli nie na wolności, to w rozrachunkach obozowych? Czy w ogóle taki mógł mieć jakieś sumienie?

Przywołał do siebie złamanego do ostateczności Polaka i pocieszył słowami : „Ty, Mania - artist, nie tarapiś. Wsio budziet w poriadkie”. Zachowanie to mógł zrodzić tylko instynkt ukrytego w dzikim zwierzęciu mecenasa sztuki. Jemu uzdolniony więzień po prostu przypadł do gustu, a może i serca, przez to, że rysował węglem drzewa, ludzi, a jemu portrety, i to takie, jakich sobie życzył. Nawet „w garadskom pidżakie i binoklach”. Na ciele rąk, klatki piersiowej i pleców, kopiowym ołówkiem, kreślił, według życzenia, takie wzory, jakich nie potrafił stworzyć nawet biegły w tatużach „tiuremszczyk”. Z postanowienia Strasznego Zioby obozowa „szpana” dostarczała nawet farb, pędzli do malowania olejnego i dzięki temu mogły powstawać podobizny „zakliuczonych”, wybranych przez „szefa” - przejmujące stygmatami cierpienia - bardziej niż cerkiewne ikony. Rozkazy szefa „urków” sięgały poza władze i druty obozowe. Zorganizował pieniądze i prowianty na

drogę z ograbionych magazynów i ze „skidki” współwięźniów. Okazało się możliwym przekupienie transportu z oklicznych baz produkcyjnych, nawet uzyskanie helikoptera, który dowiózł do stacji, przez którą przebiegały transsyberyjskie pociągi. I tak z tundry podbiegunowej Marian Głuszek, poprzez nieprzebyte o tej porze roku śniegi, dotarł do stolicy Kraju Rad.

W moskiewskich hotelach, bo gdzieś w końcu musiał się zatrzymać, zbywano go na sam widok. W obszarpanej, zeszmelcowanej „tiefogrejce” i łapciach sporządzonych z samochodowej opony, powodował wręcz panikę i odstraszał wszystkich.

Nadto smród pełnący od niemytego ciała i wszy, niemal kłębiące się pod czapą i otulającym szyję baszłykiem, wywoływały wstręt i zrozumiałą niechęć do dania jakiegokolwiek kwatery. W każdej „gostinnicy” zbywano go brakiem miejsca i wskazywaniem drzwi wyjściowych.

Zmordowany drogą i nawet tu, niby już na wolności, takim poniewieraniem, wreszcie targnął się, i to w recepcji najwytworniejszego hotelu Moskwy: „Znaju, znaju. Czto miest nie imiejecie, a na primier kak z apartamentami...?” Potwierdzono, że takie są dla lepszych gości, a nie takich obszarpańców jak on. Na to zza pazuchy wy dobył zwitki czerwieńców wysokorublowych i cisnął na okazały blat recepcyjnego stołu.

Zaniemówił, zająknął się recepcjonista i przyjął go do hotelu. Okazało się to argumentem ważniejszym niż wszelkie uprzedzenia, jakie sobą wzbudzał, i okazywane „ważne dokumenty”.

Przyznał potem, że pierwszą noc w apartamencie spędził na podłodze, pod kaloryferem. Nie miał odwagi ulokować się w szerokim, rzeźbionym łożu z puchową pościelą.

Kiedy wspominam opowieści z klasy szkolnej naszego nauczyciela rysunku i opowiadanie jego ucznia - zesańca i więźnia gułagów, nasuwa mi się refleksja, jak spożytkowali sztukę w swoich, tak nierównych i nieporównywalnych losach i kolejach życia.

WOJCIECH ZAŁĘSKI

JAK PIŁSUDSKI EUROPATĄ ZOSTAŁ

- Słyszał - mówi do mnie jakiś czas temu szwagier Czesiek - że za niedługo Piłsudski ma się na ziemie wrócić? - A daję słowo, chłop nie był przy tym nic ale to nic wypity.

- Do Polski Cześku? - Spytał się ja jego.

- Rzetelnie mówiąc... tego nie słyszał. Ale musi, co tak. Komu on w Europie potrzebny? A tu ktoś ten bardak musi naprawić. Nie?

Nie szło ostatnio Dziadkowi gdzie w niebie miejsce zagrać. Niszprował, po niebieskich kątach, szerszenił się, czegoś szukał, ostrogami brzdąkał i coraz szablą z irytacji tak trzaskał, że raz po raz grzmoty po nieboskłonie przetaczały się jakby kto puste beczki po kociaczych łbach na Brzozówce kaczał. Ludzie spoglądali w niebo, żegnali się szeroko i mówili z pokorą:

*wiosenne grzmoty,
na jesienne omloty...
daj Panie Boże
szychowato zboże.*

Ale on tych głosów nie słyszał. Nie zauważał, że maluczki niepokoi na ziemi, że... jak kto głupi... sam ze sobą gada.

- Do czego te mendy garnizonowe mamulke Polskę doprowadziły? Żeby się byle kalikatura, byle taborowy trep nad nią wytrząsał... i żeb po pysku takiemu nie miał kto dać? Ot masz syny mamulko... co za czasy nadeszli? Nikt o honor Rzeczypospolitej nie stoi!

Dobry Boże - westchnął i podniósł oczy w górę - całkiem nie rozbierzesz kto tam bolszewik, kto swój, kto łachudra a kto rzetelny, kto pan, kto cham, kto baba, kto chłop? Wszystko

wszystkim się tam popierniczyło, że nie odróżnisz kto prawdę mówi, kto łże... Zginota!

Znowuż Panie Boże partyjne kundle mamulkę żywcem do grobu kładą. A ja co? Musze patrzeć jak cała moja robota na nice się obraca. Żeb choć jeden tym francawatym szurgancom kota popędził, albo w Berezie Kartuskiej uzdrowisko roztworzył...

A tu? Co ja moge? a tu cień człowieka. Siedzę jak bałda i szlag mnie jaśnisty trafia na te wyskrobki, te bradziażne dekowniki patrząc!...

Słyszac te okropne przekleństwa, przerażone aniołki wtykały w różowe uszka wskazujące paluszki i rozpaczliwie machając przykrótkimi skrzydełkami rzucały się w kłębiące dokoła obłoki. Uchodziły w najdalsze kąty nieba, a ten z marszałkiem pustoszał w tempie zawrotnym.

- Zaraz, zaraz - oczy Dziadka rozbłysły nowym blaskiem i nadzieją - ty Panie Boże wszystko możesz... dla Ciebie nie ma rzeczy raz na zawsze ostatecznych. Proszę Cię, błagam... przylej, choć dla postrachu, której kanałii w ucho, żeb się nogami nakrył... żeb mu stołek od zadka odleciał a do głowy rozum nazad wrócił. Co to dla Ciebie? Toż nawet Chrystus cierpliwość stracił widząc kupczącą w Twoim domu hałastrę, kramy powywracał i przepędził hadztwo won... na ulicę!

Bądź tak dobry Panie, ulituj się nad mizериą ojczyzny mojej, wygnaj z niej hołotę!

Wiem, wiem... wszyscy jesteście na Twojej głowie. Wiem, wiem.. nie sposób się byle głupstwem zajmować. To szepnij słówko Gabrielowi. Ooo! A może poszli Jurka? Co?

A jak i to niemożliwym... to może Żeligowskiemu daj wychodne. Chłop zasłużył na trochę urlopu? Skoczy do Warszawy na parę dni i już..

Molił Piłsudski Pana Boga, napraszał się tak długo, aż nadojadło Najwyższemu jęczenia słuchać. Zdegradował go do rangi brygadiera i kazał świętemu Piotrowi wygruzić z raj.

- Wywal go z nieba na zbitą twarz Pietrze! Wywal, żeby mnie z oczu zeszedł i przestał się pod oknami niebieskiej kancelarii

bałwanić! Won na ziemię! A tam niech się kołtuni, jęczy, do woli zębami zgrzyta na ziomki durnowate spoglądając!

Tak rozsierzonego Pana święty Pioter od rewolucji październikowej nie widział. Powiało chłodem, białe dotąd chmury ściemniały i zaczęły groźnie mrużyć. Skinął niebieski klucznik na sześć Cherubinów pełniących służbę. Ułożyli śpiącego brygadiera na cumulusie i delikatnie sfrunęli w sam środek podlaskiego miasteczka. I tak to Piłsudski opylił się w Supraślu pod drzwiami sławnej na cały kraj „Jarzębinki”. Pewnie tamtędy droga do rajy prowadzi.

Ulica 3. Maja tonęła w mrokach. Od zachodu niebo raz po raz rozświetlały dalekie błyskawice i z daleka dolatywał głos gromów. Drzwi gospody rozwarły się na oścież, ale zaraz je przeciąg z hukiem zaparł.

Przez to mgnienie, przez ułamek czasu z rozgrzanego przytulnie wnętrza wydostał się na zimną ulicę kłęb pary nasyconej bukietem zapachów. Dziadek bystro otworzył oczy, wciągnął nosem haust powietrza. Powracające do ziemskiego żywota zmysły zaczęły selekcionować schwyte w nozdrza aromaty. Piwo - zgadywał nos Brygadiera - majeranek, grochówka na wędzace, kiszka ziemniaczana, listek bobkowy, ziele angielskie.

- Ulnik! - wykrzyknął radośnie - Baba ziemniaczana z cebulką i skwareczką. Jeden Bóg raczy wiedzieć co jeszcze było w tym błękitnym obłoczku pary, ale wszystko to pobudzało wolę życia i potrzebę działania.

Cielesna powłoka Dziadka zaskuczala pożądaniem, jako że życie powracało w nim przez uczucie głodu. Kto jest w stanie wyobrazić sobie to gigantyczne ssanie w dołku, po siedemdziesięciu latach niejedzenia?

Wszedł do baru zdecydowanym krokiem i stanął pośród przepelnionej gwarem „furmańskiej sali” zupełnie bezradny. Rozglądał się, bezskutecznie usiłując zlokalizować wywęcane na ulicy niebiańskie zapachy.

W kątku chłopcy z batami wetkniętymi za gumofilce,

podochoceni piwem, machali czapkami uszankami w takt śpiewanej piosenki:

Jeduć wozy kolorowe hablanouki

Jeduć wozy od Studzianek do Bagnouki

A kto piwa z nami nie wypije!

Ni pożyje se... jej Bobu ni pożyje!

Przed każdym bywalcem baru stał kufel piwa lub setka wódki, a na talerzyku spoczywała odarta ze skóry połówką śledzia. Bardziej ekskluzywne towarzystwa siedziały wokoło obłupionego ze skorupki pół jajka na twardo, łypiącego żółtym okiem, lub pokrajanych w kostki „zimnych nóżek”. Grochówki nigdzie!

- Z drogi!... stara pierdoło! - Ryknął w ucho Dziadkowi świński blondyn o niebieskich oczkach, drab słusznego wzrostu niosący w dwu rękach... raz, dwa, trzy, osiem kufli piwa. - Won pryku... bo nadepne!

- O... ooo królu złoty... Ooo szanuj siwy włos ty Stu... Studziańska gamoło! - Staął w obronie Dziadka żyłasty bywalec, cieszący się tu wyraźnym mirem. - Oooo tędy stary mo... mookasyńie! - z galanterią wskazał dłonią Piłsudskiemu drzwi obite obficie polakierowaną dyktą, na których wisiała tabliczka:

SALA BEZALKOHOLOWA

- Tam dziadku, ta... taam podajo la lepszych goooci! - Zmęczona głowa kiwnęła się żyłastemu w przód, w tył... w przód w tył... i usypiając opadła pomiędzy kufle, setki i leżące na stole czapki.

Świński blondyn wziął opróżniony kufel śpiącego, przez chwilę manipulował nim pod stolikiem i kto miał dobry słuch mógł wyłowić dobiegający stamtąd odgłos ciurkania. Twarz świńskiego blondyna przybrała wyraz błogości, na usta wypłynął uśmiech zadowolenia. Postawił kufel przed śpiącym, trącił go w ramię i przedrzeźniając ykatego powiedział: - Na... napij się ooooo królu!

Śpiący podniósł niewidzącą głowę, oblał oburącz kufel, zbliżył do ust i... znieruchomiał. Odstawił. Znowu zbliżył do ust, powąchał...

- Oooo żesz łachu! Ty wy... wyliniały kojocie! O bij kto spra... sprawiedliwy! - Zawołał i wylał zawartość kufła na łeb świńskiego

blondyna. Ten chwycił krzesło, cisnął w „szklany ołtarz”... znaczy bufet. Wszyscy porwali się do kufli i kto tam co miał pod ręką ciskał albo lał na oślep.. Tchórzliwi wyskakiwał oknami.

Dziadek ruszył przez zgiełk bitewny w kierunku „bezalkoholowej”, a tam w otwartych drzwiach stał tłumek anielic. Jedne w białych niegdyś fartuchach, inne w kusych spódniczkach i małych fartuszkach obszytych szerokimi falbankami, w dziwacznych diademach na głowach. Zrobiły dziadkowi przejście, a jedna nawet zaprowadziła go do wolnego stolika. Co prawda na „bezalkoholowej” wszystkie stoliki były wolne.

Odgłosy bitwy dobiegające z „furmańskiej sali” zdawały się dla ucha brygadiera czymś sympatycznie znajomym, ale nie były w stanie zagłuszyć narastającego nie do wytrzymania głodu. Nie łagodził go nawet widok kuprów podkasanych kelnerek, wypiętych w jego kierunku... wręcz odwrotnie... pobudzały w nim agresję.

- Hola! - zawołał - Panienci... do stu piorunów... karmi tu kto głodnego!?

Spomiędzy kuso odzianej widowni śledzącej losy bitwy na „furmańskiej” wyszła czarniawa, krótkonoga dziewczyna. Podążyła jadłospis w lepkich, plastikowych okładkach i spytała:

- Co podać?

- Grochówkę! Byle prędko!

- Nie ma! Wyszła... ale są flaczki po warszawsku?

- Dobrze, podaj słodziutka flaczki z kajzerką.

Piłsudski poczuł nagle zapach świeżego pieczywa i ślina zaczęła wypełniać mu usta.

- Z jako kajzerko? - Zdziwiła się dziewczyna przywracając Dziadka rzeczywistości.

- Z bułką panienko. Zwyczajną pszenną bułką.

- Niechaj od raz tak gada... flaczki z pieczywem. Czytać nie umie? - Tu krótkonoga podsunęła pod nos brygadiera wymiętoszony maszynopis, tycając palcem w odpowiedni ustęp.

Na ulicy, jak trzaskanie z bata, zapiszczały hamulce i dwa radiowozy zajęchały z fantazją przed gospodę. Kominiarze, bo tak w myślach nazwał ubranych na czarno funkcjonariuszy, sprawnie oczyścili „furmańską” i zapanowała cisza, którą zakłócał tylko głos kelnerki.

- O, jak wół, stoi napisane wyraźnie! Tu gospoda nie piekarnia!
Prawda. W jadłospisie pod pozycją 24 „stało jak wół”:
Flaczkipowarszawskuzpieczywem6zi40gr.

- Co - zdziwił się - sześć złotych i czterdzieści groszy? Za to u „Bata” można eleganckie lakierki dostać.

- Dziadku, dziadku... lakierki? Niechaj się cieszy jak samemu uda się za sześć złote skarpetki kupić. A dostać to można tutaj najwyżej batem... hi, hi, hi... - Zaśmiała się krótkonoga ze swego dowcipu i znikła w długim korytarzu... skąd dobiegał gwar kobiecych głosów, szcęk statków kuchennych i woń butwiejącej ścierki.

Przy sąsiedzkim stoliku dwaj mężczyźni szwargotali po niemiecku. Piłsudski w magdeburskiej twierdzy siedząc poznał szwabski perfekt. Dlatego teraz pochłaniając flaczki z konieczności uczestniczył w ich rozmowie. Tym łatwiej, że Niemcy będąc w gościach mają paskudny obyczaj głośnego mówienia. Dzięki temu dowiedział się, że prowadzący dialog spędzają tu urlop, że jest im tu dobrze. Chwalili Polskę jak mogli, Polaków wynosili pod niebiosa... tak im tu dogadzają, tak ich dogładają.

Od tego Piłsudskiemu w piersiach pociępląło.

- Nie wszystko widać na marne poszło - pomyślał - jakoś sobie radzą.- Nawet kelnerka jakby mniej wredną mu się zdała i nogi jakby jej urosły. Odłożył łyżkę, podkręcił wąża, wsparł oburącz na głównej szabl i chciwie słuchał.

- Co pomyśle jest! - Mówi mały, rudawy blondyn w, skórzanych majtkach z szarotką na szalkach. - Sznapsa zechce... stoi. Panienkę spodoba się mieć... już na kolanach siedzi. Tylko wiesz co Helmut? Mam do ich jeden żal... W czterdziestym czwartym w Białymstoku na rynku dziadka mnie powiesili. Jak mogli?

- Co powiesz? Ot tak sobie... zupełnie bez nic? - Zdziwił się Helmut, mulat ubrany w granatowe spodnie i białą marynarkę plażowego lodziarza. - Nie wierze. To takie miłe ludzie. A za co jego... tego?...

- Dziadek był we wojne w Białymstoku.

- Co robił?
- Pracował... noooo... robił w gestapo.
- W gestapo mówisz? To paskudnie. Hitler kazał gestapo brzydkie rzeczy robić. To przykre Ginter mieć takiego dziadka.
- Czemu? Ja znam jego tylko z fotografii. Zreszto on był tylko inżynier samochodowy i doglądał naprawy aut na holtzgaz. Niedawno mnie nawet przeprosili.
- No widzi... umiejo sie znaleźć, to elegancki naród...
- Nawet swoje dzieci na roboty obiecali mnie podestać.
- I co ty od nich chcesz?
- No nie wiem czy warto?
- Prawda... wyżywienie teraz kosztuje...
- Nie. Na wyżywienie i kieszonkowe im dadzo...
- To w czym rzecz?
- Teść na Prusach miał nieduży majątek. Raz przywieźli na stację praktykantów z Generalnej Guberni i on z licytacji wybrał paru i uczciwie za każdego dał po trzydzieści marek. A teraz rząd im płaci rekompensaty za niewolniczą pracę. Przecież dziadek ich karmił, dał dach nad głową. A w zimie to palili w piecu ile chcieli...
- Ja, ja, to niesprawiedliwie i to, że ci dziadka powiesili, masz Ginter prawo mieć do ich żal. Dla oficera to bardzo nieelegancka śmierć. Ale ja nie powiem... mnie tu dogadzają nie kiepsko, mam wszystko co chce. Na koniec mnie hotel z plażą i jeziorem podarowali.

Ta część rozmowy przestała się Piłsudskiemu podobać. Podsunął bliżej talerz i już bez zapału wziął się do jedzenia podstudzonych flaczków... z pieczywem.

- Co? Tak sobie o... podarowali? Niemożliwe!
- No sprzedali. Ale za tak nędzne pieniądze, że u siebie w Diseldorfie budki z gazetami bym nie kupił. Można powiedzieć darmo dali. - Zamilkł i po chwili milczenia dodał - Jeszcze prosili się żeby ich do interesu przyjąć. Nawet na ich koszt dzwoniłem do mojego adwokata żeby powiedział czy jaki haczyk prawny się tu nie kryje.
- I co adwokat?

- W porządku. Mówiłem, to uczciwe ludzie. Tylko trudno nimi rządzić.

- E... Bismark pokazał, że i nimi da się kierować, tylko ta słowiańska fałszywość zawsze z nich wylezie.

- Co ty znowu?

- A co z pomnikiem dobrodzieja Bismarka zrobili? Wyszadzili w powietrze!

- Ale teraz na pewno go odbudują, żeby ich Europa za barbarzyńców nie miała.

Tego już Piłsudski nie zdzierzył... flaczki z kajzerko zaparli się jemu w gardle. Bryznął łyżko o stół i wyleciał na ulicę. Chwycił pierwszego, co się mu nawinał, za klapy marynarki... i zgłupiał.

- Chłop to czy baba? Kto się mnie w ręce popadł? Co to jest? W portkach to to ale w zadku szerokowate, do tego ma cycki i głowę obryto jak kolano... łysą. Musi to na tyfus chorowało. Tylko czego sie w ojca odzieniu, bez chustki, po ulicy płacze?

No to kłapnął inną babę... taką czarniawą z warkoczykiem, kilogramem srebrnej biżuterii w uszach, w brwiach, w łypie. Zadzźwięzczały wszystkie ozdoby, zadzwoniły...

- Gdzie tu najbliższy odwach? - Spytał Brygadier tę żywą choinkę.

- Jaki odwach? - Baba do niego basem.

- Gdzie wojsko stoi kobieto... albo żandarmeria, policja?

- Policja? A co z jo mam wspólnego... stary zgredzie? Spadaj! Ciąg sie łachu, bo strzele w glace, to ci z miechami na ziemie spadnie!

Piłsudski, choć nic z tego nie pojął, odskoczył jakby kto na jego ukropem luchnął. - Znowu musi na cudzoziemca trafił, bo mówi niby po polsku... ale nie po polsku.

Dookoła ludzie zaczęli przystawać, tłum się zrobił. Dziadek słucha i nic nie może zrozumieć. Aż podeszła starsza kobieta i ludzką mową spytała:

- Zabłądziliśmy dziaduniu... co? Zgubiliśmy się biedaczku... tak? A może zapomnieliśmy przy jakiej ulicy stoi nasz śliczny domek?

- Jaki śliczny domek kobieto?

- Starców... dziaduniu. Noooo... przypomnijmy sobie... Nie w Łażniach przypadkiem wasz domek? Na wiosce?

- Na wiosce? W Oleandrach kretyńko! - Wrzasnął Piłsudski i wyprostował jak sprężysta szpicruta. - Pardon... Przepraszam, prowadź kobieto na odwach!

- Gdzie?

- Na kordegardę, posterunek, na policję, na pocztę... gdzieś, gdzie znajdę jakiegoś mundurowego, może się z nim dogadam?

Akurat drugą stroną ulicy szedł oficer. Kobieta ucieszyła się na jego widok, podskakując machała ręką i wołała.

- Halo, halo! Panie oficerze! Panie wojskowy! Halo, halo!... Prosimy do nas, bardzo pan potrzebny!

Oficer odwrócił się i ruszył w ich kierunku. Piłsudski przyglądał się mu dłuższą chwilę.

- Oficer mówi pani? Te toto, ten dekownik... to wojskowy? - Powiedział zdławionym głosem. - Ten wymiętoszony kurdupel w wykłyndanych pantoflach z żydowskiej chanajki ze starzyzną. Te czuczale bez pasa, koalicyjki, bez bocznej broni - to tera polski oficer? A może gajowy? Eeee... jaki gajowy pokazałby się na ulicy ubrany jak łachudra?

- O co się tu rozchodzi? - Eunuszym dyszkantem spytał oficer kobietę.

- Słuchaj synu - odezwał się cicho Piłsudski i mówił coraz głośniejsze - nawet jeśliś jest kiepski gajowy czy flejtuch kolejarz, albo listonosz zaropiałek... stań na baczność przed szarżą! - ryknął - a starszemu stopniem i wiekiem honory oddaj! Nie uczyli cię, w ta pora, w domu grzeczności gówniarzu... aaa...!?

Oficer, zaskoczony, wypuczył brzuch, zasalutowował niechlujnie trzema palcami, jakby brał wiśnie. Dziadkowi hadko się zrobiło na ten widok. I nim przemógł dławiącą w gardle kulę, przez tłum przepchała się do niego wielka, wyszinkowana, utleniona blondyna, objuczona stertą tobołów z uwieszonym do nich malutkim, czarniawym jak Turek chłopem. Podsunęła pod wąsy brygadiera wymiętoszony papier zapisany ruskimi bukwami i spytała:

- Pan! Pan! Skaży gdzie u was bazar? Panimajesz pan... bazar... baaa zaaar.

- Zdziesz adries! - Zapiszczał mały chłop rasy kaukaskiej, trzymający się jedną ręką tobołów, palcem drugiej ręki tycający w dzierzony przez babę papier. - Milicjonier! Kuda najdu eti bazar?

Piłsudski poczuł, że serce w jego piersi coś wyrabia. Tuktukało tak szybko niczym maksym jego legionistów wzięty na sowietach pod Pyszkami nad Niemnem. Wieczór w oczach zapadł mu nagle. Widział tylko wielkie i czerwone jak sztandar nacierających bolszewików usta blondyny i złote zęby przemieniające się w złoty sierp i młot. Zza zębów wyglądał mały chłop i spod obwisłych wąsów natarczywie pytał:

- Bazar pan milicjonier? Nam nada na bazar!
Zapadła noc.

Gdy otworzył oczy, zobaczył, że siedzi na zydelku pod Niebieską Bramą. Nad nim pochyła się święty Pioter i jak w dzień „cudu nad Wisłą” podaje manierkę, o zgrozo, znowu z rumem.

- Machnij Ziuk. Wiem, że obrzydliwe to w smaku, ale cię chłopie raz dwa na nogi postawi!

Lyknął Dziadek z manierki potężnie... aż mu w oczach pojaśniało. Zaczęły się ze wszystkich stron zlatywać anioły w legionowych, szarych mundurach.

A uśmiechają się serdecznie. Brygadier każdego poznaje. Widzi każdą bitwę i każdą bolesną śmierć swoich chłopców z osobna. Czuje, jak go opuszcza chłód samotności.

- Już ci lepiej stary capie? - Spytał święty Pioter, klepiąc go „po pagonach”. - Nie rób nam więcej takich kawałów.

Brygadier zamrugął oczami na znak, że do siebie doszedł, ale głosu z piersi nie może dobyć. Niebieski klucznik pochylił się nad nim i szepnął mu do ucha cichutko:

- Powiem coś w sekrecie. Tylko nikomu nie mów... sza. Bo to przeciek z kancelarii niebieskiej.

Dziadek ręką pokazał na usta, że głos mu odjęło i nawet gdyby chciał sekret zdradzić... to nie da rady.

- Ziuk... - święty Piotr zrobił efektowną pauzę - wczoraj Najwyższy postanowił ciebie znowu zamknąć w twierdzy w

Magdeburgu.

Piłsudski zerwał się na równe nogi. Znowu pociągnął tęgo z manierki. Kolory wróciły mu na policzki, siwe włosy pociemniały jakby naraz zmierzch zapadł, na czole zmarszczki wypogodziły, odkorkował.

- Do Magdeburga mówisz święty Pietrze!?

- Do Magdeburga brygadierze, niemieckiego się poduczyć! - Święty Piotr przymrużył porozumiewawczo oko.

- Piotruś! - Piłsudski objął świętego ramionami i klepiąc po plecach ucałował wąsate usta. - Piotruś... znaczy zaczynamy wszystko na nowo... od Magdeburga?! A potem do Polski?!

- Tak jest brygadierze! - Zasalutował do łysiejącego czoła Święty Pieter - Ale... I tu się zacukał, milczał dłuższą chwilę, lzy jemu w oczach stanęły. - Ziuk... tego tam... ale bo wiesz... - Przemógł się i zakończył. - Do Polski nie wrócisz... zostaniesz w Europie! W Brukseli!

- Jezusie Nazareński! - Wyrwało się aniołowi co z twarzy Wieniawę - Długoszowskiego w szczenięcym wieku przypominał. - Złapał się za usta i przez palce mówił - Jezu! Ziuk europato się został? Wielkie nieba!... Panie Boże za co!?

Piłsudski, ręce rozłożywszy, stał w chmurach pośród całego świata i patrzył w okno Panu Bogu bezradnie. Wąsy mu zwisły żałośnie jak u martwego suma, a przeżyte lata garbem zaczęły wylazić na plecy.

- Niezbadane so wyroki Pana. - Próbował pocieszyć go Święty Pieter. - Czy Pan zrobił kiedy coś, co by nie było w finale pozytykiem? Widać Brygadierze względem ciebie i Polski ma jakiś ważny plan. Chyba próbuje Europe honoru i godności poduczyć?

KTO NAPRAWDĘ BYŁ SPRAWCĄ NIESZCZĘŚCIA LUDZKOŚCI?

Wiemy, że do upadku Imperium zła przyczyniły się słowa papieża Jana Pawła II - Nie bójcie się! - I ludzie przestali się bać. A gdy pokonali strach i odzyskali szacunek do samych siebie, natychmiast obalili komunizm. Przynajmniej tak się im zdawało.

Jednak mało kto wie, że gdyby nie inny Polak, świat nie doświadczyłby czerwonego piekła i być może nie powstałoby nigdy imperium zła. A stało się to dzięki pewnemu, ciekawemu światu, supraślakowi. Nazwisko zmilczę, jako że po obaleniu komuny historia jego życia przestała stanowić powód rodzimej chwały i dumy.

Romek odbywał służbę wojskową we flocie bałtyckiej. Właściwie, mógł wraz z setkami dezertków pałętających się po trupie imperialnej Rosji wrócić do domu, ale kto mając dwadzieścia lat dobrowolnie zrezygnuje... mówiąc po suprasku... z przyjemności oglądania daremnego teatru?

Niemająca rodzina nie była w stanie rekruta Romka wyreklamować ze szponów carskiej maszyny wojskowej. Wezwany, stawiał się na punkt werbunkowy w Białymstoku, gdzie mu obryli głowę na „kolano”, znaczy na łyso, załadowali do wagonu i z dwudziestoma, takimi jak on, ciekawymi świata nieszczęśnikami powieźli w nie mający końca przestwór... bo Rosja nie ma granic. Jedzie się nie do Rosji, a w jej głąb. Przeciętny Rosjanin wie, że Matuszka Rasija jest wielka, a to czy się gdzieś kończy mało go obchodzi, bo to są problemy władzy.

Wieźli dwa tygodnie, dali szynel, niekiepskie, juchtowe buty i przestał być człowiekiem, Romkiem, Romanem, Romualdem, a stał się cyfrą strategiczną wielkiego imperium rosyjskich carów, własnością państwową, i jako taka podlegał dystrybucji ludzi do tego uprawnionych. A po czym poznać osobę uprawnioną? To proste... jeśli wyzywa, ruga i obsobacza to znaczy, że ma prawo. Bo kto by się odważył takie sobie uzurpować.

Czy wiecie, ilu od tej pory uprawnionych decydowało o losie

Romana, niezależnie od tego czy przeżywali zdradę żony, ból zęba, pominięcie w awansach? Dużo. Bardzo dużo. Niewyobrażalnie dużo. Oni mieli zawsze rację. Zaś najmniej o sobie decydował on sam, ukochany pieścuch swojej matki, Romcio, Romeczek, Romuś.

Mimo to, jak przystało na Polaka, idąc w ślady minionych pokoleń, w ramach tej formy niewolnictwa potrafił stworzyć świat wewnętrznej, nienaruszalnej wolności. Co dla twórców imperium było zawsze wredną tajemnicą polskich panów, co powodowało, że dobrze urodzony Rosjanin miał kompleks przed polskim szewcem z Wilna.

Tak też był spostrzegany przez architektów jego losu i odpowiednio doceniony. Po roku służby *riadowej* Roman awansował w wojskowej hierarchii i został ordynansem u Spiridiona Radionowicza Kirynina.

Podporucznik Kirynin, marynarz, do poduralskiej jednostki popadł karnie. Oderwanie od morza było szczególnie bolesną i perfidną formą sponiewierania jego marynarskiej, oficerskiej godności.

O czym Kirinin bardzo dokładnie informował Romana, ilekroć ten pijanego Spiridiona wyluskiwał z munduru, butów, epoletów, sznurów, szabel, guzów, kutasów, którymi on z całej duszy pogardzał, kochając się w marynarskiej prostocie. Kirynin, po wyjęciu go z tej ilości mundurowego badziewia, przypominał bardziej oskubanego kapłona niż dziarskiego marynarza floty bałtyckiej.

Ale ubrany na powrót w to wszystko, niczym nie różnił się od innych rosyjskich poruczników rozpełzłych po podbitych ziemiach, okrajach Rosji. Tak jak oni lubił gorzałkę, baby, karty, cygańskie romanse i nie znosił siedzieć w siodle, co było wbrew domieszce krwi górali krymskich, która burząc się w nim, nader często dawała znać o sobie. Kipiąc nagle obu przyczyniała wiecznych kłopotów.

Po odbyciu kary obaj wrócili do macierzystej jednostki w Pitrze, jak poufale panowie oficerowie nazywali jedyne europejskie miasto w tej części Rosji. Z ulgą oblekł się w marynarski mundur i po staremu, nurzał w życiu. Roman wędrował przez życie

Spirydiona, za jego burdy karnie przenoszony z okrętu na okręt.

Obalenie cara i utworzenie rządu Kiereńskiego zastało ich na „Aurorze”, żyjących ze sobą w znośnej symbiozie. Któregoś dnia podporucznik Spirydion Radionowicz Kirynin nie wrócił na okręt. Albo w pijanym widzie ruszył do domu na Krym, albo gdzieś w sobie tylko znanych spelunkach Peresburga z okrzykiem - *naphwat' na wsio!* - zakończył barwny i nikomu niepotrzebny żywot.

Kirynina uznano za dezertera, a Romana z całą jego bezsensowną wiedzą ordynansa skierowano pod pokład, do maszyny. Robota podła, ciężka i to, czego szczególnie nie lubił, brudna. Ale że zawsze w nieszczęściu miał szczęście, nie tknął łopaty z trzech powodów. Po pierwsze, nie było węgla. Po drugie, z powodu pierwszego odholowano „Aurorę” na nadbrzeże, gdzie stał jako hotel dla wojska i zaplecze argumentów dla polityków. Trzeci powód był ojcem poprzednich. Jako że prawdziwą przyczynę braku węgla znało wielu, ale korzyści z tego stanu czerpało niewiele. Dlatego, mimo tak wielkiej liczby donosicieli w Petersburgu, zamykały się tak szczelnie usta *wszczynom*. Co było ponurym zwiastunem rodzącego się nowego systemu.

Wolny czas w maszynie, a był on na okrągło, palacze rozcieńczali grą w karty, żłobaniem piwa i jeśli się trafiła, gorzałki. Żyli ciężkim, leniwym snem nieroba.

Roman odsypiał zaległości z czasu gdy do rana, jak przezorna panna, oczekiwał podporucznika Spirydiona, z zapaloną lampą w rękę. A gdy te noce odespał, spał na zapas. Z ilości snu wynikało, że czeka go bardzo długie i bezsenne życie.

Przespali zawieruchę rewolucyjną, carską abdykację i aresztowanie tego, o którego ochronę wołali dzień w dzień do Pana.

Pod pokładem czas płynął obojętny na stojące naprzeciw siebie historyczne racje, społeczne idee, stare prawdy i nowe niesprawdzone myślenia.

Na ich oczach wywracano do góry nogami świat w imię szczęścia osoby ludzkiej. Robiono tak zawsze, gdy chciano jednostki zebrać do kupy i popchnąć przeciw sobie, bo kiedy

nawzajem przegryzają gardła, można spokojnie popijać dobre wino, przyglądać światu przez zmrużone powieki, przykładając do nosa chusteczkę z wodą kolońską. Mając jednocześnie ową jednostkę ludzką za nawóz, mierzwę, i pogardzając nią w głębi duszy.

Ulepiaczy szczęścia mieli ostatnio na pęczki i przestali na nich reagować. Jedni przychodzili z nakazem władz najwyższych - pal w kotłach i wychodzimy w morze. Zaraz drudzy kazali gasić kotły i ostrzeliwać Instytut Smolnyj.

W takich przypadkach kumple klepali Romana po plecach, chwalać jego przezorność. Kiedy stali na redzie, świeżo skierowany do maszyny ordynans podporucznika Kirynina z nawyku brzydząc się taką pracą, poradził cały zapas węgla zabunkrować do wody.

Napracowali się solidnie. Romanowi zlecieli organizację pracy i dogłębne, czy wyładunek idzie sprawnie. Ale za to teraz nastał dla nich czas błęgiego odpoczynku. Z czego korzystali pełnymi garściami.

MÓWI NAOCZNY ŚWIADEK

W tym dniu, po raz siódmy w miesiącu, wypadły urodziny Fiedki Kiereńczyka „Kałakoła”, jak nazywali zapiewając ze względu na jego donośny głos. Fakt, że „urodził” się po raz siódmy, był wynikiem losowania... bo pić bez zakąski i przyczyny to nałóg, a losowanie powodowało przyczynę. Z zakąską bywało różnie.

W połowie urodzin wygnali nas na wiec, na górny pokład. Wyległa cała maszyna zataczając się, mrużąc oczy jak ślepe krety... bo od normalnego światła odwykli. A tam, na śródkręciu, na skrzynce od naboii stoi żółtawy na gębie kurdupel z chytrymi oczkami, małą czarniawą bródką, w prawej ręce miętosi czapkę i wrzeszczy coś o radach robotniczo-chłopskich, o bolszewikach, o kraju rad i szczęśliwości jaka dzięki niemu zapanuje. No, raj zapowiada. Ale jak zaczął obsobaczać Kiereńskiego, „Kałakoł” się rozplakał.

- Bracia za co? Tak nie można. Nie ma już w Rosji rzeczy świętych. Kto chce bierze cię i wlecze do łóżka jak najgorszą dziewczkę! - Nagle przypomniał sobie co opowiadał kumplom, że

jest nieślubnym synem Kiereńskiego i dlatego zapisano go jako Kierieńczyka. Przypomniał sobie i zaszlochał. - Braciszkwowie... ojca mi padalec znieważa! - Marynarze, pozwolicie żeby waszemu bratu, którego pot się z waszym potem mieszał, znieważano tatę?!

- Nie pozwolimy! - Zawołał któryś z kumpli, a „Kałakoł” teatralnym gestem otarł łzę rękawem.

Jednak głosy były podzielone, szczęściem nie po równo i mała grupka zebrała się koło agitatora. A ten ręką zaciśniętą na czapce wskazywał na zachodzące słońko tłumacząc jego krwawą barwę jako znak, zapowiedź nieuchronności nadciągającego losu imperializmu i Rosji. Zanosilo się na potężną awanturę. Po raz pierwszy stanął marynarz przeciw marynarzowi. Na szczęście odezwał się Roman.

- Chłopcy podurnieli? Pić sie chce... życie jest krótkie, a wy za tego padalca dacie sobie po mordzie? Pierdoły wam wyplata, a tam na dole gorzałka stygnie. Won z nim... i do stołu bracia!

Marynarze chwycili agitatora za ręce i nogi, rozbujali i zakończyli wiec. Wyleciał padalec szerokim łukiem w *kidryni babuszki* i plasnął w fale Newy. A był z niego lepszy pływak niż agitator.

Wszyscy wrócili pod pokład i przez to imieniny stały dużo liczniejsze, bo niektórzy z marynarskiej braci hasło Romana potraktowali jako zaproszenie na bal.

Wysupływali z kieszeni co do kopiejki, ale mało tego było... no kropla w morzu. Więc wysłali kilka patroli uzbrojonych w karabiny i czerwone opaski na ulice miasta, aby zaopatrzyć przyjęcie w trybie kontrybucji.

DALEJ WYPADKI POTOCZYŁY SIĘ TAK:

Rano Roman ocknął się pierwszy, bo mimo że stali przy nabrzeżu, miał klasyczne objawy choroby morskiej. Wybiegł na górny pokład. Miękkie nogi odmawiały posłuszeństwa. Ręką zaciskał usta. Potknął się o coś. Zatoczył w prawo, potem w lewo. Odbił się od barierek, walnął w coś boleśnie łokciem, puścił usta. Rozległ się potworny huk, odpowiedział mu daleki wybuch w mieście i nagła, gęsta palba karabinowa. Rozjazgotały się maksymy. Zamek armaty szczeknął i po pokładzie potoczyła się

mosiężna łuska. Roman zwymiotował.

- Biją się - doszło do jego świadomości przez potworny ból głowy. Popatrzył na dymiące jeszcze działo, które on, zataczając się, odpalił łokciem.

- Zaraz, zaraz, po której stronie my są?

Za chwilę w kabynie radiotelegrafisty zaczął stukać telegraf.

Roman zszedł do kabiny, wziął taśmę w ręce i przeczytał:

*** dziękuję wam towarzysze * pałac zimowy wzięty bez strat * daruję wczorajszą niesubordynację * lenin**

- Jasna cholera, co ja narobił - Roman targał w dłoniach taśmę telegramu. - Zaraz, zaraz... o coś ja się wczoraj potknął?

Wybiegł na pokład. Przy schodach na wieżę pierwszej baterii leżała zmiętoszona czapka agitatora. Roman potężnym kopem wyekspediował ją z okrętu. Leciąca nadnaturalnie długo, aż wylądowała pośrodku Newy. Sprawca nieszczęścia ludzkości, supraślak Roman, niedowierzając przetarł oczy i z natężoną uwagą obserwował kołyszącą się na wodzie czapkę. Leninówka płynęła w górę rzeki...

- Toż to przeciw rozumowi, - powiedział do siebie - żeb czapka pływała pod prąd.

matce

moja rumianolica
popłatałaś przeznaczenie

miałam być mądra
miałam być dobra

a jednak mnie nie dookreśliłaś

schowaj cyrkiel
schowaj wytyczne

poczuj

mnie jak owoc tarniny
na języku

to co że jesteś w zaświatach
mądrzejsza o śmierć

pomyśl że wciąż mnie
kształtujesz

zawieszona pomiędzy niebem i ziemią
przywykam
do mojej codziennej ucieczki
od dotkliwej rzeczywistości

biedy
nierówności
beznadziei

uciekam
od jałowej publicystyki
w miraże
ja która doświadczyłam państwa
opiekuńczego
na dobre i złe

na mojej drodze
cherlawe jałowce
snują swoją tęsknotę
za słońcem
małe nabiera wielkości
a ograniczenie zawiera całą słodycz
snu

myśl lęgnie się na cokole wybiera
wiązanek kwiatów rzuconą bohaterowi
spolegliwe chrześcijaństwo z franciszkaninem
w tle
wewnętrzną niepodległość

tam istniejemy
w białych sukienkach od pierwszej komunii
w białych pantofelkach na balu u księcia
z całą świeżością
młodości
z całą młodością podeszłego wieku
i w niewinności jak pierwsza
konwalia

i może będzie nam dane
umierać
w spełnieniu

Mgły to czy kłęby
obłoków
mgły ciężkie mokre
mgły
kłębią się wiją jak
gady w zmijowisku

a na horyzoncie
czerwona tarcza
odbija się pożarem
w wodach Narwi
blaknie powoli niebo
rzeka modrość rozlewa
mgły toną w bezkresie
między mieczami trzcin

cisza
ptaki i zaby oniemiały

Dałeś nam Panie
hart ducha by wspinać się
ku niebu

Wspinam się więc
jak po drabinie Jakubowej
ważę każdy ruch każdy czyn

Potykam się o kłamstwa
wygodny egoizm o
własne niewłasne błędy
potykam się
osaczona piekłem ziemi
płaczem nękanym i słabym
i wspinam się i wspinam

Dokąd Panie

Emilce

Otworzę ku niebu dom
na oścież oknami
po echo lasów łąk jezior
po umęczone Podlasie
i zaproszę lato

ubarwione
rozbawione
obfite
zaborcze

zanurzę dłonie w jego rosie
o poranku
uchwycę uśmiech
w kosze dzbany w ramiona

niech trwa

Podajesz

Ptak rozśpiewał arię niekończącą

otwierasz okno -
sypnęło żarem
w przeciagu
gubię się kamienna

a Ty
podajesz czereśnię słoneczną
bez pestki

głogi z włosów wyplątam
- na zawsze
czy tylko?...

3 lipca 2001

Daleki błękit
przedwiosennego nieba.
Zazdroścę ptakom.

Uśmiechy słońca
na zapłakany niebie
zrodziły tęczę.

Lipcowa burza!
Rozpętało się piekło
pośrodku nieba.

Czas sianokosów.
Łąka umiera z niespokojnym
Śpiewem świerszczy.

Brazowy kasztan
łśni w ciepłym blasku słońca
jak twoje włosy.

Złocistość kwiatów
ponad drewnianym płotem.
Żal przemijania.

Jesienną pluchę
rozjaśnia złoto liści.
Lżej iść przed siebie.

Ołowiane niebo
przytłacza czarne bruzdy pól.
Znikły kolory lata.

Śniegowe płatki -
błysk niepowtarzalności.
Kropla na dłoni.

Zimowy księżyc
maluje nagie drzewa.
W tle dzikie chmury.

Cichy wieczór.
Czajnik na kuchni
pogwizduje kołysankę.

Wieczór

przychodzi wieczór
słońce skrywa się tracąc swoją moc
ogarnia ciemność
rozjaśniana lampami to tu to tam

zostało zrobione co było do zrobienia dzisiaj
ten dzień komuś przyniósł bogactwo
innemu zgryzotę biedę głód
ten dzień się kończy
i nikt nie może tego zmienić ani nędzarz ani bogaty

to co było minęło
kiedy człowiek się zbudzi zastanie nowy dzień
który przyniesie mu
ból albo radość nędzę lub dostatek

zachód słońca wyznacza czas
nie tylko czas

Noc

nierozpoznane są jej wnętrza
serce ukryte w szkatułce płacze po kryjomu
gubiąc pragnienia a sen prowadzi na manowce
gdzieś pozostaje oddech
wtulony w sen

mówią wtedy że życie wstrzymuje oddech
szukając ujścia w nieodczytanej krainie
a to tylko serce zeszło na pobocze
czekając na chwilę nazywaną wytchnieniem

Ogromna szala

Z czego nic nie wynika
ogromna szala,
droga na szczyt katedry nigdy nie da mu się pokonać
gwiazdy amatora są kradzione po drodze
w centrum świata jest Bóg
nie ma policzonych dni do końca
gwiazdy rycerza prowadzą go
do miłości w centrum świata.
Nie ma Boga od kryptoklaunów,
fanatyzmu dzwonów
i podzwonnego nocy pożyczonych
cała Polska tonie w manii,
zepchnięta do morza fobia,
doją wiedźmy mennicę,
pusta skała się otwiera
na to.
Jeśli walka jest skuteczna
niesie przed sobą szczyt
a Ty zważasz, że nie jest dla
cieni, które plenią się w zarazie
i idą w dół,
To co jest zabite, staje się smutne,
co niepotrzebne, martwe.
Nawet gdybym biegł tą ciemną doliną
i widział siebie z katedry,
wynika z ducha serca, niewola
terror jarzy się nieprzewyciężony
na szerokich ustach tchórzy
ich beznadziejna sprawa

stanie po ich stronie
udławi każdego pośmiewiskiem.
A Ty nie zważasz cieni wątpliwości
jak Napoleon wybierasz szczęście
marszałków a nie dzierżawców,
dzierżawcy ci też są spotykani
na kruchych stronicach brukowej
grafomanii.

Ludzie żyją dla wolności
nie jest to miłość
nie znasz tajników,
nie masz serca
na kruchych stronicach
beztroski.

Trzymasz siebie

Zmęczone serce w sieci

Przyjdź do mnie
i powiedz
rozum swój zamknij
zmęczone
tajemnice od losu
wbijają krawędzie rozstrzygnięć
Zmęczona sieć myśli
nie pęka,
trzymasz siebie w niej
zbyt słabo
Nie będzie nic znowu
nie będziesz samotne
w promieniach
też wolności
zmęczone serce
w sieci dobra i zła

znowu się wyrwiesz
samo o świcie
i westchniesz w promieniach
poranka
szerokie godziny
zamieniają się w wąską szczelinę
szukam nie losu.

Mój mały synku, mój Ty radosny...

Mój mały synku, mój Ty radosny,
Obłoków jasnych ziarno miłości,
Błękity oczu, len Twoich włosów,
Tyle radości...

Mój mały synku, mój Ty radosny,
Jak iskiereczki małej mrugnienie,
Co złotym światłem ciemność rozświetla,
Dałeś mi szczęście...

Mój mały synku, mój Ty radosny,
Jesteś jak mały promyczek słońca,
Jak płatek róży, co z snu rozkwita,
Czerwień kwitnąca...

Mój mały synku, mój Ty radosny,
Anieli biali mi Cię zesłali,
Abyśmy ramie wspierając siebie,
Życie mijali...

07.2004

Dom

Na skraju życia czy na początku,
Cały czas siedzisz w swym małym kątku,
Żyjesz tak krótko wśród biegu zdarzeń,
Lecz ciągle czekasz na swój Dom Marzeń!

*Zło jest złem, a nie dobrem, nawet gdy jest złem mniejszym
i niemożliwym do uniknięcia.*

Jan Józef Lipski

Można ponoć wybierać z dwojga złego to mniejsze. Z czerwieni róż albo bordo. A przecież i tak przesiąknięci owym tajemniczym kolorem będziemy tkwili w jego wątpliwym majestacie. Przecież tylko ja mam patent na purpurę myślenia. Tylko ja nieodrodny syn mojego ojca potrafię wymieniać prawdę na sprawiedliwość, bycie na bywanie w narodzie. A ten naród tylko ze szturmówkami wychodzi na ulice, klaskaniem oznajmia swoje „ja”. Poza czerwienią lub całkowitą bielą nie ma żadnych praw, o które można byłoby się upomnieć. Wszystko jest. Nawet to, czego nie ma. Nawet bieda przydzielana jest z precyzją wagi aptecznej i menzurki.

Znaleźć wiatr. Schwycić powiew jest tak samo ciężko jak poruszyć szerokie morze niedopowiedzeń. Tam gdzie wszystko od kropki do kropki, dopięte na ostatni guzik prześwituje niedopowiedzenie.

Na rozkaz nie można myśleć. Można tylko stać na baczność i czekać, kiedy osławione gołąbki pokoju zaczną przenosić główce jądrowe.

Myślenie rodzi się po czasie. Zastanawiasz się wtedy, dlaczego i jak? I nie potrafisz dociec odrobiny prawdy pośród wojowniczych okrzyków.

Rozchodzą się drogi mówiących jednym językiem. Na jednym ich końcu jest *być*, na drugim *mieć*. A przecież powinniśmy czuwać, aby złodziej nie zakradł się do sadu naszego ojca.

Zakazany owoc miłości do tej co Nie Zginęła.

Przechodzisz pomiędzy ramionami malowanych przyjaciół. Zatraskany jesteś o kądziel i miecz, dawno już wyszczerbiony na którejś z bram do wymarzonego raju. Ramiona ciążą od samego początku. Przyjaźń czerwieni się jak burak, przekonana o jedynej tylko miłości i jedynej dozgonnej obietnicy. Czas zaczyna palić i ziemia rozgrzana pod bosymi stopami. Zabrakło odrobiny wyobraźni. Jeszcze chwila, a zapłonie resztką sumienia spletanego z wizją przyszłości.

Ufność i zaufanie. Pokora i upokorzenie. Myśli przebiegają poza liniami brzegowymi sztucznie nakreślonymi na tradycyjnym

sumieniu człowieka. Jeszcze trochę a nie będzie myśli. Pozostanie trzęsawisko po skłóconych pokornych a upokarzanych, ufnych zaufanych.

Czeka nas jeszcze ustalenie właścicieli naszych sumień.

Wystarczy trochę patyny, trochę szminki i pudru, a grymas i zmarszczki znikną z wygłodniałej twarzy. Przecież nie przybywa ich z rozkoszy, z nieustannego balowania w korytarzach sejmowego gmachu.

Zima przykryła niedorobione a już wyliczone, zapłacone, choć zapłaty nie było.

Umowa za umową społeczną, prawdziwa a jak kameleon zmienna. Jeśli jesteś uparty i żądasz, masz podpis i figę w garści, uśmiech ministra powinien wystarczyć na chleb dla pracujących bezrobotnych.

Skończyło się tysiąclecie. Nowe rozpoczęło się od ignorancji Człowieka i prób schwywania Boga jak kanarka do klatki.

Człowiekowi pisanemu przez małe „c” wszystko wolno. Wolno zamieszkać w Sodomie i Gomorze. Wolno udawać, że tylko ja i tylko pieniądz.

Poeci krzyczą o śmierci bieli zamienianej w pragnienia, o dreszczach cyklicznie wstrząsających społeczeństwami, o wydobywaniu płaczu z kieszeni zatwardziałyłch biednych. Ale tylko poeci.

Oni garścią słów sypanych w oczy próbują przywrócić wzrok pokoleniu totumfackich. Próbują zmusić do ujrzania prawdy, o którą się ocierają. Wolno im naginać konary drzew do wizji własnych snów.

Jakieś nowe Wieże Babel zamieniają w symbole XXI wieku.

W zakłopotanie wprowadza czasami piękność, a czasami tupet graniczący ze zgrozą.

Przechodzisz koło kwitnącej jabłoni, a na niej od wiosny syczący wąż. Jesienią chcesz zerwać jabłko dla Ewy, a ona za ogon trzyma węża zwijającego się ze śmiechu. Był bardziej zaradny od ciebie, bardziej pomysłowy.

Gorycz rozlewa się między pęknięciami niewinności.

Jeśli otworzyć drzwi nadziei, to otworzyć na oścież, aby nie przeciskała się między futrynami, ale weszła w nasze progi w pełni swego majestatu.

Jeśli stłuczemy lustro wiary w lepsze szklane jutro, to i nadzieję przyciśniemy do ściany. Skrzypiące drzwi teraźniejszości nie zauważają zwiewności kobiecej sukni, tylko wypchany portfel w tylnej kieszeni spodni łatwego *być*.

Nie warto marnotrawić przychylności dla przyjaciół lepiej od ciebie znających arkana sztuki pisania donosów. Zapłaczesz się, ugrzęzniesz na mieliźnie słów i nie wyjaśnisz później, że po przyjacielsku chciałeś poklepać po ramieniu, a nie po plecach.

Zauważasz krzywy uśmiezek, coś podobnego do ironii. Głupi, a chce mnie pouczać - konstatujesz.

A jednak warto być przyjacielem przyjaciół.

Czasami twoje myśli przylepiają się do przyjaciół i to tak, że trudno je oderwać. Szczególnie wtedy, kiedy stają się znanymi faktami. Przypinane do cudzych głów jak aureole świecą nad czuprynami. Posążki uzbrojone w pewność swej wielkości powielają zarozumiałość.

Nie oczekuję beczynnie na świt w mojej klatce zamkniętej Bugiem i Narwią. Nie patrzę beczynnie, jak wyjmowane są z niej druty mego bezpieczeństwa. Tylko po to, by jakieś łapsko mogło schwycić mnie za gardło i zdławić śpiew o tej, co Jeszcze nie Zginęła. Wprawdzie w klatce czuję się piesko, ale to moja klatka, moja własna. I mój śpiew...

Nie każda furtka do ogrodu jest moją. Skrzypią zawiasy historii owiniętej welonem domysłów. Jakieś drzewa, śmiechy za parkanem, echo przemierzające przestrzeń przeświadczenia, że ten daleki obłok obietnicy nie stanie się pewnością.

Ogród z furtką bez klamki. Malowane wspomnienia. Szarża godnych - zdawałoby się - imion na dziewicze marzenia mutantów udających motylki uciekające z pałacu walącej się Rzeczypospolitej.

Nie naprawiłeś tego rozpadającego się wózka ciągniętego przez osły. Pewnie gdyby były to konie, rozpadłby się, a tak

skrzypi coraz bardziej. Przechodnie oglądają się ze zdziwieniem, że tak już długo, a jeszcze nic.

Stanąłeś z boku nie widząc sensu ani w naprawie, ani w poganianiu tych sumiennych partaczy jazdy pod górkę.

Może ktoś inny byle nie ty.

Zaplątałem się w rzeczywistość i nie mogę nawet splotów rozluźnić.

Między dwoma słowami - dobroć i miłość – utkwilo zło i jak kameleon zmienia kolory. Raz mówi, że jest dobrocią, innym razem, że miłością. Udaje troskliwego gospodarza, kochającego małżonka.

Zza ciepłych ustaw wyziera ustawianie niewygodnych zaplątanych w rzeczywistość.

Nie przepłynę na drugi brzeg jutra. Nie umiem pływać. A jutro jest takie szerokie i głębokie. I na dodatek brudna w nim woda.

Jeszcze tylko młodość ujarzmić choćby w starych bukłakach na wino. Przetoczyć nienazwanie na drugi brzeg pamięci. Drażyc kamień spadającymi kroplami. Być, stawać się jednością w wielości.

Jeszcze tylko młodość -

A przecież wszystko już było.

ŻABCIA I MAGIA (fragment bajki)

*Żabci – Klaudii Dąbkowskiej,
inspiratorce i surowej recenzentce*

1. Krasnolud

To popołudnie spędzałem w kawiarni obłożony najnowszymi, dopiero, co kupionymi pismami. Lubię tak czasem zanurzyć się w kawiarnianym gwarze, który jak kurtyna oddziela mnie od całego świata. Mogę wtedy bez przeszkód słuchać brzdąkania pianisty i popijając kawę, przeglądać czasopisma lub tylko obserwować ludzi przy sąsiednich stolikach. Właśnie zagłębiony w lekturze trzymałem w ręce filiżankę z kawą, gdy mocne klepięcie w plecy spowodowało istną katastrofę - cała zawartość naczynia wylała mi się na spodnie. Poparzony i mokry zerwałem się z krzeselka. „Ale się urządził! Co, jak co, ale pecha to ty bracie masz!”, usłyszałem znajomy głos. Nie musiałem się nawet obejrzieć za siebie, żeby wiedzieć, kto sprawił mi tę kąpiel.

- Cześć Jeżu. Nie pytam jak się masz, bo w odróżnieniu ode mnie pewnie dobrze.

- Nie martw się, oddasz spodnie do pralni i będą jak nowe - odparł Jeż Gniewosz, machając lekceważąco ręką.

- Dopiero wczoraj odebrałem garnitur z pralni - burknąłem.

Nie zwracając uwagi na moją zmartwioną minę, Jeż usadowił się przy stoliku i szepnął tajemniczo:

- Opowiem ci, co mi się ostatnio przytrafiło.

- Pewnie ktoś cię oblał gorącą kawą - odparłem z sarkazmem.

- Skończ z tymi złośliwościami i słuchaj.

Ten mój przyjaciel jest „nie z tej ziemi”, w przenośni i dosłownie. Tu muszę wyjaśnić, że Jeż jest krasnoludem i przeszedł do naszego - ludzkiego świata ze świata równoległego, pewnie na utrapienie wszystkich swoich obecnych znajomych. Jeż Gniewosz, to jego prawdziwe krasnoludzkie imię i nazwisko. W naszym świecie, oczywiście, nazywa się zwyczajnie - po ludzku, ale będę nazywał go Jeżem, bo nasze miasto jest niewielkie i lepiej zachować tajemnicę.

Takich, jak on przybyszów jest podobno więcej. Przechodzą do naszego świata i elfy, i szobowie, i poświsty. Bywa nawet, że i jakiś zębacz też się przyplącze. Jeż z uporem twierdzi, że większość wielkich artystów to właśnie elfy, którzy w naszym świecie rozwijają swoje artystyczne talenty. Natomiast większość niewyjaśnionych napadów i przestępstw to dzieło wrednych szobów, którzy również w naszym świecie uprawiają swoje bandyckie rzemiosło. Paści, wnyki i inne ślady kłusownictwa są z kolei robotą leśnych dzikusów - poświstów. Jedni i drudzy po dokonaniu przestępstwa uciekają najbliższym czynnym przejściem do świata równoległego i szukaj wiatru w polu. Najrzadziej przechodzą do naszego świata zębacze. Pewnie nie odpowiada im zdegradowana przyroda. Tylko czasem zwalone drzewo czy zniszczony drewniany mostek świadczy o tym, że w okolicy grasuje zębacz. Mój przyjaciel uważa, że przed niespodziewanym atakiem zębacza człowiek może się łatwo uchronić, jeśli nie oszczędza wody, mydła i proszków do prania.

Czy wierzę w to, że Jeż jest krasnoludem? A niby, dlaczego mam nie wierzyć? Przecież i w naszym świecie żyje wiele dziwnych istot. Żyją krewniacy Jeża - krasnoludki, co prawda jest to rasa karłowata, ale bardzo życzliwie traktująca ludzi. Jak wynika z licznych opowieści, chętnie biorą pod opiekę, a to królewny Śnieżki, a to sierotki Marysie. Żyją w naszym świecie również ich bliscy krewni - złośliwe chochliki psocące w redakcjach różnych czasopism, a ostatnio nawet w telewizji. Jak się zastanowić, to wokół nas, aż gęsto od dziwów i czarów, o których naszym filozofom nawet się nie śniło. Więc trudno się dziwić, że traktuje zarówno samego Jeża, jak i jego opowieści z całą powagą.

Ale do rzeczy. Jeż opowiadał, opowiadał, opowiadał.

W pewnym momencie, tak się zapalił, że zerwał się z krzeselka i nie zważając na zdziwione miny ludzi siedzących przy sąsiednich stolikach, zaczął wymachiwać łyżeczką do kawy jak maczugą. Zamarłem z przerażenia. Jeszcze chwila, a zaczniesz śpiewać bojowy zaśpiew krasnoludów. O straszliwych dla słuchaczy skutkach tego śpiewu już kiedyś mi opowiadał. Pochyliłem się, zaglądając ukradkiem pod stolik, i z całej siły kopnąłem go w kostkę. Trafiłem! Jęknął z bólu, usiadł i rozcierając stopę, wykrzyknął ze złością:

- Zgłupiałeś, czy co?! Dlaczego mnie kopiesz?

- Nie próbuj nawet śpiewać waszego zaśpiewu! Poza tym należało ci się za moje spodnie. A teraz opowiadaj. To bardzo ciekawe - dodałem zachęcająco.

Boczył się przez chwilę, ale w końcu gadatliwość wzięła górę i mówił dalej.

W czasie tego popołudnia wypiliśmy całe morze kawy. Jeża od gadania rozboleły usta, mnie od słuchania spuchły uszy i rozboleła głowa. Rozstaliśmy się późnym wieczorem. Potem jednak naszły mnie wątpliwości. Dobrze wiem, że Jeż ma bujną wyobraźnię i czasem, mówiąc delikatnie, nieco mija się z prawdą. Jak więc było naprawdę? Postanowiłem sprawdzić całą rzecz u pozostałych bohaterów Jeżowej opowieści: pana Zbyszka i Żabci - wnuczki jego siostry. Na szczęście pana Zbyszka znam od wielu lat, a za Żabcią wręcz przepadam.

Tak, więc następnego dnia, a była to właśnie niedziela, pojechałem do Wronowa. Gospodarz poczęstował mnie wystalym porzecznikiem i plackiem ze śliwkami. I opowiadał, opowiadał. To, co usłyszałem od niego z grubsza pokrywało się z opowiadaniem Jeża.

Jak zwykle w niedzielę, we Wronowie była również Żabcia. Wciągnąłem ją w rozmowę, gdy tylko przestała ujeżdżać rosnącego kundla Urwisa. Poczęstowana przeze mnie snickersami, potwierdziła wszystkie opowieści. Nie chciała tylko nic mówić o przyjęciu do szkoły czarowników. Nie pomogły snickersy, ani guma do żucia, zrobiła minę „A ja wiem, ale nie powiem. Aha!” Nie nalegałem. To, co usłyszałem wystarczyło mi do ułożenia zasłyszanych opowieści, w jaką taką całość.

A było to mniej więcej tak.

2. Porwanie

Popołudniowe słońce oświetlało duży pokój. Pan Zbyszek lubił tę porę dnia, zwłaszcza latem. Siadał wtedy na balkonie w wiklinowym fotelu na biegunach i popijając porzeczkowe wino, zagłębiał się w lekturze. Tak było i tym razem. Czytał książkę, popijał wystawny porzecznik i zagryzał plackiem ze śliwkami. Porzeczkowe wino pachniało letnim słońcem, placek zaś... „Ach ten dzień w kolorze śliwkowym”, zanucił sobie popularną ongiś piosenkę. Spojrzał z balkonu w dół i speszony mruknął: „Hm”, bowiem idąca ulicą sąsiadka, słysząc śpiew podniosła głowę i spojrzała na niego z uśmiechem, kiwając życzliwie ręką. „Hm”, mruknął ponownie, tym razem zadowolony, że nie tylko jego ogarnął błogi nastrój odchodzącego lata.

„Wujku, wujku! Popatrz, jadę na Urwisie!”, dobiegło z podwórka. To Żabcia - triumfalnie obwieszczała, że udało jej się wreszcie dosiąść psiego filozofa. Pan Zbyszek oczami wyobraźni ujrzał Żabcie - dziesięcioletnią, szczupłą, niebieskooką blondaskę ruchliwą jak żywe srebro, siedzącą na dość pokracznym psie, który od kilku lat ze stoickim spokojem udawał stróża domu. Spojrzał na zegar, jeszcze godzinka spokoju, potem musi przygotować dziecku podwieczorek. Te dodatkowe i szczerze mówiąc, sympatyczne obowiązki spadły na niego dość niespodziewanie. Ostatnie dni wakacji Żabcia spędzała właśnie u niego, we Wronowie.

Pan Zbyszek nie był dla Żabci takim zwykłym wujkiem, o nie. Był o wiele bardziej dostojnym wujkiem - dziadkiem i szczerze mówiąc wolałby, aby tak go właśnie nazywała, ale jak można od panny Prędko - Prędko wymagać takich długich zwrotów, choć oczywiście wolałby... Ach, w końcu nieważne!

Trzeba także powiedzieć kilka zdań o psie, który w naszej opowieści odegra pewną rolę. Urwis odziedziczył charakterystyczne cechy po swoich przodkach, a więc wzrost i umaszczenie po owczarku, donośny zawieszisty bas - pewnie po bernardynie, a sądząc po krzywych łapach, to i jakiś jamnik płatał się mu w rodowodzie. Zazwyczaj siedział na tarasie z zadumanym wyrazem pyska, z roztargnieniem obserwując otoczenie jednym okiem, podczas gdy drugie było zasłonięte zwisającym uchem.

Patrzył na przemian, raz lewym okiem, raz prawym, zupełnie tak, jakby psi filozof puszczał do całego świata perskie oko.

Pan Zbyszek ponownie spojrzął na zegar, dochodziła piąta po południu. Pomyślał: „Najwyższa pora dać Żabci podwieczorek” i poszedł do kuchni ukroić kilka kawałków placka ze śliwkami. Potem wyszedł do ogrodu i postawił na stoliku talerzyk z Żabcinym przysmakiem. Dziwne, Żabci nigdzie nie było, tylko w krzakach przy metalowej bramie leżał Urwis w pozie „pies odpoczywający” i zakrywając przednimi łapami pysk, nerwowo mrugał oczami.

Urwis w ogóle czuł się nieswojo, bo i jak może czuć się pies, który nie potrafił obronić dziecka? Ale, co mógł zrobić? Nagle pojawił się ogromny cień i Żabcia, tak po prostu znikła. No, była, była i naraz bęc! Nie ma! Nawet nie zdążyła zjeść podwieczorku... pewnie smacznego. Wstał i podszedł do stolika sprawdzić, czy placek apetycznie pachnie. Pachniał i to jeszcze jak! Od zapachu zakręciło się mu w głowie i poczuł nagle ssanie w żołądku. Nawet nie spostrzegł, kiedy talerzyk zrobił się tak pusty, jakby go ktoś wylizał. Rozejrzał się wkoło, oburzony. Do licha! Kto śmiał dziecku pożreć placek!? Prawda była jednak nieubłagana. Jeszcze w pysku miał smak dobrze wypieczonego ciasta pachnącego tegorocznymi, podsmażonymi śliwkami. „I ty jesteś pies?”, pomyślał skonfundowany „Świnia jesteś i tyle!”. Z tego wszystkiego poczuł się jeszcze gorzej, a ssanie w żołądku stało się tak nieznośne, że przez dziurę w płocie przelazł na sąsiednie podwórko i pożarł do ostatniej kruszynki rozmoczony chleb, który sąsiadka rzuciła kurom do korytka. Ten czyn dopełnił czarę goryczy. Jako pies zhańbił się ostatecznie i na zawsze. Pełen wstydu położył się w gęstych krzakach i zamknął oczy, pragnąc trwać w tej pozycji, aż do końca świata, albo i jeszcze dłużej.

Tymczasem pan Zbyszek przeszukiwał wszystkie kąty. Zajrzał do jednej komórki, potem do drugiej - dziecka nigdzie nie było. Zawołał głośno: „Żabciu! Żabciu! Chodź na podwieczorek!”. Głucha cisza. Mocno zaniepokojony poszedł do sadu. Zaglądał pod krzaki porzeczek, podnosząc rozłożyste gałęzie dotykające ziemi - ulubione jej kryjówki. Przechodził od jabłoni do śliw, a od śliw do rozrośniętych grusz i przepatrywał

ich korony, bo mała, jak jakie chłopaczysko lubiła wdrapywać się na drzewa... i nic. Dziecko wyparowało jak kamfora. W końcu wrócił do domu, mając nadzieję, że wreszcie zgłodniała i sama przyszła coś zjeść.

W domu dzwonił telefon. Musiał tak dzwonić dość długo, bo pan Zbyszek słyszał go zanim stanął w drzwiach. W słuchawce zabrzmiał schrypnięty głos: „Poznajesz, kto mówi?” Przez chwilę szukał w pamięci twarzy, która pasowałaby do tego charakterystycznego głosu. W końcu znalazł, tylko jeden człowiek mógł tak chrypieć, to pewnie... jak się wtedy przedstawił? A właśnie, Eryk Bykowski, Bykowicz, czy jakoś tak. Przyszedł pod wieczór w jakiejś błahej sprawie. W czasie krótkiej rozmowy ciągle patrzył na półkę, gdzie obok różnych bibelotów leżała kryształowa kula i różdżka, podobno czarodziejskie - tak przynajmniej mówił stary mag, który podarował mu je w prezencie. Pan Zbyszek w młodości podróżował po świecie i do dziś miał wiele pamiątek z tych podróży. Gość chciał kupić oba czarodziejskie przedmioty, ale dla gospodarza była to zbyt cenna pamiątka po starym magu, z którym zdążył się zaprzyjaźnić.

Głos chrypiał dalej: „A! Pamiętasz jednak. Krótko: ty masz coś, co ja chcę mieć. A ja mam coś, co ty chcesz mieć. Możemy się wymienić.” Na dowód, że mówi prawdę, w słuchawce rozległ się głos Żabci: „Wujku ratuj!”. Głos, choć przestraszony, był silny, co świadczyło, że dziecku nic się nie stało. Naraz pan Zbyszek usłyszał, jak schrypnięty głos wrzasnął: „Au! Nie gryź wstrętny bachorze!” i zabrzmiał odgłos klapsa. „Nie rób dziecku krzywdy, bo ci głowę urwe!”, powiedział z groźbą w głosie. „Nie strasz, nie strasz”, wychrypiała słuchawka w odpowiedzi. „A teraz słuchaj uważnie. Za dwa dni, w samo południe masz się zjawić w Czarnocinie, w pobliżu starego cmentarzyska, z kulą i różdżką. Zrobimy wymianę. Pamiętaj!” I rozmówca przerwał rozmowę. Nie na żarty przestraszony pan Zbyszek zadzwonił do Jeża - zaprzyjaźnionego krasnoluda z pobliskiego miasta.

Jeż właśnie oddawał się drzemce, co o tej porze dnia wszystkie krasnoludy robią najchętniej, jeśli oczywiście, nie muszą przeganiać szobów czy polować na zębaczce. Jeż akurat nie musiał. Ziewając, sięgnął po słuchawkę. Usłyszał znajomy głos: „Porwali Żabci!”

Senność minęła, jak ręką odjął. „Kto to zrobił?!”, Wrzasnął wściekły i chciał skoczyć z łóżka bojowo na równe nogi, lecz owinięty kołdrą runął jak długi na podłogę. Posykując z bólu, rozcierał stłuczone miejsca i wykrzykiwał coś głośno po krasnoludzką. Pan Zbyszek nie znał tego języka, ale łatwo domyślił się, że krasnolud manifestuje w ten sposób swoją niechęć do całego świata, a przede wszystkim do twardych podłóg. Korzystając z chwili przerwy, jaką rozmówca zrobił dla złapania oddechu, powtórzył: „Porwali Żabcię! Za dwa dni mam dać okup na starym cmentarzysku w Czarnocinie. Pomożesz?” „Jasne, że pomogę!”, odpowiedział Jeż, któremu już trochę przeszło i dodał buńczucznie: „My krasnoludy nie boimy się nikogo!”

Okup, w Czarnocinie? Teraz Jeż był pewny, że w sprawę zamieszany jest ktoś ze świata równoległego, może elf lub szob, a może poświst. Po zastanowieniu wykluczył poświstów, byli na to zbyt prymitywni, ot zwykłe leśne dzikusy. Chociaż kto wie? Może ktoś ich przekupił, a wiadomo, że za dobrą zapłatę poświsty gotowe są zrobić największe świństwo. Wykluczył również elfów. Dawniej przebywał często wśród nich. W świecie równoległym uchodzili za wzór szlachetności.

Przemyślawszy tę ważną sprawę, zaczął przygotowania. Plecak, koc i szara, gruba kurtka. „Potrzeba czegoś do obrony”, pomyślał i z braku lepszej broni, wyciągnął procę z celownikiem i amortyzatorem, wyjął torebki z kulkami, dwie, trzy. Zważył w ręce czwartą i po namyśle ją także wrzucił do plecaka. Teraz mógł nabić guzy całej zgrai szobów, poświstów, czy komu jeszcze będzie trzeba. Wyjął ze skrzynki z narzędziami blacharski, gumowy młotek - świetnie zastąpi pałkę w razie polowania na zębaczę, które jak wiadomo, przed użyciem trzeba ogłuszyć. Jeszcze scyzoryk z piłką i śrubokrętem. Przyda się, gdy trzeba będzie coś przepiłować, albo wykręcić jakieś śrubki. Pomyślał, że jest już gotów, więc zaniósł plecak do samochodu. Stare auto powinno wytrzymać nawet długą drogę, chociaż bez kłopotów chyba się nie obejdzie. W pobliskim sklepie kupił jeszcze kilka paczek gumy do żucia, snickersy dla Żabci i torbę krówek - ciągutek, które z uporem nazywał mordoklejkami. Wsiadł do samochodu i ruszył do Wronowa.

Początkowo Jeż, choć zdenerwowany, zachowywał spokój. Zresztą, jadąc przez miasto, musiał opanować złość i skupić całą uwagę na prowadzeniu samochodu. Jednak za miastem, na prawie pustej drodze powróciły myśli o niecnym czynie nieznanego sprawcy. Stopniowo złość w nim narastała, aż przeszła bojową furję, co się zwykle zdarza rozzłoszczonym krasnoludom. W końcu zaczął śpiewać bojową pieśń krasnoludów, oczywiście w prastarym języku krasnoludzkim. Tak starym, że sam już nawet nie znał znaczenia większości śpiewanych przez siebie słów. Śpiewał najpierw cicho, potem coraz głośniej. W końcu zaśpiew przeszedł w grzmot, porażający taką grozą, że ptaki siedzące na gałęziach przydrożnych drzew, spadały na ziemię skamieniałe z trwogi, a motor starego samochodu, choć miał często starcze humory, tym razem ze strachu pracował bez zarzutu.

Opanował się dopiero we Wronowie. Większy ruch na drodze, dzieci bawiące się również na jezdni, zmuszały do skupienia uwagi. Był prawie spokojny, gdy podjechał pod dom pana Zbyszka. Wsiadł z samochodu i prawie biegiem wpadł do środka. Gospodarza znalazł w pokoju na piętrze. Zmartwiony pan Zbyszek siedział na kanapie z łokciami opartymi o kolana, przyciskając dłonie do skroni.

- Dobrze, że już jesteś - powiedział cicho.

- Kto porwał Żabcię?

- Jakiś Eryk Bykowski, czy Bykowicz. Nie dosłyszałem - odparł pan Zbyszek.

Krasnolud skrzywił się z niechęcią. - To ten elfi odszczepieniec - Eryk Bykowicz. Zły i podstępny czarownik. Po buncie przeciwko królowi elfów - magowi Jowanowi, przyłączył się do szobów Szalonego Szczura.

- Chyba się nie boisz? - spytał pan Zbyszek.

- My krasnoludy nie boimy się nikogo - odparł Jeż nieco mniej pewnie niż poprzednio.

- Dlaczego chce się spotkać właśnie w Czarnocinie? - spytał pan Zbyszek, - akurat za dwa dni, dokładnie w południe?

- Przypuszczam, że jest tam przejście do świata równoległego. Bykowicz chce je zamknąć po południu i odciąć ci drogę. Musimy dojść do przejścia wcześniej i poczekać. Grunt to zaskoczenie -

odparł krasnolud z namysłem.

- Sądzisz, że nie zechce oddać Żabci? - spytał pan Zbyszek poważnie zaniepokojony. - Dlaczego?

- Może chce ją uczyć czarnej magii.

- Ludzkie dziecko?

- Krasnoludy i elfy są bardziej podobne do ludzi, niż przypuszczasz - odparł Jeż. - Kto wie? Może będziemy musieli ją odbić?

Pan Zbyszek zatelefonował do rodziców Żabci i zanim zdążyli podnieść słuchawkę, nagrał na automatycznej sekretarce krótką wiadomość, że wraz z Jeżem zabierają dziecko na kilkudniową wycieczkę. „Teraz trzeba szybko wyjechać”, powiedział do krasnoluda.

Tymczasem Jeż rozejrzał się po pokoju, szukając potrzebnych rzeczy. Różdkę i kryształową kulę zapakował oddzielnie, ze ściany zdjął maczetę, którą pan Zbyszek kiedyś przywiózł z dalekich stron. Pomógł gospodarzowi zapakować koc i ciepłą kurtkę - przydadzą się w chłodne noce. Wszystkie pakunki zaniósł do samochodu. Zaraz też i pan Zbyszek wyszedł z domu gotów do drogi. W zielonej kurtce, mocnych drelichowych spodniach, w sznurowanych wysokich butach i z masywną laską w ręce wyglądał jak prawdziwy, świadomy czekających go trudów podróżnik.

KATARZYNA TOKARZEWSKA

Na dzień dobry szklankę herbaty
Parzonej w skupieniu
Na promieniu wschodzącego słońca
Kilka wykwintnych kanapek
Smarowanych maślanym blaskiem
Zachodzącego księżycza
Bez szeptu
Bez uścisku
Z pośpiechem na karku
Nim wstaniesz - wybiegnę
Moje dobranoc
Twoje dzień dobry
Pocałunek na progu szczęścia
Zatrzymany zbyt długo
Nie ma czasu na sen
Półprzytomny wybiegasz
Popychając przed sobą
Kolejny „czarny” dzień

Na granicy pamięci i zapomnienia
U progu mojej klatki
Pojawił się On
Z koszem czereśni

Przyniesionych nie w porę
Połykanych bez apetytu
Z niesmakiem tamtych dni
Zawirował wiatr
Czy pani mnie pamięta
O tak
To o Pana potknęłam się
Przechodząc przez most
Wczorajszych dni

Marionetki z kamienia
Smagane wiatrem i grzechem
Zmywają z siebie
Tępe spojrzenia
A poeci sprzedają swe dusze
I wcale im nie wstyd
Że są jak ze szkła

Pociąg pospieszny
Białystok - Olsztyn
Przedział pełen kwiecistego nieba
Gwiazdzistych ogrodów
Pasażer z bagażem minionej nocy
Obejmuje powieką czerwoną walizkę
Jeszcze opętany wonią jednej z róż
Z ogrodu wraca
Wczoraj wiedział dokąd
Dzisiaj nie wie już

Twoje sumienie zwabione w butelkę
Po najtańszym z win
Burzy się i frustruje
Gdy korkociąg opadłych sił
Kieruje ku niemu
Swoją pysk
Kolumny skrzynek ze szkłem
Spragnione
Łapczywie spijają Twój grzech
Wylewny manifest
Utopijnych gier -
Czarny labirynt
Podeptanych serc

MATEUSZ DANIEL KOŁOS

Bociany Chełmońskiego

Dzieci ziemi
opatulone brązem skóry
biegną po kamienistej drodze
aż po chrzest w morskich falach

To nasza nieśmiała symbioza
bosych stóp z twardą ziemią
Ciepła krew sącząca się w ciepły piasek
Kostury pielgrzymów
Odkupienie...

Panie Boże pachnący jaśminem
patrzymy na Ciebie
z głowami opartymi o niebieski firmament
Czekając zliczyliśmy już
Wszystkie znane bociany słońca gwiazdy
znaleźliśmy trochę nowych
usiedliśmy
i czekamy znowu
niektórzy marzą tylko o skokach
z kontynentu na kontynent

Panie Boże ...
Pamiętaj o nas

Wszyscy jesteśmy niemi
Twego dziurawego płaszcza

Dziecko ulicy

Dziecko ulicy zawsze jest
małe niewidoczne
patrzy na świat
przez szklane ściany zapomnienia
wśród ludzi śmierdzi alienacją
ma mnóstwo wyrzutów sumienia
tłukących się o czaszkę

biega w labiryncie miasta
a latarnie jak miłosierni Samarytanie
co noc oświetlają mu drogę

czuje miękkość i ciepło chodnika
i wtapia się w niego
gdy już zwątpi w to że
to był ostatni taki dzień

Dziecko ulicy

codziennie budzi się ze słowikiem
na zmarzniętych rękach
Rzeźbi w nich nowy śpiewny motyw pieśni porannej
ze stacattem butów przechodniów między pięcioliniami

już dawno nauczyło się
że samotność to jedyny przyjaciel
który nie zdradza
że modlitwa wypisana na kartce
wsuniętej w futerał
jest zbawieniem

stoi w deszczu z wyciągniętą wiernie ręką
nadaremnie próbując wycisnąć z włosów
dziwnie cierpki smak wolności

Dziecko ulicy
być może jest szczęśliwe
być może odnajdzie ideał życia
pod jednym z kartonowych pudełek

Lalkarz Świata poruszał falami
siedząc okrakiem na nocnym niebie

Drgały osobliwie
w chorobliwie wściekłej rtęci księżycy

Dotknąłem. Parzyła
Już, powiedziałem do siebie

Nadmorską promenadą przechadzali się
barbarzyńcy z dziecięcymi wózekkami
pijacy z Bibliami pod pachą
spóźnieni kochankowie

Przechadzałem się i ja
raniąc stopy o ciernie muszle kamienie

Wąskie uliczki zamykały się nade mną
A na moście między wyspami
wisielce podziwiały ostatnie rozbłyski
w osobliwości błękitu

Miasto kładło się cieniem molocha
na omszałą kurtynę nieba

Pachniały oleandry

...

I zdawało się, że wszystko stało
a płynęło

Dzień rozbijał się z ostatnią falą
przy brzegu

Lalkarz Świata
robił swoje

I tylko ja
podciąłem kolejny sznurek
zwisający z mojego rękawa

WOJCIECH JAN CYMBALISTY

Świtanie

Krwisty obłok od wschodu
Ciemności nocy od zachodu
I wszystko jeszcze ciągle we śnie
Prócz ptaków czekających dnia
Prócz ludzi nocą utraconych
Kochanków wiecznie aktywnych
I widzą rosnącą tarczę Heliosa
Lub jedynie Słońce
I wiedzą już że życie jeszcze trwa rośnie dojrzewa
Jak słońce tego dnia
Jak ono zrzuca połogową szatę
Jaśnieje po tryumfie nad nocą
We władczej purpurze
Jeszcze trwamy kochamy
Wiesz
Jeszcze śpisz

I zdawało się, że wszystko stało
a płynęło

Dzień rozbijał się z ostatnią falą
przy brzegu

Lalkarz Świata
robił swoje

I tylko ja
podciąłem kolejny sznurek
zwisający z mojego rękawa

WOJCIECH JAN CYMBALISTY

Świtanie

Krwisty obłok od wschodu
Ciemności nocy od zachodu
I wszystko jeszcze ciągle we śnie
Prócz ptaków czekających dnia
Prócz ludzi nocą utrapionych
Kochanków wiecznie aktywnych
I widzą rosnącą tarczę Heliosa
Lub jedynie Słońce
I wiedzą już że życie jeszcze trwa rośnie dojrzewa
Jak słońce tego dnia
Jak ono zrzuca połogową szatę
Jaśniej po tryumfie nad nocą
We władczej purpurze
Jeszcze trwamy kochamy
Wiesz
Jeszcze śpisz

Proszę nie mów...

Proszę nie mów,
Że spadł WIG,
Że ginie Wisła,
Że topnieją lodowce,
Że Słońce przynosi śmierć,
Że żyć coraz ciężiej,
Że jest tyle morderstw,
Że rodzi się tyle niechcianych dzieci,
Że wszędzie tylko pijaństwo, papierosy i narkotyki,
Że nie można tego zmienić,
Bo wystarczy tylko słowo, dwa, trzy
Tylko zapomniałem, kto musi odejść

Za horyzontem

Za horyzontem
Drogi nasze się spotkają
Moja i twoja
I jedno już będą
Za horyzontem czekają
Nas odkrycia i Siebie | Ciebie
I nas
Za horyzontem słońca więcej
Bo jesteś obok mnie
Za horyzontem tam gdzie las
Przyszłości
Zacznie się czas
Nasz czas

Na drogach dnia

puścić oddech wrzosu
zabrzozić horyzont
odcienić rzeński szum
nim zniknie

uskoczyć z jabłkiem
na ziemię
łaskoczącą chłodem
przystanki puścić
gnać

pomnikom łyzy zapalić
chodnikom śladu użyzyć
zapomnieć ryku
biec
zatańczyć w śpiewie liści

PRZYPADEK POETY MAURYCEGO -

czyli

późnoromantyczne zdarzenie

w postmodernistycznie

ponowoczesnych czasach

/ Ballada dramatyczna w jednej odsłonie wierszem /

OSOBY:

POETA - Maurycy, lat 44, osobnik twórczo nawiedzony,

ZJAWA - mara o nieustalonej tożsamości i proveniencji, tudzież
poglądach,

CHÓR - pełni rolę narratora i komentatora, niewidoczny, słyszany raz
od strony mniejszego, raz większego oczka,

*/ niewielki ogródek przy efektownym domku, taras z krzeselkami i
stolikiem, przy tarasie dwa oczka wodne, mniejsze i większe, otwierają się
szklane, duże drzwi, słysząc dyskotekową muzykę i wrzawę, na taras
wychodzi Maurycy, siada na krzeselku, patrzy w niebo /*

CHÓR: Pośrodku miasta, wśród ciemności,
Wrzawę rozgrzanych słysząc gości..
Wieczorny upał, letnia pora ...

POETA: Chyba to wyobraźnia chora -
Miał się czerwienią wina chlostać,
Końcówki nerwów wiązać w supły,
Przyzwoitości cnotą kupczyk -
Błądą w promieniach kreśli postać...

- CHÓR: Za nią następna, kilka nowych...
- POETA: Pamiętam - to Abakanowicz
Bezgłowych torsów szła procesja
W galerii - w wielu świata miejscach
A teraz tutaj - skąd i po co?
- CHÓR: Raz matowieją, raz się złocą...
Z małego oczka się wynurzy -
I sunie brzegiem - ginie w dużym...
Szkłanka wypada -
/ brzęk rozbitego szkła /
- POETA: ...szkoda Jasia...
/ wstaje, podchodzi do krawędzi oczka /
- CHÓR: Nie ziejie ogniem, nie przestrasza,
Za szybą głosy żądzą syte -
A tutaj ?
- POETA: ...ogrodowa Świtez? */ wraca, siada na krzesetku, patrzy w niebo /*
- CHÓR: Wraca na miejsce, siada, słucha,
Głos ni upiora, ni to ducha -
Skąd się dobywa - z kłębów mgły,
Z poświaty, z rosy...
- ZJAWA: - Bracie, ty...
- POETA: Bracie? - Henryku, nie rób jaj.
Nie ta epoka, nie ten kraj ...
- ZJAWA: Henryku? - skąd to skojarzenie?
- POETA: Głos nie ten - Ktoś ty?

ZJAWA: ...Przeznaczenie?

POETA: W płyciźnie oczka, tu w ogródku?
Trochę wypilem, pomalutku -
To jest posiadłość Heńka Żuka...
Na litość boską, czego szukasz?!

ZJAWA: - Może być ogród, kościół, okop,
Uwolnię z bielma twoje oko,
Zdejmę ci z uszu szum szamanów,
Ty opamiętaj się , zastanów...

POETA: Ja!? - wolnych pokoleń oceany!
Do mnie przychodzisz? Ja wybrany?
Dlaczego do mnie, do cholery?

ZJAWA: Ile masz lat?

POETA: - Czterdzieści cztery... !

ZJAWA: Właśnie ! Więc czego nie rozumiesz?

POETA: - Dziś wolny naród płynie w tłumie,
spod sowieckiego wylazł buta ...

ZJAWA: Lecz dusza jego wciąż zatruta!

POETA: Wolny! Na kogo chce głośuje,
Kanonizuje i lustruje,
Bredzisz o jakiejś tam truciznie...

ZJAWA: - Czy myślisz czasem o Ojczyźnie!?

POETA: - Ojczyzna? - gadaj z Mickiewiczem,
z Trzebińskim, Gajcym, nie policzę
z kim dzisiaj mógłbyś mieć po drodze
zawiedziony będziesz srodze

gdy spytasz ludzi na ulicy,
posła, co w Sejmie z kartki krzyczy,
czy senatora w znaku krzyża,
co Bogu więcej naubliżał

niżli niejeden szewc pijany -
zapytaj wszystkie polskie stany -
Czym dla nich dzisiaj jest ojczyzna?

ZJAWA: Więc czym?

POETA: ...bezpamięć. Stara blizna.

ZJAWA: Bracie, a w środku, tam - w sumieniu?

POETA: O jakim mówisz przeznaczeniu?

ZJAWA: O Winkelridzie! O Gustawie!

POETA Co dzień ją stroją w pióra pawie,
By na dywanach, hen w Brukseli
Pokazać cud dziewicę w bieli...

ZJAWA: Bracie, a obok, no - za Bugiem?

POETA: Ciągłe ją mają za papugę!
Jakiejże ty Ojczyzny chcesz
Gdy wokół tylko kasa, cash,
Gdzie póki stołu możesz złapać
Trzeba się najeść i nachapać,
Bo gdy powieją wiatry nowe
Ratować trzeba dupę, głowę,
Konto, majątek, co się da...

ZJAWA: To jakaś całkiem nowa gra?

POETA: Nie dać się wypchnąć na mieliznę!
A ty mi z jakąś tu Ojczyzną!

- ZJAWA: - Zazdrość przemawia przez twe usta,
bo twoja kiesa ciągle pusta,
choć przez całe dni się trudzisz -
niemoc przez ciebie, bracie , mów!
Pełne gorczy twoje serce,
Bo pominęli cię w kolejce!
I przeskoczyli - tak, jak innych,
Samiście sobie, bracie, winni!
- POETA: Winni? Do diabła, maro błada,
Jakieś pierdoły opowiadasz!
Córko chochoła i wiedźmichy -
Chyba naćpałaś się marychy!?
- ZJAWA: Raczej blekotu ktoś ci zadał,
Na trzeźwo to byś tak nie gadał!
- POETA: Winni - że wierni sobie samym,
Dekalog jeszcze w sercach mamy,
Że nad kuszący dźwięk srebrników
Wolimy czyste brzmienie świtu ?
- ZJAWA: Dotykasz, bracie, starej struny -
jak agitator za komuny!
- POETA: Że ponad krótką stołków chwałę
Ważniejsze dla nas rzeczy małe -
Wiara prawdziwa, miłość pierwsza
I prawda słowa w strofie wiersza...
- ZJAWA: Niebrzydkim lecisz manifestem,
Lecz ja nie po to tutaj jestem.
- POETA: Więc czego t ? I jakie bielmo
Chcesz zdjąć mi z oczu - żeby ciemność
Oddała pole armiom światła?

- ZJAWA: Słuchaj, odpowiedź to niełatwa!
- POETA: Jakież to szum chcesz zdjąć mi z uszu?
Wrzask mediów? Sieć? Czy echo buszu
Gdzie zamiast słońi, hien, kacyków
Słyszać tłum białych kołnierzyków?
- ZJAWA: Chyba upiłeś się człeczyno?
- POETA: Gdyby dawali lepsze wino...
- ZJAWA: To wódka do łba ci uderza...
- POETA: To twego, maro blask szkaplerza,
Który na piersi pośród łachów
Skrywasz - pokazuj...
- ZJAWA: ...miły brachu...
- POETA: Szabla Marszałka? Róg Jaśkowy?
Czy inny jaki narodowy
Zabytek? - truchło Janionowe
Przez wieki ciągnąć się gotowe,
Gdziekolwiek byśmy nie ruszyli,
Jak kamień wisi nam u szyi...
- ZJAWA: Nie bluźnij, człeczce, nie urągaj,
Nie tak to wszystko dziś wygląda,
Wczoraj - gdy sowiet był w rozkwicie -
One trzymały was przy życiu -
Te narodowe truchła, trupy,
Dziś niepotrzebne już...
- POETA: ...do dupy!
- ZJAWA: Do wyrzucenia - bo do Unii
Naród chce światły iść, rozumny?

- POETA: I jeszcze o tym, zjawo czarcia?
Mnie cierpliwości już nie starcza -
Raz o wolności, o truciźnie,
O Unii, to znów o ojczyźnie,
Wyszedłem tylko się przewietrzyć,
Chcesz mi zabawę całą spieprzyć?
- CHÓR: Gospodarz na szklaneczkę woła...
- ZJAWA: Czekaj, zawołam tu Chochoła!
- POETA: A może jeszcze Wemyhora?
Żegnaj, już na cygaro pora...
- ZJAWA: Nie odchodź, ty nie możesz odejść,
Muszę ci zdradzić, choćby słowem...
- POETA: Daj spokój, maro, prawie świta,
Gorzałka stoi nie wypita,
Więc powiedz wreszcie, do cholery!
- ZJAWA: Jeśli masz lat czterdzieści cztery...
- POETA: Mam ! I czytałem nawet wieszca,
więc mi nie musisz tego streszczać !
- ZJAWA: Zetrą się w ogniu oba światy...
- POETA: Proroctwo isticie starej daty...
- ZJAWA: Wytęż pijacką, bracie, głowę:
w dwójnasób roku weź połowę
i koniec podwój raz po raz -
cztery i cztery - ognia czas...
- POETA: Pijane o świtanu brednie!

ZJAWA: Zrozumiesz - żegnaj - noc już blednie,
 Zrozumiesz, gdy usłyszysz granie...

POETA: Co to za jasność ! Ktoś ty, panie?
 / Poeta podąża za Zjawą, wpada do oczka, słysząc głośne chlupnięcie /

CHÓR: Postać rozplywa się w promieniach
 Księżycy, słońca, jawy, śnienia...
 Na progu światła i ciemności,
 Pośród rozgrzanych winem gości...

ZJAWA: */ głos z zaświatów /*
 Do zadań wielkich, wyzwania nowych -
 Wy ciągle jeszcze nie gotowi...
 W głowach wam szumi niczym wódka -
 Ta wasza głupia wolność, krótka !

KONIEC

Aforyzmy

W tym wyrachowanym świecie człowiek jest zerem, bo od czegoś przecież trzeba zacząć liczyć.

*

Mądrość życiowa podpowie, na ile przy przyjemności warto być głupim.

*

Mity wymyśla się po to, aby wiadomo było, jak udawać Greków i Rzymian.

*

Od mądrości, która przychodzi z wiekiem, głupieją pokolenia.

*

Pierwsza dama? Jeszcze przed wygnaniem z raju próbowała się szarogęścić.

*

Niejeden filozof nawet do niczego nie doszedł.

*

Piaskownica, do której dorastają dzieci, niesie w sobie przedsmak klepsydry.

*

Kodeks zapisuje się z lewa na prawo, ale odczytuje z prawa na lewo.

*

I cóż po takich wyznawcach, co na miłości bliźniego się nie wyznają?!

*

Z układów diabeł robi sobie układanki.

*
Marks się pomylił. I pewnie do końca wieczności będzie musiał
liczyć swój kapitał.

*
I czas przeżywany zależy od amplitudy wahań.

*
Niektóre zabawne misiaczki podają łapę do posmarowania.

*
We właściwym stroju człowiek wart jest tyle, ile diabeł gotów
zapłacić za jego duszę.

*
Prawdziwy dżentelmen chciałby zmieniać świat po to, żeby
pasował mu do kapelusza.

*
Ślady stopy podatkowej świadczą o tym, że yeti chyba istnieje.

*
Z postępu ludzkości zrobił się już wyścig szczurów.

*
Klimat względnie umiarkowany zależy u nas od socjotechniki
otumaniania.

*
Miała być świetlana przyszłość. Teraz już wiemy, że po skażeniu
każdy może świecić.

*
Ma taki olej w głowie, że mądrość często wpada mu w poślizg.

*
Młyny boże miały powoli, żeby każdy mógł odczuć nacisk koła
fortuny.

*
Nie patrz za długo w niebo, bo pył gwiazdny zaproszy ci oczy.

*
Dzisiaj nie rozdziera się szat, tylko gęby.

*
W kraju zdominowanym przez mafię ośmiornica ma więcej
ramion niż świecznik.

*
Pierwsze prawo kreatywności: próżność wymaga wypróżnień.

*

Już w Biblii było kazanie na górze i milczenie na dole.

*

Pochlebca liczy zwykle i na coś do chlebca.

*

W chwilach zapomnienia artysta ociera się o wieczność.

*

Pierwszy pokarm duchowy wysysa się z mlekiem matki.

*

Nie każda dusza, która siedzi w człowieku, musi wyglądać jak straszdyło.

*

Oszołom to taki pomazaniec z selekcji negatywnej.

*

Cud nad Wisłą mamy taki, że jeszcze Polska nie zginęła.

*

Cywilizacja śmietnika wcale nie oznacza, że dla wszystkich starczy śmieci.

*

W mediach coraz więcej nagiego ludu. I to jest erotyka.

*

Zero doprowadzone do potęgi niejedno może cyframi pokazać.

*

W dążeniu do doskonałości najważniejsze, by zdążyć być szczęśliwym.

KS. JERZY SIKORA

Wierszem wyrazić Niewypowiedzianego. Esej o współczesnej poezji kapłańskiej

Wstęp

Mówi się, i nie bez kozery, że Polacy to naród poetów. Wiadomo - słowiańskie dusze. Coraz częściej sięgają po pióro także księża. Właściwie poezja kapłańska nie jest w Polsce zjawiskiem nowym - ks. Józef Baka, bp Ignacy Krasicki, ostatnio odkryty bł. ks. Michał Piaszczyński i wielu innych. Jednak w ostatnich kilku dziesięcioleciach obserwujemy ogromne nasilenie tego zjawiska, wręcz eskalację. Mówimy o fenomenie poezji kapłańskiej.

Dotychczas - oprócz bardzo licznych tomów wierszy poszczególnych księży-poetów (tutaj w ilości tytułów i nakładów zdecydowany prym wiedzie Jan Twardowski - pierwszy jego tomik *Znaki ufności* ukazał się w 1970 r., za nim plasuje się Karol Wojtyła - jego dzieła literackie po raz pierwszy wydano w krakowskim „Znaku” w 1980 r., chociaż datowane na rok 1979) - ukazało się kilka antologii poezji kapłańskiej w kraju, m.in. *Szaropolskie srebro. Wiersze księży* w opracowaniu Jan Sochonia (Warszawa 1992), *Wolność nie zniewolona, czyli spacerkiem przez sacrum i profanum* w opracowaniu Zdzisława Łączkowskiego (Warszawa 1997), a także na emigracji, m.in. *Słowa na pustyni* (Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn 1971) w wyborze i opracowaniu Bonifacego Miążka, ze wstępem kard. Karola Wojtyły oraz *Brewiarz i lutnia* (Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas”, Londyn 1985) w wyborze ks. Zdzisława Peszkowskiego, ze wstępem Marka Skwarnickiego.

Fenomen współczesnej poezji kapłańskiej w Polsce badało i opisywało wielu krytyków i historyków literatury. Wymieńmy tylko najwybitniejszych badaczy: prof. Krzysztofa Dybciaka czy

prof. Bożenę Chrzastowską, którzy czynili próby panoramicznego opisu zjawiska. O wiele częściej pisano o poezji poszczególnych księży-poetów - ilościowo chyba najwięcej o twórczości Jana Twardowskiego i Karola Wojtyły. Sądzę, że i na płaszczyźnie wartościowania - co trudne i delikatne oraz co może być zabarwione subiektywizmem - tych dwóch wspomnianych poetów i w takiej kolejności należy wymienić, przypatrując się pod kątem artystycznym licznej plejadzie poetów w sutannach.

Bożena Chrzastowska w obszernym, liczącym 85 stron szkicu, niezwykle wnikliwym i analitycznym, popełnia jednak zauważalne błędy. Na przykład zbiorami wierszy nazywa *Powiastrki* i *Okruchy* Kazimierza Wójtowicza, które w rzeczywistości są zbiorami sentencji i przykładów głównie przeznaczonych do kazań i homilii. Autorka myli się też w grupowaniu poetów w sutannach według klucza pokoleniowego. Zadaje pytanie: „Kto wchodzi w skład plejady księży poetów?” i odpowiada: „(...) wyróżnić trzeba już kilka pokoleń: nestorami i patronami młodych poetów w sutannach są Jan Twardowski (ur. 1915 r.) i Karol Wojtyła (Andrzej Jawień, Piotr Jasień, Stanisław A. Gruda, ur. 1920 r.) (...) Do grupy seniorów zaliczyć trzeba także innych księży urodzonych w dwudziestoleciu międzywojennym; do autorów znanych i uznanych należą: Paweł Heintsch (1924), Janusz Ihnatowicz i Janusz Stanisław Pasierb (1929), Wacław Tadeusz Chabrowski (1934), Bonifacy Miązek (1935). Średnie pokolenie tworzą poeci urodzeni w czasie wojny i zaraz po wojnie w latach czterdziestych: Franciszek Kamecki, Mirosław Drzewiecki (1940), Wiesław Aleksander Niewęglowski (1941), Jerzy Czarnota (1944), Kazimierz Wójtowicz (1945), Wacław Oszejca (1947). Wśród młodych autorów urodzonych w latach pięćdziesiątych i później jest wielu poetów cieszących się uznaniem krytyki i mających po dwa – trzy opublikowane tomiki, np. Dawid J. Hermet, Jerzy Sikora, Jan Sochoń, Jan Walkusz, Andrzej Wierciński. Debiut książkowy mają już za sobą najmłodszy: Krzysztof Guzowski, Jerzy Hajduga, Stanisław Kobielus, Andrzej Madej, Jerzy Szymik, Alfred Marek Wierzbicki”. Gdzie tkwią błędy? Stanisława Kobielusa nie sposób umieścić wśród najmłodszych, bo urodził się w roku 1939 (!). „Najmłodszy” Chrzastowskiej wcale nie mają mniej lat od „młodych autorów urodzonych w latach pięćdziesiątych i później”, bo oprócz Guzowskiego (ur. 1962) i wspomnianego Kobielusa pozostali przyszli na świat właśnie w latach pięćdziesiątych, a kilku nawet na początku owej dekady: Andrzej Madej (ur. 1951), Jerzy Hajduga

(1952), Jerzy Szymik (1953).

W niniejszym szkicu nie chcę analizować współczesnej poezji kapłańskiej dogłębniej i całościowo, lecz pragnę ukazać jej specyfikę, wyodrębnić charakterystyczne, najważniejsze jej prawa, znamiona poetyki oraz porównać z poezją autorów świeckich. Z rozmysłem mniej nawiązuję do poezji Jana Twardowskiego, której tak wiele już uczyniono interpretacji i rozpoznań, podobnie do liryki Janusza Stanisława Pasierba. Sięgam więc do innych księży-poetów, mniej znanych, a wartych krytycznego zauważenia. Nie pomijam, a co jest wbrew mojemu powyższemu założeniu, twórczości lirycznej Karola Wojtyły – ze względu na osobę Autora jako obecnie Papieża Jana Pawła II, tym bardziej w 25-lecie Jego Pontyfikatu. Zresztą sama poezja Wojtyły, oryginalna i o dużej myślowej głębi, nie pozwala, aby do niej nie sięgnąć.

Czy w pełni możliwe jest i czy ma sens tworzenie czegoś w rodzaju poetyki księży-poetów? Należy być bardzo ostrożnym. Rodzi się pewna wątpliwość. Poezja jest sztuką na wskroś indywidualną. Zawsze budowanie poetyk zbiorowych jawi się jako niebezpieczne. Niebezpieczeństwo tkwi w zbytnej redukcji tekstów, sprowadzaniu ich do wspólnego mianownika. Świadom czyhających niebezpieczeństw, sam jednak w niniejszym opracowaniu czynię próby pewnego szufladkowania poezji księży-poetów, usprawiedliwiając się przy tym, że do zadań każdej nauki należy czynność porządkowania.

Namysł nad słowem

W tym obszarze problemowym u księży-poetów występuje głównie refleksja nad sztuką poetycką (mamy do czynienia z metaliterackością, wierszami typu „ars poetica”) oraz nad desakralizacją języka. Czasem te dwie refleksje nakładają się, trudno je odróżnić. Dlaczego w liryce kapłanów znajdujemy dużo metapoezji? Chyba nie tylko należy to rozumieć jako ucieczkę od rzeczywistości, ale widzieć w tym – przynajmniej pośrednio – zwrot ku Bogu, który jest Słowem, wprawdzie odwiecznym, ale właśnie słowem.

Karol Wojtyła w młodzieńczym „Renesansowym psalterzu” ogromną rolę przypisuje słowu. Mówi o jego boskim pochodzeniu, jego mocy płynącej wprost od Boga: *w słowach są moce, jest hyr idący, / jest błogosławieństw i przekleństw władza - / i wiem, że słowem ogarnę, strącę, / albo sam legnę trupem na głazach / i w pierś mi motloch wszczępi swój kancerz. / Przeto się uczę wieczornej mowy, / psalmów pokutnych, izraelowych (Słowo – Logos). Słowo ma*

moc zbawczą, stało się Ciałem, przyjęło bosko-ludzką naturę w osobie Jezusa Chrystusa: *W Słowie się stało nasze zbawienie, / co wrosło w boskie i ludzkie progi (Słowo – Logos)*. W „Renesansowym psalterzu” poeta wnika w przestrzeń metafizyczną. Wychodzi poza materię. Sięga do sfery ducha. Zauważamy to chociażby w kosmogenicznych obrazach - niezwykle uwznioślonych, wizyjnych, malarskich. W nagromadzonym słownictwie wiele słów jest pisanych dużą literą, co nazwałbym hieratycznością leksykalną, oddziaływającą szczególnie na wyobraźnię. Jako początkujący twórca, Wojtyła jeszcze nadmiernie ufa słowu. Z czasem w jego poezji nastąpi większa intelektualizacja poetyckiego wywodu, wyraźne zmierzanie ku dyskursowi intelektualnemu, filozoficznemu.

Kazimierz Wójtowicz w „Modlitwie najkrótszej” zwraca się do Boga:

*Ulecz mnie Panie
ze słowotoku
na drodze do Ciebie
porzucę słowa
jak protezy
po cudownym uzdrowieniu*

*Jako wotum
zbuduję Ci ołtarz
z przeźroczyściego milczenia*

To modlitwa jednocześnie i poety, i kapłana: o słowa konkretne, brzemienne sensem, zbliżone do milczenia, a nawet więcej - prośba o takie milczenie, które znaczy, nakierowuje na Boga. Ludzkie słowa - nawet poety, który bardziej od zwykłych użytkowników zna ich wartość - mogą Boga przesłaniać. Jan Twardowski pójdzie jeszcze dalej i powie: nie chcę sobą przesłaniać Boga. A oto typowo metaliterackie dywagacje Wójtowicza zatytułowane *O wierszu*:

*Wiersz jak Mojżesz
po dziesiątej pladze
wyprowadza (najczęściej w nocy)
słowa wraz z całym dobytkiem*

*Gromadzi je w stada
przeprowadza przez wody
załatwia obłok i mannę
broni przed obcymi bogami
i przed świętą górą*

*A słowo jak to słowa
często już przy pierwszej próbie
zrzekają się ziemi obiecanej
jak Izraelici
idą w rozsypkę
lub wracają do dawnych domów niewoli*

Interesująco, na kanwie wędrówki Mojżesza z ludem wybranym do Ziemi Obiecanej, autor chce powiedzieć, że jak lud nie był posłuszny Mojżeszowi, tak słowa nie słuchają się poety. Nie zawsze potrafią udźwignąć przydane im znaczenie. I wtedy *idą w rozsypkę / lub wracają do dawnych domów niewoli*, czyli uschematyzowanej siatki znaczeń, z której artysta chce je wyrwać. Możemy zamienić tytuł na: *O poecie*. Poeta, zwłaszcza ksiądz, jak Mojżesz wskazuje drogę ku Bogu. Nasuwają się konotacje z *Piórem* C.K. Norwida.

Wójtowicz jest bystrym obserwatorem języka, zwłaszcza religijnego, widzi zmiany w nim zachodzące, takie jak: desakralizacja, nasilenie potoczności. Uprawia lingwizm, który nazwałbym religijnym. Umiejętnie wykorzystuje zwroty kolokwialne, frazeologizmy. Zdaniem Krzysztofa Dybciaka podejście Wójtowicza do języka jest analityczne, ale na sposób poetycki, a więc pełen inwencji i dowcipu. Podobnie też jest i u innych księży-poetów, ale nie aż w takim stopniu. Spośród nich Wójtowicz ma najwięcej ironii i przewrotności - oczywiście w sensie pozytywnym, artystycznym. Najlepiej zademonstrował tę umiejętność - podkreśla Dybciak - w wierszu *Telefoniczne rozmowy z Bogiem*, gdzie zestawiał popularne i ciągle powstające w potocznym mówieniu zwroty, będące śladem religijnego kiedyś wartościowania słów, a które dzisiaj są wypowiedane automatycznie, bez zdawania sobie sprawy z ich genezy:

*„O Boże” nie musisz przecież o tym wszystkim rozpowiadać
„Na miłość Boską” nie powtarzaj tego nikomu
„O Jezu” już wpół do czwartej*

*„Mój Boże” jak można być tak cieleco naiwnym
„Bogu dzięki” że mnie tam nie było
„Jak Boga kocham” nic nie słyszałem*

*„Na miły Bóg” nie bądź zawsze taki uczuciowy
„W imię Boże” idź sobie już
A ja jeszcze „z drugim po Bogu” pogadam*

Nasz poeta jest niezmiernie wyczulony na desakralizację języka. Do przestrzeni sakralnej wdarła się mowa ulicy, populistyczny żargon mass mediów, nowomowa propagandy i ideologii. Wszechobecność „cywilizacji obrazkowej” wywiera wpływ na codzienne używanie języka. Język religijny został wyparty na margines kultury. Coraz słabiej w świadomości wiernych funkcjonuje znajomość terminologii religijnej. Słowa będące pierwotnie nośnikami religijnych treści, dla wielu zachowują jedynie sens metaforyczny bądź zgodny z przejrzyście etymologią wyrazu. Nasila się utrata podstawowych skojarzeń w dziedzinie religijnej. W duszpasterstwie, zwłaszcza w kaznodziejstwie i katechizacji, potrzebna jest reinterpretacja pojęć religijnych; w sferze języka potocznego i popularyzacji wiary tak, aby Słowo, które zostało objawione, było przyjęte i rozumiane przez wiernych. Księża-poeci reinterpretują na poziomie wyższym, artystycznym języka.

Czym dla przykładu w potocznej świadomości wielu chrześcijan jest niedziela? Sięgnijmy do *Niedzieli* Wójtowicza:

*dzień dłuższego spania
dzień tłustej pieczeni
dzień odłożonych robót
dzień najnowszej kreacji
dzień samochodu i wycieczek w plener
dzień telewizyjnego ululania
dzień wizyt znajomych*

*a przecież kiedyś
był to DZIEŃ PANA*

Prosty konstrukcyjnie wiersz, zbudowany na kanwie wyliczanki, ukazuje desakralizację nie tylko języka, ale i współczesnej kultury oraz obyczaju. Mówi o odejściu współczesnego człowieka od chrześcijańskiego znaczenia niedzieli jako co tydzień powtarzanego

święta upamiętniającego zmartwychwstanie Chrystusa.

Do języka potocznego artystycznie udanie nawiązuje Andrzej Madej. Dla przykładu oto jak nieoczekiwanie, w kontekście nasyconym sakralnością, sięga po frazeologizm: "Żółć mnie zalewa":
Maryja miała żółć na wargach / Dziewczynka o nic nie pytała / Ścisnęła tylko mocniej moją rękę.

*Bracie – Aniele mój
pożycz mi swe pióro
by uskrzydlić słowa
by opisać miłość niewypowiedzianą*

W powyższym krótkim wierszu siostry Urszuli Michalak będącym apostrofą do Anioła Stróża, poetka zwraca się do niego jak do muzy z prośbą o pióro, bo chce anielskim piórem uskrzydlić swoje słowa, usprawnić warsztat twórczy, nadając słowom większy polot, ale i chyba jednocześnie przybliżyć je do nieba, usakralnić.

Natomiast Alfred Wierzbicki sztukę poetycką ujmuje bardziej filozoficznie - dialogowo i egzystencjalnie:

*poezja nie jest igraszką,
choć jest tylko słów
układaniem. Ciemna
o pogmatwanym toku
sławi jasność i prostotę
istnienia. Jesteśmy pokreślonym
zapisem niezgłębionej mowy.
W mrocznych korytarzach
szukamy się nawzajem.
Im więcej przyjaźni, im bliżej,
tym więcej wykrzykników i pytań.
Czytając wiersze zamykam oczy.
Możemy się porozumieć,
ujrzeć błysk, który gaśnie,
na płynnej skórze rzeki
widzieć blask nocy.*

W powyższym kontekście ludzkiego porozumiewania się przychodzą na myśl dywagacje filozoficzne Martina Heideggera, posiłkującego się poezją Friedricha Holderlina, o zamieszkiwaniu w

słowie. Jerzy Czarnota podejmuje refleksję nad słowem widząc potrzebę twórczego zmagania się z nim: *Aby ono coś znaczyło, trzeba gryźć kamienie*. Jego poezja, mimo że niezwykle oszczędna, jest bardzo obrazowa. Poeta za wszelką cenę unika nadmiaru słów. Zgrabnie operuje niedopowiedzeniem. Oszczędną i delikatną liryczną kreską rysuje pejzaże duchowe. Podobnie bardzo krytyczne podejście do słowa ma Krzysztof Martwicki. Wie on, że świata i życia nie da się zamknąć w słowie:

co zrobić

*ze słowami których już nie dało się wypowiedzieć
słów po brzegi usta rzęsy stopy...*

(xxx co zrobić...)

Bóg – ten sam a jednocześnie różny

Bóg – to „Ktoś” pozasłowny, dlatego w ogóle trudno jest o Nim mówić, także poetom, chociaż język poetycki – pełen paradoksów i przenośni – przychodzi im trochę z pomocą, ale nie ułatwia całkowicie zadania. W dyskursie religijnym mówimy nie tylko o Bogu koncentrując się jedynie na Nim, ale i w relacji do świata, do ludzi. Trudno jest mówić o Bogu transcendentnym, czyli Kimś "poza", także poza językiem. Język mówiący o Bogu to nie tyle język dosłowny, co symboliczny, dlatego wypowiedzi o Bogu nie mogą być przełożone na wyrażenia dosłowne (co uświadomili wybitni teologowie, zwłaszcza Paul Tillich, Karl Barth, Emile Bruner i Rudolf Otto). Według Tomasza z Akwinu łatwiej mówić o Bogu, kim nie jest, niż kim jest. Zdaniem Paula Tillicha Bóg jawi się tak zdecydowanie odmiennie od stworzeń, a język tak niezdolny do Jego opisanie, że orzekanie dosłowne jest niemożliwe. Mówiąc o Bogu należy oczyszczać język z tego, co ograniczone, obrazowe i niedoskonałe, by nie pomieszać niepojętego i nieuchwytnego Boga z naszymi ludzkimi sposobami wyrażania. Słowa ludzkie pozostają zawsze nieadekwatne wobec tajemnicy Boga.

Jednak mimo tych trudności Kościół wyraża ufność w możliwość mówienia o Bogu wszystkim ludziom, co jest podstawą jego dialogu z innymi religiami, z filozofią i nauką, a także z niewierzącymi. Doświadczenie religijne, a następnie teologia jako refleksja nad doświadczeniem religijnym były zawsze świadome, iż nasz język nie jest zdolny, by pozwolić Bogu przemówić. Tradycja "teologii negatywnej" zapoczątkowana przez Ojców Kościoła, pozwala mówić o

Bogu tylko dlatego, że milczenie o Nim byłoby jeszcze gorsze. Jak mówić o Bogu? - to podstawowy dylemat nie tylko duszpasterstwa (szczególnie kaznodziejstwa), ale i teologii. To, co wypracowała teoria języka, podając jako charakterystyczne cechy języka religijnego, można odnaleźć w języku Biblii: tautologie, paradoksy, metafory... Wszystkie te sposoby wypowiedzania zmierzają do jednego celu: ukazać, iż Bóg jest kimś więcej aniżeli tym, co my możemy o Nim powiedzieć. Tak czynią też poeci. Mówienie o Nim jest możliwe właściwie tylko wówczas, jeśli wyrażamy to "jakby w zwierciadle", tzn. niedoskonale. Nie chodzi o to, by Go pojąć, lecz nasze słowa mają wskazać kierunek, gdzie należy się udać, by Go odnaleźć. Świadomość ułomności, jaką odznacza się nasze mówienie o Bogu, jest nieodzownym warunkiem, by mówić o Nim wiarygodnie, a jednocześnie jak o Tajemnicy.

Jak księża-poeci przedstawiają Boga? Różny jest Bóg poszczególnych twórców w sutannach, jak różne są ich z Nim spotkania, jak różna jest wreszcie ich poezja.

Kimże jest On? Niewypowiedziany. Samoistne Istnienie.

Jedyny. Stwórca wszystkiego.

Zarazem Komunia Osób.

*W tej Komunii wzajemne obdarowywanie pełnią prawdy,
dobra i piękna.*

Nade wszystko jednak – niewypowiedziany.

Jan Paweł II z Bogiem się nie wadzi, chociaż jak wszyscy nie potrafi pojąć i wyrazić Go w pełni. Bóg u Wojtyły, już od pierwszych młodzieńczych utworów, jest jako *sine qua non* istnienia świata, jako coś bez czego nie może funkcjonować i człowiek, i cały świat. Bóg – to więcej niż mit i obrzęd:

Chrystus. Czasy ku Niemu wyciągają ręce. –

Ja patrzę w czasy. Widzę, że ON jako symbol

I jako Prawda Istna i Jemu są wieńce,

Plecione z moich myśli i z sonet i z nimbów.

(Symphonie – Scalenia)

Bóg jest krystalizacją sensu, uosobieniem Prawdy, Wolności i Miłości. Odrzucając magię pogańskich obrzędów oraz greckich mitów

i idąc ku Niemu, człowiek opuszcza mroki i zmierza ku Światłu.

*Chrzczę ciebie Boga imieniem które nieustannie znajduję -
wyznaje Wacław Oszajca. Trudno Boga ogarnąć słowem czy poprzez
słowo przynajmniej trochę Go przybliżyć. W poezji Oszajcy Bóg
uobecnia się jako Tajemnica, a zarazem jako Osoba: wabimy ciebie,
podchodzimy ciebie / podchodzimy ciebie / podglądamy / a ty ciągle /
jesteś za blisko / a my / za daleko. Już nawet w warstwie leksykalnej
zaimki "ty", "ciebie" wskazują na osobowe spotkanie z Bogiem.
Podkreślona przez to zostaje rzeczywistość bezpośredniej relacji
człowieka względem transcendentnego Absolutu - spotkania ludzkiego
"ja" z boskim "Ty", które jest niepoznawalne, istnieje na mocy wiary:*

*Kawałkiem marmuru
Grek mnie przestrzega
Wierz wyłącznie
Niepoznawalnemu Bogu*

(Oltarz z Agory)

Mamy do czynienia z paradoksem, mianowicie niepoznawalny i transcendentny Bóg jest kimś najbliższym i najukochańszym, wyzwalającym nadzieję - i z tego płynie przeżycie radości: *porwałeś mnie Panie / do tańca (...) / coraz szybszy rytm muzyki / i coraz głośniejszy śmiech / twój i mój.* Bohater wierszy Oszajcy wobec Boga zachowuje postawę partnerską, pełną ufności. Nie wadzi się z Nim, nie kwestionuje Jego istnienia, lecz co najwyżej zastanawia się nad formą i intensywnością uobecniania się Boga: *gdzie byleś prawdziwiej Panie / w obłoku w rybie czy może w krzyku.*

Natomiast Andrzej Madej w wierszu *Ciche psalmy* pisze:

*Tej nocy
Ziemia się nie zatrzymała
Ogień nie skrzepł
Blask się nie ściemniał
Wszystko było na swoim miejscu
Czerwone się czerwieniło
Krew w żyłach tętniła
Judzka kraina śniła o potędze*

*Tylko dziecię płakało pod strzechą
Wół miał pełne ślepie światła
W garncach mleko się warzyło*

*Józef stał w drzwiach
Drżał cały
I gorąco prosił Boga
By mu Maryja nie zmarła
By dziecię przeżyło
By ta noc już się wreszcie
Skończyła*

Widać, że modyfikując znaną kolędę Karpińskiego *Bóg się rodzi*, Madej chce jej nadać więcej swojskości, przez częściowe odsakralnienie bardziej unaocznic. Celowo łamie bariery między tym co ludzkie, a tym co boskie (to częsty zabieg w poezji kapłańskiej – zwłaszcza u Twardowskiego): chce sprowadzić Boga na ziemię, ukonkretnić, aby bardziej zbliżyć się do Niego, okazując jednocześnie szacunek i cześć. Tomikiem *Tobie na chwałę* Madej pragnie całkowicie zawierzyć Bogu. W tytułowym liryku, modlitwie uwielbienia, wyznaje:

*Wszystko
Co jest i czego nie ma*

*Mrówka i cień
I nasz ochryply śpiew
Kółko graniaste dzieci
Dwa kałamarze nocy
I gwiazdka Konstantego
Ildefonsa Galczyńskiego*

*Wszystko
Tobie
Na chwałę*

Wójtowicz, zgrabnie operując paradoksem: *Wciąż odchodzisz aby wrócić / i powracasz aby odejść*, w liryku – rozmnwie z Bogiem pt. *U stóp Mont Saint-Michel* wykorzystuje motyw podróży, rozumiany głęboko, w kontekście kulturowego toposu „homo viator”. Co ciekawe, nie chodzi tu tylko o człowieka-pielgrzyma, ale i o wędrującego Boga,

który przychodzi do człowieka. Zwłaszcza jeśli on ku Niemu wyjdzie. Z kolei Jan Paweł II w *Tryptyku rzymskim* napisze, że *sam Bóg przychodzi do Abrama w gościnę*.

Z kolei u Jana Twardowskiego główni bohaterowie jego poezji: Bóg i człowiek, zawsze występują razem. To ogromna nobilitacja człowieka. Bóg i wiara - najważniejsze w życiu ludzkim - strzegą go przed zagubieniem. Niemal wszystkie wiersze Twardowskiego mają charakter dialogu skierowanego do konkretnej osoby, również do Boga – występują wtedy w formie modlitwy: głównie dziękczynnej (*Dziękuję Ci po prostu za to, że jesteś - wyznaje bez zbędnych tłumaczeń bohater liryczny*), zdecydowanie rzadziej błagalnej. Bóg jest wartością, do której się dociera, a nie dogmatem, ustalonym z góry. To Bóg bardzo ludzki, ukryty i niewidzialny. To „Ktoś” Nieobecny: *Bóg jest tak wielki że jest choć go nie ma*. Uosabia miłość i nadzieję. Można, i należy, bezgranicznie Mu zaufać. A nawet jeśli wydaje się nam niesprawiedliwy, to musimy zrozumieć, że pozornie, celowo dla naszego dobra: *Gdyby wszyscy mieli po cztery jabłka / (...) / gdyby wszyscy byli jednakowo bezbronni w miłości / gdyby każdy miał to samo / nikt nikomu nie byłby potrzebny (Sprawiedliwość)*. To nie tyle Bóg filozofów i intelektualistów - jako Transcendencja i Absolut, ale Bóg ewangeliczny - miłosierny ojciec przygarniający grzesznego człowieka jak marnotrawnego syna. Ten Bóg *nie patrzy w przepisy, jest nieśmiały i bosy*. Bohater poezji Twardowskiego nieustannie zadziwia się światem. Wyszukuje znaków ufności (jeden z tomików poeta zatytułuje właśnie: *Znaki ufności*), które wytyczają mu drogę do Boga i bliźniego.

W poezji Karola Wojtyły powracające motywy górskich krajobrazów, strumieni i potoków odgrywają ważną rolę w wyrażaniu przeżyć wewnętrznych związanych z wyczuwalną przez Autora obecnością Boga w naturze. Ale Bóg Wojtyły jest również Absolutem, którego poznajemy z podręczników filozofii i teologii.

Poezja głębi

Chodzi przede wszystkim o maksymalizm poznawczy - głębie myślową, ale nie tylko, również medytacyjną, mistyczną. Poeci w sutannach przeżywają dramaty, ale nie tragiczne, lecz piękne, łagodne.

Wojtyła najwyraźniej spośród poetów w sutannach uprawia poezję głębi. W wierszach mówi nie o rekwizytach życia, nie o zewnętrznosci świata, ale o jego najgłębszej istocie, ontologicznym sensie. Zwłaszcza mistyczna głębia *Tryptyku* nie nadaje się do zgłębiania jej przy

zastosowaniu tylko kryteriów krytyczno-literackich. Zwłaszcza w stosunku do drugiej części poematu są one kompletnie niewystarczające. Wiele poematów Wojtyły to przypomnienie i jednocześnie odnowienie w polskiej poezji powojennej (obok Czesława Miłosza) literackiej postaci traktatu: o wydźwięku moralnym, filozoficznym, teologicznym - zapisanej rozbudowaną i pojemną poetycką formą.

Sięgając do opozycyjnych i symbolicznych obszarów światła i ciemności, Wojtyła eksponuje maksymalizm poznawczy i etyczny:

*Obyśmy nie rozszerzali wymiarów cienia.
Promień światła niechaj pada w serca i przeświebla
mroki pokoleń. Strumień mocy niech przenika słabości.
Nie możemy godzić się na słabość.*

(Myśląc Ojczyzna...)

A w *Narodzinach* wyznawców zauważa, że *Świat jest pełen ukrytych energii, które zuchwale / nazywam po imieniu. / Słowa przeto nie będą płaskie, lecz pełne: towarzyszy im / odczucie zrywu; / nie przelatują jednak w pośpiechu jak w górach woda / po kamieniach, / nie mijają w oczach jak drzewa – / trzeba się im przypatrywać długo, tak jak owadom / przez szybę... / I wciąż, i wciąż pod słów powierzchnią czuć dno....* A więc poeta drąży i naświetla słowem to, co ukryte jest głęboko, co osłonięte woalem tajemnicy. Ale jednak ważne, warte namysłu. Ten skryty świat tajemnicy, obszar - z istoty swojej niewypowiedziany, pozasłowny - autor jako poeta (zaklinacz słów) zuchwale nazywa po imieniu. Jak wytrwały i doświadczony nurek schodzi pod powierzchnię wody, nawet na samo dno, tak poeta Wojtyła sięga do dna znaczeń słów - najgłębszych, ważkich sensów i myśli. Niezmiernie ważny jest gruntowny namysł nad ukrytymi sensami. Nie dać się uwieść słowom, ich powierzchownej, zwodniczej urodzie - oto zadanie poety - myśliciela, filozofa, kapłana.

*Dalekie wybrzeża ciszy zaczynają się tuż za progiem.
Nie przefruniesz tamtędy jak ptak.
Musisz stanąć i patrzeć coraz głębiej i głębiej,
aż nie zdołasz już odchylić duszy od dna.*

*Tam już spojrzeń żadna zieleń nie nasyci,
nie powrócą oczy uwieszone.
Myślałeś, że cię życie ukryje przed tamtym Życiem
w głębinie przechylonym.*

*Z nurtu tego – to wiedz – że nie ma powrotu.
Objęty tajemniczym pięknem wieczności!
Trwać i trwać. Nie przerywać odlotów
cieniom, tylko trwać
coraz jaśniej i prościej.*

(Pieśń o Bogu ukrytym)

Paradoksalnie *Dalekie wybrzeża ciszy zaczynają się tuż za progiem*. Imperatyw wewnętrzny (sumienie, ludzka powinność) nakazuje: patrz coraz głębiej i głębiej, nie lekceważ rzeczywistości - zwłaszcza tej duchowej, nie ślizgaj się po jej powierzchni. Mamy do czynienia z aktywizmem, z maksymalizmem poznawczym. Co znaczy *trwać / coraz jaśniej i prościej?* To znaczy odkrywać sens bytu i nim się karmić, zmierzając ku jego jasnej i wyraźnej prostocie. To wyzwanie niewątpliwie w jakimś sensie prometejskie, ale bez uzurpowania, przypisywania sobie nadmiernej wyjątkowości, pełne pokory.

Kiedy Wojtyła pisze o postulacie samotnego zmagania, o ogarnięciu aż do dna prawd, to jest w tym pewien dramat człowieka, ale piękny dramat, pozytywny, nie nacechowany tragizmem, mieszczący się w obrębie historii zbawienia:

*Bywa nieraz, że w ciągu rozmowy stajemy w obliczu
Prawd,
dla których brakuje nam słów, brakuje gestu i znaku –
bo równocześnie czujemy: żadne słowo, gest ani znak –
nie uniesie całego obrazu,
w który wejść musimy samotni, by się zmagać podobnie
jak Jakub.*

(Myśl jest przestrzenią dziwną)

Oto początek „Pieśni o blasku wody”, poematu jak na Wojtyłę nad wyraz lirycznego, w którym owa liryczność - malarska i obrazowa - na przemian układa się z dyskursywnością wypowiedzi drażnącej myśl, ideę, filozoficzno-teologiczny namysł:

*Popatrz – tam łuską srebrzystą nieustannie się woda
odrywa,*

*oto głębi brzemieniem drży
jak źrenica czując dno obrazu.*

*Woda jednak miejsca zmęczone wokół twych oczu
przemywa,
gdy odbiciem szerokich liści dosięga twojej twarzy.
Tak daleko do źródła –*

*Te oczy znużone to znak,
że ciemne wody nocy płynęły w słowach modlitwy
(- nieurodzaj, nieurodzaj dusz -)
a teraz światło studni pulsuje głęboko w tych łzach,
które – pomyślą przechodnie – wycisnął podmuch snu...*

*A tymczasem –
ta studnia otwiera w twym wzroku tylko migot liści
i łuską odbitej zieleni zasnuwa miękko twą twarz
tam – w głębi.*

Czy daleko jeszcze do źródła?

A w *Profilach Cyrenejczyka* poeta wyznaje:

*Mam duszę otwartą. Pragnę rozumieć.
Z kim walczę, dla kogo żyję? Oto myśli mocniejsze niż
słowa.
Brak odpowiedzi. Takich pytań nie stawiaj zbyt głośno.*

Do źródła wiedzie droga daleka i pod prąd. Wymaga ona wysiłku. Przebić się ponadto należy przez złudne odbicia, mirażę, *przez łuski odbitej zieleni*. W krajobrazie poetyckim Wojtyły ta droga intelektualnych i duchowych zmagani nie jest daremna, rozpościera się w świecie dojmującego - chociaż ukrytego - sensu. Prowadzi do Źródła, do Boga (Niewypowiedzianego), do zrozumienia *dla kogo*

żyć. Dla Wojtyły myśli są mocniejsze niż słowa, mimo że wspierają się na słownych rusztowaniach. Poeta stawia pytania. I następnie konkluduje: *Brak odpowiedzi*. Nie stanowi to jednak wielkiego dramatu, absolutnie nie napętnia żadną rozpaczą. Kontynuując poetycki i myślowy wywód, dopowiada: *Takich pytań nie stawiaj zbyt głośno. Rozważ je w ciszy, w obrębie swojego jestestwa*. Alfred Wierzbicki o poezji i filozofii Karola Wojtyły pisze: *Poezja i filozofia Wojtyły wypływają z tego samego źródła, jakim jest fascynacja człowiekiem i jego osobowym bytem. Jest to poezja metafizyczna w bardzo precyzyjnym personalistycznym sensie i polega na próbie odczytania „najgłębszego zapisu swego bytu”*.

Krzysztof Martwicki poetyckim słowem chce także sięgać głębi. Jego poznanie poetyckie to nie tyle analiza i próba syntezy postrzeganego świata, nie tyle symbol, ale przede wszystkim konkret. Wybiera on raczej nie kunsztowną metaforę, lecz precyzję poetyckiego dyskursu. Chodzi mu głównie o adekwatność myśli i słowa. Nie wpada w pułapki wykonceptowanych gotowych formuł. Chce docierać do tego (Tego), co stanowi sens - samodzielnie. Bohater liryczny wierszy Martwickiego jest świadom, że są kwestie niepoznawalne na drodze intelektualno-zmysłowej, że trzeba poszukiwać transcendentnego sensu, że prawdziwemu poecie nie wolno cofać się przed żadną próbą zgłębiania i rozszyfrowywania egzystencji. W polu zainteresowań Martwickiego jest człowiek (często kapłan, ale nie tylko) ze swoimi egzystencjalnymi i metafizycznymi problemami, pytający o naturę całej rzeczywistości, o wartość i sens egzystencji. Bohater tej poezji chce być blisko świata i życia, uważnie mu towarzyszyć:

*nie odchodź boję się
masz ciepłe dłonie
patrzysz na mnie
powoli tłumaczysz mi na nowo
język ziemi powietrza wody*

(andante sostenuto)

Ograniczenia i bariery poznawcze w poezji księży są niejednokrotnie świadomym zamysłem metodologicznym, wynikającym z pokory i wiary. Ks. Jan Sochoń napisze: *Jezu, znam czułość, objęcie / dotyk. One łączą mnie ze wszystkim, / co żyje i każe milczeć, gdybym / więcej oczekiwał, więcej błagał (Więcej)*.

Piękno-dramatyczny obraz świata, pełen wiary i ufności, widzimy w poezji Jerzego Szymika. „Twórczość Szymika niczego nie narzuca, zaprasza tylko do współmyślenia i łagodnego zadziwienia nad piękno-dramatycznym urządzeniem świata. Jakaś oszczędność, skromność panują nad prezentowanymi wierszami, zarówno w sensie formalnym, jak i światopoglądowym. (...) Cóż podszeptuje ks. Szymik? Żebyśmy uradowali się samym istnieniem, uwierzyli, że świat jest światem odkupionym, a rozbijające życie cierpienie znajduje *przebolenie* i sens w męce Zbawiciela”.

Właśnie podszeptuje, podpowiada. Poezja Szymika to filozoficzne zaledwie szepty, podszepty, a nie gruntowne dywagacje i roztrząsania myślowe. Przez to jest ona słabsza, mniej wartościowa poznawczo - właśnie z racji naskórkowych, fragmentarycznych, i nie zawsze spójnych, konstrukcji myśli, idei. Szymik zmierza do konkluzji za bardzo na skrót. Tak też jest w następującym wierszu:

*myślę o tym
jak drżą Twoje wargi*

*to nie są wargi „w ogóle”
to nie są wargi „jako takie”
to nie jest nawet „ukonkretniona idea warg”*

*to są Twoje wargi.
I domyślam się,
że jakoś tak –
- z przewyższeniem nieskończonym -
- kocha nas Bóg*

Szymik fenomenologiczne podchodzi do rzeczywistości. Wprawdzie wiersz zaczyna się od słowa „myślę”, ale użytego raczej w znaczeniu kolokwialnym, potocznym: myślenia o czymś lub o kimś w sensie zwracania uwagi, pamiętania... Ten i inne wiersze Szymika są fenomenologicznymi rozbłyskami istnienia, epifaniami sensu ludzkiej egzystencji w świetle Boga, w Jego perspektywie. To nie żmudne, filozoficzne dociekania myślowe (jak np. u Wojtyły), lecz pojedyncze, impresyjne oglądy świata stworzonego przez Boga, liryczne zadziwienia. Jeśli u śląskiego poety znajdziemy filozofię, to jedynie w określeniach, nazwach wziętych z filozoficznej terminologii - i po swojemu zmodyfikowanych: „ukonkretniona idea warg”,

„przewyższenie nieskończone” - a nie w próbach intelektualnych, systemowych ujęć bytu. Ponadto powyżej cytowany wiersz w swej konstrukcji jest niezborny z powodu, wcześniej przeze mnie zasygnalizowanej, niespójności myślowej, czy chociażby logicznej. Jego „myślowe” zakończenie brzmi stereotypowo: „kocha nas Bóg”. I nie widać myślowego związku tej banalnej puenty z całym wcześniejszym poetyckim wywodem. Liryka Szymika jest pozorną poezją głębi myślowej.

W jednym z wierszy Czarnoty odczuwa się łagodny dramat egzystencjalny, gdy Brat Albert pyta: *czy ja się pogodzę / przez ból / przez trud / przez porzucone obrazy*, aby później spokojnie już powiedzieć: *wierzę w święty ogień / niszczenia i pustyni / nadzieję*. W lirycznym wspomnieniu poświęconym ks. Jerzemu Popiełuszcze. pt. *Różaniec od Jerzego* poeta dywaguje: *ten różaniec nigdy nie będzie / ukończony / do końca odmówiony / brakuje jednego ziarenka / tak jak zabrakło nagle / twojego życia*. Wszakże to jednak nie totalny dramat, bo przecież owo życie po ziemskiej - wprawdzie tragicznej - męczeńskiej śmierci nie występuje w postaci całkowitego braku, a przeciwnie: wydaje ono posiew stokrotny.

Podobnie w wierszach Andrzeja Wiercińskiego nie ma białolenia, narzekania na człowieczy los, na świat i ludzi, nie ma pretensji do Boga. Jest postawa mężnego trwania, afirmacja świata. To bardzo ważne teraz, kiedy - jak pisze Zbigniew Herbert w *Martwej naturze z wędzidłem* - „znakomita część sztuki współczesnej opowiada się po stronie chaosu, gestykułuje w pustce albo mówi o historii własnej, jałowej duszy”. Bohater wierszy Andrzeja Wiercińskiego tęskni za drugim człowiekiem, potrzebuje go, aby nie być samotnym, aby dzielić się z nim sobą i światem, aby zaistnieć w całej pełni: *samotnie szukać znaczy samotnie błądzić (Powtarzanie); zamiera świat gdy ciebie nie ma (Pozostają lilie)*. Człowiek z wierszy Wiercińskiego - zresztą jak każdy z nas - tęskni za szczęściem, za czymś stałym, wartościowym, pięknym. Za tym wszystkim, czego symbolem jest lilia. A biała lilia jest symbolem czystości, nadziei, piękna, boskiej opieki nad wybranymi. Stanowi atrybut wielu świętych, m.in. Franciszka z Asyżu, Klary, Katarzyny ze Sieny. Białe lilie według mitologii greckiej powstały z mleka Hery. Wplecione były we włosy muz. Poetyckie słowo Wiercińskiego jest wyraziste, klarowne, zakotwiczone w konkretnej rzeczywistości, a przy tym obrazowe:

kobieta krzątała się po

ogródku

jak mgła fontanny

jej rozwiane włosy

(Zmagania o których nie umiemy mówić)

Poezja Andrzeja Wiercińskiego staje się coraz dojrzsza, lepsza. Wcześniej wytykałem jej liczne mankamenty, obecnie czytam z niekłamaną przyjemnością.

Siostra Urszula Michalak umiejętnie łączy intuicję (poetycką? kobiecą?) z wiarą i pisze odważne wiersze. Pokazuje człowieka blisko Boga, ale i człowieka osamotnionego. Kreśli dramat samotności, nawet tej z wyboru; również dramat miłości rodzącej ból, cierpienie. Tyle że to cierpienie nie jest bezowocne - rodzi owoce dobra i piękna. Wiele wierszy Michalak skrywa w sobie erotyczne, dyskretnie napięcie. To - paradoksalnie - poezja skondensowana, oszczędna w formie, a jednocześnie niezwykle żywołowa. Bohater liryczny nieustannie jest w drodze, nieraz upada, ale konsekwentnie i z uporem (choć może lepiej powiedzieć: z ogromną wiarą) poszukuje sensu istnienia. I go znajduje, *choć trudno jest nauczyć się / i żyć / i umierać* (xxx potrzebuję cię jak laski...).

Poetycka egzegeza Biblii

Poeci w sutannach prowadząc dialog z Bogiem, przemożnie nawiązując do kultury chrześcijańskiej, na karty swojej poezji przywołują Biblię. I intertekstualnie, w rozmaity sposób - mniej lub bardziej bezpośredni - mówią jej językiem, jednocześnie egzegetycznie ją przybliżają.

Na przykład w *Tryptyku rzymskim* Jan Paweł II często „myśli Biblią”, to znaczy: nie zaznaczając cytatów, w istocie rzeczy cytuje zdania Ewangelii lub Księgi Rodzaju jako tak bardzo przyswojone duchowo i intelektualnie, że stają się „jego” zdaniami. Papież czyni to świadomie.

*„Złoto wasze i srebro zardzewiało,
a rdza ich będzie świadectwem przeciw wam
i toczyć będzie ciała wasze niby ogień”*

(Jk 5,3)

*Zamieszkał we mnie rdzawy płomień
niepokoi arterie i serce
zagraża wszystkim komórkom
czyha przy każdym wyjściu
a w szczególności na granicy
zderzenia ze światem*

*Zarządziłem natychmiast akcję oczyszczania
podałem się fachowej konserwacji
zabezpieczyłem chore miejsca
a mimo to
- jak wykazały ostatnie oględziny -
korozja czyni znaczne postępy
rozwała stawiane zapory
zżera tkankę za tkanką*

*Jeszcze trochę
i zaczną się sypać
jak zmurszały tynk*

Znowu przywołuję Wójtowicza. Uważam, że ten poeta zasługuje na większą uwagę, chociażby ze względu na ciekawe, niezwykle aktywne podejście do języka – o czy już powyżej pisałem. Swoistymi rozbudowanymi tytułami-mottami niektórych wierszy Wójtowicza są fragmenty Biblii, bardzo symbolicznie (jednocześnie parabolicznie) nacechowane, jak w powyższym utworze jednozdaniowa perykopa z Listu św. Jakuba. Wiersz ten, pełen powagi, a jednocześnie humoru i dowcipu, ma wydźwięk na wskroś osobisty. To ciekawa wiwisekcja duchowa, poddanie siebie lekarskiej obserwacji, badaniu. Poeta w puencie wykorzystuje obrazowy frazeologizm. Język Wójtowicza właśnie w dużej mierze dzięki frazeologizmom i bliblizmom jest konkretny, namacalny. Wiersz staje się praktyczną, egzystencjalną egzegezą. Egzegetyczność u naszego poety ma niewątpliwie związek z jego zamiłowaniem lingwistycznymi.

Wiersz Madeja pt. *Dlaczego* jest biblijną peregrynacją do miejsc świętych, gdzie rozgrywały się wydarzenia historiozbawcze:

*Zapytała mnie dziewczynka
Dlaczego Matka Boska
Ma bliźny na policzku*

*Poszliśmy więc na spacer
Do Oliwnego Ogrodu
Przez potok Cedron*

*Tu gdzie stał krzyż
Staliśmy
I słysząc było bicie serca
Syna*

W poezji kapłańskiej pojawiają się biblijni bohaterowie. Tak jest w wierszach Jerzego Czarnoty - poety kultury zanurzonego w przestrzeń sacrum i profanum. Z jednej strony sceptycyzm i niepewność, a z drugiej - wiara. Czarnota chętnie posługuje się paradoksem - jeden z tomików tytułuje: *Horyzonty pionowe*. W jego wierszach wielokrotnie pojawia się postać biblijnego Nikodema. Ten bohater, a jednocześnie swoista konstrukcja literacka, odgrywa formalnie podobną rolę jak postać Pana Cogito w poezji Herberta. Z tym że Herbertowy bohater dokonuje bardziej intelektualnego oglądu świata („Myślę, więc jestem”), a bohater Czarnoty patrzy na rzeczywistość przez pryzmat wiary (“Wierzę, więc jestem”). Wiersz *Oświadczenie Nikodema* przywraca właściwą perspektywę widzenia: *Przychodzę oświadczyć / i nie wiem jak powiedzieć / że środek świata jest w twoim pokoju / a ty w nowoczesnym stroju pielgrzyma / porwany przez ziemię / dookoła słońca / czekasz na ocalenie. Ocalenie przez co? Przez wiarę.*

Urszula Michalak często sięga do biblijnych opowieści, które stają się osnową jej liryków. Takim też jest wiersz *xxx noc gorąca jak ciało Magdaleny...* Jego treść została oparta na znanym biblijnym zdarzeniu, z wymienioną już w tytule liryku bohaterką – Magdaleną. Poetka powtarza schemat biblijnego wydarzenia przydając formę bardziej liryczną, chociaż myślowo i interpretacyjnie nie wykracza poza wykładnię zakodowaną w Piśmie Świętym. Bardziej skupia się na wytworzeniu niezwykłości nastroju i scenerii miejsca akcji: *noc / gorąca jak ciało Magdaleny / oddala się wolno / popędzana nagłym brzaskiem / w ledwie rozpalonym świetle dnia / obłudny tłum / wprawny w liczeniu cudzych grzechów / szamocze się z kobietą / która znowu sprzedała swą gorzką miłość / za cenę własnych łez.*

Dialog z tradycją kulturową

Mam na myśli przede wszystkim nawiązania do tradycji klasycznej, śródziemnomorskiej. Ku niej wyraźnie nakierowana jest poezja Janusza Stanisława Pasierba, ale i innych poetów w sutannach Również - chociaż nie tak bezpośrednio, lecz przez tajemniczo skondensowany świat symboli - liryka Jana Twardowskiego.

Bohater poezji Krzysztofa Martwickiego jako „homo viator” dialoguje wertykalno-horyzontalnie, zmierzając jednocześnie ku Bogu i ku drugiemu człowiekowi w przestrzeni kulturowej nacechowanej sakralnie jakby w sposób migawkowy. Nie jest to świat świątyni, muzeów. Raczej w „zwyczajnej” przestrzeni napotyka niespodziewanie na odniesienia kulturowe. Wacław Oszajca w przedmowie do tomu *Czas i Blask* napisał: *Krzysztof Martwicki pisze, bo wędruje, podróżuje, pielgrzymuje. W przestrzeni, tej zewnętrznej, mierzonej kilometrami i tej wewnętrznej, której „...nie ma / choć jest”. Te dwa światy są jednym, choć ściśle do siebie nie przylegają(...) Jednocześnie przemierza transcendencję i immanencję, sacrum i profanum, jednym słowem ziemię i niebo.* Wiele wierszy Martwickiego jest reportażowych, opisowych - ich bohater to podróżnik, kronikarz i obserwator. Nie znaczy to, że ten poeta nie potrafi operować metaforą. Wyrazem tych jego umiejętności jest chociażby ten oto - krótki, ale jakże piękny - wiersz bez tytułu, który cytuję w całości:

*na twojej twarzy
słoję spraw
jesteś drzewem
dębem? osiką?*

W książce poetyckiej Alfreda Wierzbickiego *Jak ciemność w ciemności*, która jest lirycznym dziennikiem podróży, pojawia się Paryż, Florencja, Szwajcaria, Alpy, Dubrownik, Praga... Jednak trasą tej wędrowki - podobnie jak u Martwickiego - jawi się głównie dusza i myśli pielgrzyma, to wyprawa ku drugiemu człowiekowi. Wreszcie to poznawanie siebie samego oraz tropienie śladów Boga. *A jeśli słowo niemożliwe, niech będzie / słyszalne milczenie* - pisze Wierzbicki w wierszu *Spacer w Chur*. Jego wywód liryczny często jest ubogacony odwołaniem do filozofii i sztuki. Mamy liczne „nazwiskowe” przywołania takich postaci, jak: Dante, Caravaggio, Borges, św. Franciszek, Hamlet... Zauważamy lapidarność słowa i dyscyplinę

logiczną (podobnie jak u innego filozofa-poety, Andrzeja Wiercińskiego) oraz uniwersalizm tej poezji. Gdyby czytelnik nie wiedział, że ją pisze książdź - z wierszy by tego nie odkrył. To, co najkruchość, bywa najpiękniejsza - konkluduje bohater liryki Wierzbickiego. Możliwe, że ontologicznie zgodziłby się ze znaną maksymą Simone Weill: "Kruchość jest znakiem istnienia".

Wiele wierszy Jerzego Szymika ma postać lirycznych relacji z podróży. Poeta rozmawia nie tylko z Bogiem, ale i z bliźnim. Swoje pytania wkłada w usta znanych postaci ze świata kultury i sztuki:

więc pytają

Valazquez i Zurbaran

Murillo i Goya

Van Dyck i Yanez:

Czy nie mieć z kim dzielić wzruszenia rozwija lub niszczy?

Czy pytanie o Prawdę jest przywilejem Piłatów?

Czy wrażliwość to skarb czy ułomność?

Czy rośnie w tobie podziw dla dobroci?

Czy nie mieć do kogo wracać jest szczytem wolności?

Czy miłość i cierpienie można zakląć w ciszę?

Czy rozumiesz co znaczy że Jezus jest bezdomny?

Niepoważne jest muzeum obrazów

Przegrywa zawody z życiem

(Prado)

Z tradycją kulturową chętnie dialoguje Franciszek Kamecki. W *Komedii Dantego* z domieszką ironii wyznaje: *Zbawienie zawsze blisko. / Ale nie mam okazji. / Niebo omijam codziennie. / Bo jestem nieśmiały. / Piekło najgłośniej słychać z przeciwka. / Od czasów Dantego nie zmieniły się w nim warunki przyjęć. / Pierwsi są ostatnimi. / Wiarygodni przestali być wiarygodni.*

Poezja księży a poezja nie-księży

Te poezje pod względem formalnym, stosowanych poetyk nie są diametralnie różne, wiele w nich podobieństw. Wyraźniejsze dystynkcje tkwią w zawartości problemowej, w światoodczuciu. Jakże to więc cechy odróżniają poezję kapłańską od twórczości ludzi

świeckich? Ważna cecha poezji kapłańskiej to jej aspekt aksjologiczny, wartościujący – wyraźne opowiadanie się za jasno określonym systemem wartości, najogólniej mówiąc nawiązanie do tradycji chrześcijańskiej.

Uderza wewnętrzny spokój i pogoda kapłańskich wierszy. Natomiast w poezji świeckiej dużo wątpliwości, krzyku, a nawet rozpacz. Relatywizm, determinacja często przeszkadzają poetom świeckim zgłębić tajemnice istnienia. Nie uświadamiają sobie tego, co zauważył Stanisław Brzozowski, iż „na piasku ruchomym chwil trzeba stawiać gmach wieczności”. Nie wiedzą lub nie chcą wiedzieć, że czasem trzeba wiele, a nawet wszystko, stracić, aby dowiedzieć się odrobinę. Dziwią się, że nie potrafią zrozumieć wiele spraw, szczególnie tych o znaczeniu ontologicznym. Z utęsknieniem patrzą w niebo, jak w utraconą ojczyznę – na przykład tak jest prawie w całej poezji generacji „Nowych Roczników”.

W poezji świeckiej zauważamy zazwyczaj więcej ciemności niż światła. Częstym bohaterem zwłaszcza młodej świeckiej poezji jest człowiek samotny, zagubiony, zmagający się z tzw. sprawami ostatecznymi, np. z trudną do określenia – i zaakceptowania – śmiercią. Nasuwa się tutaj pewne podobieństwo do sytuacji bohatera *Zamku* Franza Kafki. Jego poczynania zmierzające w kierunku wnikięcia w tajemnicę istnienia „mogą pozostawić na podwórzu głębokie ślady w śniegu, ale nic ponadto”. „Przecież K. Jest niczym, wprost litość bierze, gdy się przyjrzymy jego sytuacji”. Podobnie beznadziejne są trudy podejmowane przez bohatera młodej poezji w celu zwalczania piętrzących się przeszkód w dążeniu do zdefiniowania śmierci czy innych sytuacji granicznych. Dokąd zmierza człowiek i świat? Czy śmierć jest kresem wszelkiego bytu? Czy mimo trudności poznawczych, nieraz mimo zwątpienia, możemy przynajmniej przeczuwać istnienie życia wiecznego? To dylematy trudne do rozstrzygnięcia. W jednym ze swoich wierszy Bronisław Maj pisze:

*Ktokolwiek wiedziałby coś o losie proszony jest.
Nie wiem, nie wierzę, że ktokolwiek
wie.*

(xxx Mówią...)

Mamy więc do czynienia ze sceptycyzmem. Już Oswald Spengler orzekł, że sceptycyzm jest ostatnim możliwym i godnym naszych

czasów stanowiskiem filozoficznym Czyżby miał rację?

Natomiast kapłani w swoich wierszach zgłębiają sens istnienia nie tyle przy pomocy wiedzy, co wiary. Tak jest - w sposób najwyraźniejszy - w utworach ks. Jana Twardowskiego. Wiedza nie wystarcza. Wszystkiego nie można zrozumieć do końca. I to bynajmniej nie powód do zmartwień, jeśli posiadamy bezcenny skarb wiary, bo *wierzyć – to nawet się nie pytać / jak długo jeszcze mamy iść po ciemku (Jakby Go nie było)*. Franciszkański spokój i optymizm uwidocznia się również w wierszach innych poetów w sutannach.

Oczywiście, bohater liryczny wierszy kapłańskich również przeżywa rozterki, nawet buntuje się, ale nie jest to bunt totalny. Jest świadomy swojej grzeszności, swoich upadków. Podmiot liryczny w utworach ks. Wacława Oszejcy kieruje mnóstwo bolesnych pytań do Boga, do samego siebie. Jawi się nie jako ktoś nieskalany, święty, ale człowiek z krwi i kości. Swoiście utożsamia się momentami z Judaszem: *Judo (...) jestem twoim współnikiem / spocznijmy Judo / usiądźmy na rozstajnym kamieniu / skoro wleczem się jedną drogą (Mnie się nie lękaj)*. To prawda, każdy z nas ma coś z Judasza.

Poezja księży w porównaniu z liryką autorów świeckich jest bardziej nacechowana autobiograficznie. I co z tym się wiąże, przy jej badaniu więcej nawiązuje się do biografii autorów. U księży-poetów szczególnie na płaszczyźnie filozoficznej, myślowej, czy ogólniej: religijnej - występuje ścisły związek, wręcz symbioza, nierozdzielność między bohaterem lirycznym a autorem. Przy interpretacji ich tekstów, zwłaszcza Wojtyły a obecnego Papieża, nie sposób więc nie patrzeć przez pryzmat biografii o kapłańskim nacechowaniu.

Sam Karol Wojtyła – jeszcze wtedy nie-papież - we wstępie do antologii „Słowa na pustyni” pisze: „Można odczytywać wiersze zawarte w tym zbiorze abstrahując od tej okoliczności. Poezja ma swoją własną wymowę, własną estetyczną wartość – oraz kryteria oceny, które należą do jej własnego porządku. I tak też one z pewnością będą odczytane. O to chodzi Autorom. Jednakże chyba chodzi im także o to, aby zaznaczyć swoje kapłaństwo. I bardzo wielu czytających te wiersze może stawiać sobie pytania dotyczące wzajemnego stosunku kapłaństwa i twórczości poetyckiej. Kapłaństwo jest sakramentem i powołaniem. Twórczość poetycka jest funkcją talentu – ale talenty również stanowią o powołaniu, przynajmniej w sensie podmiotowym”.

Wojtyła mówi więc o autonomii poezji: formalnej, estetycznej i aksjologicznej, ale jednocześnie zwraca uwagę, że w wierszach

kapłańskich jest obopólne - zarówno od strony nadawcy jak i odbiorcy - oczekiwanie, a nawet przeświadczenie wzajemnego związku kapłaństwa i twórczości poetyckiej.

Krzysztof Dybciak, autor pierwszej w świecie monografii poświęconej twórczości literackiej obecnego Papieża, wspomianej już tutaj, pt. *Karol Wojtyła a literatura*, postuluje, aby przy interpretacji poezji i dramatów tego autora odstąpić od przeważającej we współczesnej kulturze literackiej tendencji antygenetycznej i antybiograficznej: „Na ogół nie przeszkadza nam i nie pomaga wiedza lub niewiedza o autorze jako człowieku. Dobrze rozumiemy, że literatura nie jest pamiętnikarstwem czy zbiorem dokumentów jakiegokolwiek rodzaju, dlatego koncentrujemy uwagę na samych dziełach, wychodząc z założenia, iż w nich zawiera się wszystko, co chciał nam przekazać pisarz. Lecz tym razem trzeba odstąpić od tej reguły - niezwykłość oddziaływania rozpatrywanej w tym szkicu twórczości wynika z faktu uświadomienia sobie, kim jest autor. Napięcie między rolą pisarską a rolą pełnioną przez autora jest takie wielkie, że ignorowanie go byłoby karygodną lekkomyślnością”.

Zaś Tadeusz Nowak we wstępie do *Poezji wybranych* Wojtyły pisze wręcz o niemożliwości znalezienia tej nieuchwytej granicy oddzielającej wiersze od osoby wikarego, biskupa, kardynała Karola Wojtyły, wreszcie papieża Jana Pawła II Wojtyły. Zresztą to oddzielanie nie jest wcale potrzebne: „Nikt przecież z rozsądnie myślących ludzi nie będzie próbował oddzielać tych wierszy od osoby piszącego, od jego majestatu, godności. Może tak by się stało, może trzeba by było tę granicę znaleźć, wyraźnie zaznaczyć, gdyby treść tych wierszy nie została potwierdzona życiem piszącego, działaniem, powołaniem większym i szerszym, niż można się było domyślać, przeczuć. Zważywszy jednak, że wiersze pomieszczone w tym wyborze są zaledwie zapiskami, notatkami przyszłych kazań, przemówień, bulli, encyklik, nie ma chyba potrzeby poszukiwania tej nieuchwytej granicy oddzielającej je od osoby wikarego, biskupa, kardynała Karola Wojtyły, wreszcie papieża Jana Pawła II. Nie ma takiej potrzeby od chwili, kiedy została złamana tajemnica pseudonimu i Andrzej Jawień, pisujący tu wiersze, zrzędzeniem losu powołany został do najwyższej godności katolickiego Kościoła. Byłoby to zresztą niemożliwe”.

Stefan Sawicki we wstępie do antologii *Szaropolskie srebro. Wiersze księży* zauważa, iż „mimo odrębnych praw poezji, mimo braku kapłańskiego nacechowania większości tekstów, trudno wyzwolić się

czytelnikowi od sugestii tytułu antologii. Czyta on zawarte w niej wiersze jako utwory księży, jako teksty o autobiograficznym zakorzenieniu”.

Poezja księży w porównaniu z liryką twórców świeckich jest chyba bardziej nierówna pod względem jakości i nieraz mniej szczerza. Niektórzy księża, zwłaszcza ci z poetyckiej drugiej ligi, nie wyprowadzają wierszy z własnej krwi. Piszą teksty wychuchane, poddają się grze słów i dźwięków, powtarzają wytarte zwroty. Nie potrafią jasno wyrazić prawdy, której doszukują się w dialogu z Bogiem, ze światem. Takim wierszem nie poruszają sumień czytelników, nie zachęca do refleksji. Popadają też w ton kaznodziejski, w użytkowy dydaktyzm. Jaki jest tego powód? Uważam, że ma rację ksiądz Jan Sochoń, gdy pisze: „Księża-poeci, włączając się w żywy nurt polskiej kultury, starają się objąć jej wszystkie wymiary, choć powołanie kapłańskie ogranicza w pewien sposób twórczą wyobraźnię, a szczerłość pozostaje jednym z ważniejszych problemów artystycznych”. Sądzę, że księża stosują - nieraz podświadomie - autocenzurę.

Mało jest księży - z wyjątkiem Jana Sochonia i zaledwie kilku innych - zajmujących się krytyką literacką. Również, co ciekawe i zastanawiające, prawie nie ma duchownych uprawiających prozę. Dlaczego? Może ten rodzaj literatury jest zbyt trudny. Wymaga wyrobienia literackiego, umiejętności prowadzenia dialogu, operowania kategorią czasu i przestrzeni. I jeszcze jedna rzecz istotna w pisaniu prozą: dogłębna znajomość psychiki człowieka i nurtujących go problemów. Ale przecież tej znajomości nie można chyba odmówić kapłanom? Wystarczy wspomnieć chociażby ich postugę w konfesjonale. Wprowadźcie ks. Janusz Stanisław Pasierb (np. *Gałęzie i liście*) oraz o. Jan Góra (np. *Kasztan*) dali nam prozę, ale nie jest to proza sensu stricto fabularna, lecz wspomnieniowa, refleksyjna.

To, że współcześnie mówi się o fenomenie poezji kapłańskiej, świadczy na pewno o poszerzeniu się horyzontów zainteresowań duchownego. Godne podziwu jest rozległe czytanie księży-poetów i ich gruntowna wiedza: z zakresu religii, filozofii, historii, literatury... Wśród piszących księży pojawia się jednak ostatnio coraz więcej twórców przeciętnych i słabych. Natomiast na ogół mówi się i pisze o poezji kapłańskiej w sensie pozytywnym, pomijając jej mankamenty. Taryfę ulgową stosuje zwłaszcza Zdzisław Łączkowski, który z zachwytem wypowiada się wręcz o każdym poecie w sutannie i poecie w habitcie. Według Platona „poeci nie są niczym więcej, tylko

tłumaczami bogów w zachwyceniu”. Dodam: szczególnie ci w sutannach, ale dobrzy, prawdziwi poeci.

Zakończenie

Moje opracowanie stanowi przyczynek do badań nad współczesną poezją kapłańską. Jeszcze wiele jej aspektów jest nie zbadanych. Na przykład należałoby się gruntowniej zastanowić nad terminem „poezja kapłańska”. Może lepiej mówić: „poezja księży” albo „wiersze księży”? - taki podtytuł umieścił ks. Jan Sochoń w opracowanej przez siebie antologii, tytułując ją: *Szaropolskie srebro. Wiersze księży*. Prof. Stefan Sawicki we wstępie do niej dywaguje odnośnie do powyższego problemu: „Czy istnieje *poezja kapłańska*? Na podstawie jakich kryteriów można ją wyodrębnić? Myślę, że jest to poezja szukająca swego spełnienia w warstwie tematyczno-osobowej: rzecz o specyficznych aspektach życia kapłańskiego lub też wypowiedź o świecie – z wnętrza kapłańskiego doświadczenia. Z jednej strony jest poszerzeniem, ale z drugiej – ograniczeniem przeżyć. Określa ją krąg sakramentalnego powołania. (...) Określenie *wiersze księży* wskazuje na zewnętrzne w stosunku do poezji kryterium doboru tekstów, na twórców zbliżonych do siebie wspólnotą powołania”.

Próba ocalenia przeszłości w tomiku *Zakątek* Jana Leończuka

Tomik wierszy Jana Leończuka nosi symboliczny tytuł *Zakątek*. W tomiku tym autor przywołuje pamięć wybitnej poetki z Wrocławia, Marianny Bocian, urodzonej w Bełczącu na Lubelszczyźnie, niedawno zmarłej w Radzynie Podlaskim, z którą poeta był zaprzyjaźniony. Niniejszy tom zawiera również wieszę napisane w mijającej dekadzie czasu.

Tomik otwiera motto zaczerpnięte z utworu Marianny Bocian „początek i koniec świata biegnie przez serce człowieka” oraz wiersz dedykowany Wiesławowi Kazaneckiemu (*upływają dni i sny coraz krótsze*), zamyka natomiast utwór *do Marianny Bocian wysyłam ten list*. Wszystkie inne zamieszczone w zbiorze wieszę to osobista refleksja zadziwiająca swoją mądrością, metaforą, nacechowana osobistym darem postrzegania świata i zjawisk.

W wierszach tych poeta przywołuje przeszłość i dzieli się z czytelnikiem swoimi spostrzeżeniami na temat przemijania.

Tytuł *Zakątek* jest kontynuacją tropów literackich zapoczątkowanych już wcześniej w tomikach *W drodze do Domu* (1996), *Dotykanie ziemi* (1997), a rozwiniętych w zbiorach *Coraz bliżej snu* (1998), *Jeszcze jedno śnienie* (1999), *Wieszę* (2000).

Nieprzypadkowo przytaczam niniejsze tytuły, bowiem Jan Leończuk uporządkował okres swojej twórczości z lat 1973-1996 w *Wyborze wierszy*, zamykając klamrą symbolicznego wyboru lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte. Natomiast otworzył nową perspektywę, w której myślenie mityczne i doświadczenia natury indywidualnej są obecne w każdym utworze i dramatyżują przestrzeń literacką poety. Nawarstwiająca się pamięć jest punktem wyjścia dla wielu utworów, a ziemia rodzinna (ojcowizna, zakątek) żywi wyobraźnię i wyznacza wspomniane już tropy literackie.

Bohater liryczny wierszy Jana Leończuka tęskni za wolnością darowaną przez życie, lecz ograniczaną przez dzień codzienny.

Jego marzeniem jest przebywanie w miejscach mitycznych, takich jak sny, progi domu rodzinnego, wspomnienia. Nie oznacza to, że tomik wypełnia samotność i melancholia autora, bowiem przeszłość

odślaniana jest jako tęsknota za czymś absolutnym, a mapę poetyczną konkretyzują przemyślenia szerszej natury egzystencjalnej.

*nie uwierzysz snom
choć poprowadzą nad strumyk
zamoczą stopy w pieszczotach piasku
i wzruszeniom pozwolą wędrować po skórze
na której na zapisano ani jednego słowa*

Walorem dodatkowym tej poezji jest jej niebywała prostota i jasność wyrażona w pięknym dojrzałym słowie. To dar, który zapewne otrzymuje się od mądrości przemijania człowieka i nierzeczywistej zarazem tęsknoty za wiecznością.

*Drzewo nieme rosło we mnie / wpatrzone w niebo / dotykało
muskularnymi konarami ciszy / gdzie rozkołysanie drzew i ptasie
rozmowy / uwiły swoje gniazdo / a piskłeta choć oślepte /śpiewały/
tęskniąc do nieba.*

Jan Leończuk jest poetą, którego zawsze fascynował temat nadziei - bowiem był on naturalnym żywiołem poety, wyrażonym w poprzednich tomikach, a zwłaszcza w zbiorze *Coraz bliżej snu*. Temat ten powraca z nową siłą również w *Zakątku*, inaczej zaakcentowany, ukazany w innym świetle, bowiem zmieniła się optyka patrzenia na rzeczywistość tak zadziwiająca w swoim „stawianiu się” godzin, dni, miesięcy, a nawet lat. Stąd refleksja poety oscylująca wokół bolesnego pytania o sens istnienia, sformułowanego w wierszu:

*niechaj ból nie dotyka rozświecenia, w którym autor mówi:
zapamiętane przestrzenie / zbyt gwałtownie dotykają ziemi /jakby
marzenia i tęsknoty odeszły bez pożegnań // a niebo wciąż otwarte /
bez bólu / tylko marzenia ścigają się po nieboskłonie /pod bacznym
okiem cierpliwej nadziei.*

Motyw ten poeta jeszcze raz podejmuje w wierszu *do Marianny Bocian wysyłam ten list* „spóźniony o całą wieczność”, a który rozumie *tylko cisza / w której każde słowo obrasta znaczeniami / a poezja upaja się jej brzmieniem.*

Tomik wypełnia zadziwiająca cisza, która leczy rany przeszłości, uzdrawia, prostuje ścieżki i wiedzie ku miejscom miłym sercu. Ale jest on również pełnym rozliczeniem z przeszłością. Wiersze przepelnione

są symboliką osobistą:

*upływają dni / coraz dalej od domu / zapominając języka / nie
znając drogi powrotu*, która ugruntowuje i zakotwicza świat w optyce
istnienia znanej tylko poecie. Ta optyka poety jest czytelna, pragnie on
bowiem tylko dla siebie pozostawić pewne symbole i myślę, że jest to
jego autonomiczne prawo:

*jakże wypowiedzieć
to co jest w milczeniu
a milczeniem
nie jest*

Wiersze zawarte w *Zakątku* Jana Leończuka przypominają cenne
drobiazgi, stąd chciałoby się powiedzieć słowami samego poety:

*nie rozpoznane są nasze godziny / dni roztrwonione dotykaniem
stopy / oddalają się horyzonty / i stygną obrazy / nieobjęte.*

Tomik jest ważną wypowiedzią poetycką w dorobku literackim
poety. Konkretyzuje bowiem zapoczątkowane już wcześniej wątki,
snując jednocześnie refleksję nad czasem, który jest mu dany.

Tadeusz Karabowicz

Jan Leończuk, „Zakątek”, Wydawnictwo PRYMAT, Białystok 2003, ss. 63

Tadej Karabowycz *Już dzień się nachylił (...)*

Każdy z nas ma takie miejsce, do którego lubi powracać. Czy to powracać dosłownie - fizycznie, przemierzając nieraz setki kilometrów, czy to powracać wspomnieniami - marzeniami, myślami niekoniecznie sentymentalnymi.

A że pamięć ludzka jest jak ocean - wyławiamy z niej przy byle okazji zdarzenia, sytuacje, twarze, słowa, nawet gesty sprzed tygodni, miesięcy, sprzed lat.

Najnowszy wybór wierszy ukraińskiego poety Tadeja Karabowycza, przetłumaczonych przez Jana Leończuka, jest takim właśnie powrotem do owych miejsc szczególnych. Tytuł tej książki - "Już dzień się nachylił do czterech krańców świata" - sugeruje, iż mamy do czynienia z próbą jakby rozrachunku z życiem i światem człowieka dojrzałego. Oto dzień się kończy, słońce osiąga kres - nadszedł czas rachunku sumienia. Nic bardziej mylącego - autor - rocznik 1959 - ma przed sobą jeszcze długie lata pisania i wcale nie musi na razie przynajmniej myśleć o rozrachunkach z życiem.

Te wiersze to odważna próba spojrzenia za siebie w poszukiwaniu sił i energii na dalszą drogę, na to - co przed, co jutro i pojutrze.

To właśnie te "miejsca pamiętane" - są jak czakramy, do których trzeba się co jakiś czas przytulić, dotknąć - żeby się doładować energetycznie, psychicznie, także poetycko.

Te miejsca to Bubnów, Ostrówek - miejsca konkretne, bo nazwane. To cała kraina - Chełmszczyzna - o której Karabowycz pisze "moja Chełmszczyzna jak ikona". Cóż za porównanie! - ikona - a więc świętość - kraina święta. Ziemia, która wydała poetę. Ziemia uświęcona.

Dom rodzinny, ogród, krajobrazy pól i łąk, kobiety bielące płótna, brzoza na skraju drogi, klucz żurawi - obrazy zapamiętane i pamiętane. Obrazy przeszłości. Czy dzięki nim łatwiej patrzeć w przyszłość?

Oprócz obrazów - słowa klucze. Jest ich w poezji Karabowycza wiele - krzyże, noc, studnia, rdza, sowy, czajki. Przez nie i w nich płynie czas. Tego podmiot liryczny tych wierszy obawia się najbardziej - upływu czasu, a razem z nim - zapomnienia - czyli

niepamiętania.

Boi się przyszłości bez przeszłości. Bo nie potrafi żyć bez tych obrazów, bez słów kluczy - bez świętej ikony minionego i pamiętanego.

Jest w tej książce mnóstwo pięknych wierszy. I co istotne - te najpiękniejsze składa autor z minimum słów. Jak choćby ten: „poezja obok ognia/ ochrania światło / przed klątwą/ - wiele trzeba czasu / by wymodlić / źródło poezji”.

Albo taki - zatytułowany „Modlitwa”: „nałamię brzozowych gałęzi / naskubię babiego lata / na sen - narwę wrzosu / przyniosę do domu kaliny / na północne drogi / pójdę”.

Tadej Karabowycz jest mistrzem nastroju. Oszczędnym, wyrachowanym w słowie, lirycznie skąpym - ale potrafiącym osiągnąć niezwykle stan „poetyckiego skupienia materii słowa”. W tej książce nie ma wierszy przegadanych, raczej za dużo jest tekstów - nie rozgadanych. Aż chciałoby się więcej - nie, wystarczy - z aptekarską dokładnością mówi poeta.

Karabowycz pisze w języku ukraińskim. Możliwość porównania brzmienia oryginału z tłumaczeniami Jana Leończuka daje obraz pracy translatorskiej, pozwala nie bez pewnego zdziwienia zauważyć, że w wielu przypadkach tekst polski jest napisanym od początku do końca zupełnie nowym wierszem.

I to jest też mistrzostwo. Chociaż w kilku miejscach można mieć wrażenie, że co innego chciał autor - co innego tłumacz - nam, czytelnikom powiedzieć.

Ale to drobiazgi. Cała książka jest naprawdę piękna. Jak to dobrze, że są jeszcze ludzie o takiej wrażliwości, jak Tadej Karabowycz. Jak to dobrze, że są jeszcze tacy tłumacze - jak Leończuk. „Już dzień się nachylił do czterech krańców świata” - tom wierszy, nad którym naprawdę warto się pochylić.

Wiesław Szymański

**Tadej Karabowycz, „Już dzień się nachylił do czterech krańców świata”,
wersja dwujęzyczna. Tłum. Jan Leończuk, Lublin 2004**

Joanna Szulborska-Łukaszewicz: *Monolog z Nieobecnym*

Oto sytuacja wydawałoby się banalna i typowa. On, ona. Iskrzenie w sferze emocji i zmysłów. Niebotyczna miłość. Małżeństwo, kryzys, zdrada, rozstanie. On odchodzi, ona zostaje. Z głęboką, psychiczną traumą, bólem istnienia w pustce, oczekiwaniem na powrót. W tle odzywające złudzenia, szaleństwa wyobraźni, zazdrość i pękające tęczo-wo mydlane bańki.

Wokół tego leitmotivu zbudowany jest debiutancki zbiorek wierszy Joanny Szulborskiej-Łukaszewicz *...w galerii moich myśli...*, w którym podmiot liryczny toczy swój monolog z Nieobecnym. Zaletą owych poetyckich, ekspresyjnych notatek jest to, że nie ma w nich mowy o jednoznacznym tragicznym rozdzieraniu szat, bo prezentowana w książce huśtawka uczuć ukazana jest w wykrzywionym zwierciadle autoironii, co daje w sumie świadomy, buntowniczy sarkazm, a cierpkie szyderstwo przydaje tej liryce waloru autentyzmu osobistego przeżycia, gdyż bunt przeciwko losowemu fatum sprawia, że czytelnik odbiera go ze zrozumieniem i aprobatą.

Wiersze Szulborskiej-Łukaszewicz, notabene córki znanego, białoostockiego poety, są przy tym wszystkim, przy ich nawet satyrycznym, kpiarskim zacięciu niestychanie kobiece, wzmocnione sporą dawką sytuacyjnego humoru, co w polskiej poezji nastawionej tradycyjnemu na wysoki diapazon należy do rzadkości.

Niekiedy jednak autorka nadużywa „kobieciatkowych”, rażących w kontekście zdrobnień i zbędnych rymów, vide: „niteczką... szpuleczką”, „mój Czasiku” itp. Ryzykowne jest także używanie współcześnie wytartych doszczętnie metafor typu: „wachlarz rzęs”, „królestwo twoich ramion”, „korale szczęścia”, „dywan życia”.

Nie można jednak przejść obojętnie, bez refleksji, obok takich wierszy, jak:

*znam takie miejsce
gdzie wszystkie sny
spełniają się, jak w bajce*

lub:

*między Tobą a mną
przepaść wielka
zaczęliśmy budować most
z naszych pragnień*

w których wyważona oszczędność słowa i rezygnacja z epatowania odbiorcy krańcowymi emocjami świadczą o niezłym już opanowaniu rzemiosła, chociaż bohaterka wierszy znajduje się dopiero na etapie definiowania samej siebie świadomej autoterapii poprzez próby artystycznej twórczości.

Poetka operuje wierszem nieregularnym lub wolnym, niekiedy nawet przedziwnie i zaskakująco rymowanym. Najbardziej jednak zapadają w czytelnicką pamięć pisane z autentycznym zacięciem „piosenki” takie, jak *Nie po drodze mi (Piosenka o nudzie)*:

*Co się stało, co się stało?
Nic! Och, nudą zapachniało...
Co się stało, co się stało?
tylko nudą zapachniało!*

czy też utrzymany w podobnym rytmie wiersz bez tytułu *Tej miłości już i kropelka nie skleci*.

Gdy przeglądamy te wiersze można jednak dostrzec, jak z czasem opadają na ziemię wszystkie maski i kostiumy, bo kobieta z owych li-ryków dojrzeła już do świadomej siebie samotności, staje z nią twarzą w twarz, potrafi jej wreszcie sprostać, czyli wyzwolić się, osiągnąć dojrzałość i mądrość racjonalnego wyboru.

*pozostała mi
moja samotność
choć myślałam że już na mnie nie czeka
choć jej wcale o to nie prosiłam
ją też
łatwiej kochać z daleka*

To cytat z wiersza *Najprościej z daleka*, a ten oto z *Niedouczonej*:

*dziś dopiero
zastużyłam na tę piątkę
z geografii
wiem gdzie znaleźć na mapie
siódme
niebo*

Zamykając ostatnią stronicę *...w galerii moich myśli...* chciałoby się znaleźć ów znaczący skrót: *cdn.*, który zagwarantuje nam, że dowiemy się jak w odcinkowej powieści, co dzieje się dalej z bohaterką „serialu” Joanny Szulborskiej-Lukaszewicz, „kobietą po przejściach”. Miejmy zatem nadzieję, że niebawem doczekamy się kolejnego zbioru krakowsko-białostockiej poetki.

Tymczasem do zwiedzania jej „galerii” zachęca nas wysmakowana grafika Agaty Wasowskiej i bardzo uczone, „wszelkiej scjencji pełne” przedślowie pióra Adama Marczaka.

Andrzej Wojciech Guzek

* Joanna Szulborska-Lukaszewicz - „...w galerii moich myśli...”,
Kraków 2004

Szukam Twoich śladów czyli przypowieści Józefa Budzińskiego

Już w trakcie przeglądania tomiku poetyckiego rzuca się w oczy krótkość wierszy, które mają od czterech do osiemnastu linijek. Dodajmy do tego stwierdzenie, że nader często wersy są jednowyrazowe, a będziemy mieli obraz wyjątkowej lapidarności poetyckich tekstów.

W bezrymowych utworach poeta, poza kilkoma wyjątkami, zrezygnował z interpunkcji, co nie zamazuje konturów poetyckiego świata, choć przerzutni i dowolności interpretacyjnych w obrębie wersów raczej nie spotkamy. Metaforyka nie udziwniana za wszelką cenę, ale łagodna w swoim wyrazie, delikatna i apelująca często do odczuć estetycznych czytelnika. Wiersze wyglądają jak małe pomniki upływających chwil, zdarzeń, refleksji.

Impresyjność utworów ma różne podłoże, ale najwyraźniej zaznaczają się dwie dominanty: Bóg i Poezja. W pierwszym wierszu (*Modlitwa do Poezji*) Poezja pisana wielką literą staje się substytutem Boga, bo to do niej kierowane są słowa Modlitwy Pańskiej: „*Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj*”.

Jak już wspomniałem, Budziński „zarządza” słowami bardzo oszczędnie, przez co wiersze to swoiste epigrafy. Zresztą podmiot mówiący usiłuje zamknąć świat w słowach (*Wieczór I*), a jego wiersze żyją odrębnym życiem, gdy z nimi rozmawia. W tym miejscu nasuwa się analogia do *Małego Księcia* Exupery'ego, gdyż poeta pisze: *Z wierszami rozmawiam*

*nocą
zamykam oczy
mają ciekawy
kolor.*

Natychmiast przypomina się, że „dobrze widzi się tylko sercem, najważniejsze jest niewidoczne dla oczu.”

Liryka Józefa Budzińskiego przeradza się niekiedy w metapoezję, która opisuje sama siebie. Oto wiersz uwity na kształt gniazda staje się znieścacka zaciśniętą pięścią, a obrazy zimnych słów przypominają lawę, choć dopominają się życia (*Jak wezbrane potoki*). W wierszach

pojawia się też motyw przemijania (***) *Życ nie można, Minuty dnia, W pękniętej urnie*.

Sporo w tej poezji odniesień biblijnych, co od razu przywodzi na myśl teologiczne wykształcenie autora, choć wcale nie muszą z niego wynikać. A więc znajdziemy tu zarówno dłonie złożone do modlitwy (*Dłonie*), nadłamaną trzcinę (***) *Dziś jestem*, twarz Chrystusa (***) *Zamykam oczy*, krzyż (***) *Stary pochylony*, modlitwę dziękczynną (*Cisza*). Wiersz *Bóg to przewodnik* może zostać odebrany jako deklaracja osobistej religijności, która pozwala chłonać codzienne wrażenia i przekładać na poetycki język symboli i metafor, „choć szyba zamazana”.

Nieco zagadkowo wydaje się brzmieć tytuł tomiku *Szukam Twoich śladów*. Wprawdzie w wierszu *Studnia* padają tytułowe słowa „szukam przy niej Twoich śladów”, ale archetyp studni (studnia Jakuba czy studnia z „Małego Księcia” ?) oraz wspomnienie wiary i miłości nie pozwalają jednoznacznie rozstrzygnąć, o czyje ślady chodzi. Zaimek „Twoich” napisany wielką literą wskazuje jedynie na szacunek poety... Czyich śladów szuka poeta? Boga, poezji, ukochanej? Przypomina się, że pierwszy utwór zbioru to modlitwa do poezji. I znów nasuwa się inne skojarzenie, Tuwimowskie *Czyhanie na Boga*, które było czyhaniem na Boga poezji. Szukanie śladów jednak oznacza coś jeszcze... Gdy szukamy śladów, jesteśmy w drodze. Może to być droga poetycka, jak to jest w przypadku Budzińskiego. I sądzę, że jest to droga dość dobrze oznaczona, a ślady wyraźne, bo szukanie śladów to czasem tylko sposób na potwierdzenie czyjejś obecności... Zresztą w poezji nie wszystko musi być jednoznaczne i przejrzyste, inaczej tomik poezji nie różniłby się wiele od podręcznika matematyki...

Na zakończenie o szacie ilustracyjnej tomiku. Moim zdaniem grafiki Oli Niewiadomskiej wspaniale oddają smak i ducha prezentowanych wierszy, czego, niestety, nie mogę powiedzieć o załączonych wycinankach... Ale ta kwestia nie wpływa na fakt, że poezja Budzińskiego to ciekawy przykład lapidarności w służbie sensu i estetyki.

Apoloniusz Bogumił Ciołkiewicz

Józef Zenon Budziński, „Szukam Twoich śladów”, Lublin 2004, ss. 45



Spis treści

+ Ewa Alimowska	3
Anna Chomczyk	9
Małgorzata Dobkowska	11
Janina Osewska	15
Ks. Ryszard Kotkowicz	17
Marek Styliński	21
Tekst anonimowy (<i>tłumaczenie Marek Styliński</i>)	23
Theodor Fontane (<i>tłumaczenie Marek Styliński</i>)	24
Paul Fleming (<i>tłumaczenie Marek Styliński</i>)	25
Leonarda Szubzda	26
Halina Biernacka	29
Barbara Lachowicz	37
Józefa Drozdowska	
<i>Tęsknota za lisem</i>	39
Anna Gniewkowska	
<i>Sonata</i>	42
Irena Słomińska	
<i>Dzień</i>	48
<i>Pies</i>	50
Leonarda Szubzda	
<i>Gniazdo</i>	53
Paweł Gorszewski	
<i>Pani C.</i>	58
<i>Klepsydra</i>	59
Joanna Żukowska	
<i>Zobaczysz tańczącego wielbłąda</i>	61
Kowal – artysta ludowy, Mieczysław Hulewicz	72

Joanna Pisarska	78
Justyna Rożko	81
Urszula Szczukiewicz	83
Eligiusz Buczyński	86
Marcin Kruhlej	88
Janusz Paliwoda	90
Anna Tomczyk	93
Tomasz Wójcikowski	95
 Marcin Silwanow	
<i>Tu jest mój dom, tu jestem szczęśliwy</i>	99
Henryk Kruszyński	
<i>Promocje</i>	110
<i>Dobre uczynki</i>	111
<i>Wypadek</i>	112
Włodzimierz Wowczuk	
<i>In hoc signo vinces (...)</i>	115
Henryk Szydlik	
<i>Lekcja polskiego</i>	125
<i>Sztuka</i>	128
Wojciech Załęski	
<i>Jak Piłsudski europatą został</i>	132
<i>Kto naprawdę był sprawcą nieszczęścia ludzkości?</i>	143
 Irena Słomińska	149
Irena Grabowiecka	151
Halina Alfreda Auron	153
Regina Kantarska-Koper	155
Grzegorz Toczydłowski	157
Ryszard Kondratowicz	159
Agnieszka Kuklińska	162
Eugeniusz Szulborski	163

Tomasz Matczak	
<i>Żabcia i magia</i> (fragm. bajki)	169
Debiuty Poczty Literackiej Radia Białystok	
Katarzyna Tokarzewska	178
Mateusz Daniel Kołos	181
Wojciech Jan Cymbalisty	185
Varia	
Wiesław Szymański	
<i>Przypadek poety Maurycego czyli późnoromantyczne zdarzenie w postmodernistycznie ponowoczesnych czasach (...)</i>	188
Kazimierz Słomiński	
<i>Aforyzmy</i>	196
Eseje, recenzje	
Ks. Jerzy Sikora	
<i>Wierszem wyrazić Niewypowiedzianego. Esej o współczesnej poezji kapłańskiej</i>	199
<i>Próba ocalenia przeszłości w tomiku Zakątek Jana Leończuka (Tadeusz Karabowicz)</i>	227
<i>Tadej Karabowycz Już dzień się nachylił (...)</i> (Wiesław Szymański)	230
Joanna Szulborska - Łukaszewicz <i>Monolog z Nieobecny</i> (Andrzej Wojciech Guzek)	232
<i>Szukam Twoich śladów czyli przypowieści Józefa Budzińskiego (Apoloniusz Bogumił Ciołkiewicz)</i>	235

Epea 7.4

5

ISBN 83-88097-57-1



131686